

HARRY HARRISON

BILL BOHATER GALAKTYKI

TOM PIERWSZY: PLANETA ROBOTÓW

Tytuł oryginału: Bill, The Galactic Hero: The Planet Of The Robot Slaves

Poznań, 1994

Wydanie I

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
Prawdziwa historia Billa	6
Rozdział pierwszy	11
Rozdział drugi	24
Rozdział trzeci	38
Rozdział czwarty	50
Rozdział piąty	61
Rozdział szósty	74

Rozdział siódmy	95
Rozdział ósmy	109
Rozdział dziewiąty	122
Rozdział dziesiąty	137
Rozdział jedenasty	160
Rozdział dwunasty	176
Rozdział trzynasty	192
Rozdział czternasty	206
Rozdział piętnasty	219
Rozdział szesnasty	236
Rozdział siedemnasty	250
Rozdział osiemnasty	266
Rozdział dziewiętnasty	280
Rozdział dwudziesty	293
Rozdział dwudziesty pierwszy	306
Rozdział dwudziesty drugi	318

Rozdział dwudziesty trzeci	332
Rozdział dwudziesty czwarty	341
Rozdział dwudziesty piąty	351

Specjalne podziękowania składam:

Natowi Sobelowi,

Michaelowi Kazanowi,

Johnowi Douglasowi,

Davidowi Kellerowi,

Mary Higgins.

Prawdziwa historia Billa

Nazywali go Bill. Prosty syn farmera wysłany ku gwiazdom, pozbawiony zielonych pól, srebrnego traktora, smutnej matuli (miała problemy z krążeniem), i wcielony podstępem do Sił Zbrojnych Imperatora.

Historia tego, jak Bill stał się bohaterem Galaktyki, została właśnie opowiedziana. Jest to historia prawdziwa, a karty jej zroszone są łzami (sztucznymi łzami, wylewanymi przez drukarkę). Myślę, że rozśmieszyła Cię, ale i zasmuciła. Przekonałeś się, jak ciężko pracowali militaryści, by zniszczyć Billa, jak kurczył się i cofał, a potem jak rozrastał się i dojrzewał pod wpływem takiego traktowania. Wzorem wszystkich dobrych żołnierzy

uczył się kłąć (ze 354 razy dziennie, naprawdę), pić bez umiaru, latać za panienkami z oczyma pełnymi spermy. Każda kobieta byłaby dumna, mogąc być jego matką. Choć nie wiem, dlaczego.

Po nafaszerowaniu go narkotykami i oszukańczym wcieleniu do Oddziałów Kosmicznych, Bill został wysłany na szkolenie w Obozie Leona Trotsky'ego. Tam, pod sadystycznym przewodem Deathwisha Dranga, instruktora musztry o trzycalowych kłach, zostało skruszone jego morale, zniszczona wolna wola, zmniejszony iloraz inteligencji, złamany duch. Bill stał się wzorowym żołdakiem. Jedyne jego znakomita kondycja, efekt lat nudnej pracy na farmie, zapobiegła fizycznemu zgnieceniu go jak robaka. Jeszcze zanim skończył się jego trening i zanim zdołał wyjść z szeregu kotów, on i jego kompani zostali wyprawieni na wojnę na pokładzie kosmicznego okrętu, poczciwej weteranki floty Fanny Hill.

Była wojna. Ludzie wyruszyli ku gwiazdom. Bo tam, w gwiazdnym pyłe, pomiędzy słońcami i planetami, kometami i innym kosmicznym śmieciem, istniała obca, inteligentna rasa: Chingery. Były to miłujące pokój zielone jaszczurki, o czterech kończynach, z łuskami i ogonami jak większość jaszczurek. A więc to oczywiste, że należało

je zniszczyć. W przyszłości mogłyby stać się groźne. W każdym razie do czegoś są armia i flota, jak nie do prowadzenia wojny?

Nuda kosmicznej służby zelżała nieco, gdy Bill odkrył, że jego dobry przyjaciel, Cager Beager, jest chingerskim szpiegiem. Początkowo Billowi ciężko było to zrozumieć, zwłaszcza, że wojsko obniżyło jego inteligencję, bo przecież wszyscy wiedzą, iż Chingery wyglądają jak czterorękie aligatory o siedmiu stopach wzrostu. Pojął to o wiele lepiej, gdy odkrył, że Beager jest specjalnym rodzajem szpiega. Tak naprawdę to nawet nie szpiegiem, ale robotem sterowanym przez siedmiocalowego Chingera z pomieszczenia kontrolnego w czaszce Beagera. Siedem stóp, siedem cali, no cóż, wojskowi mają propagandową skłonność do przesady.

W każdym razie szpieg umknął, a powróciły nuda i głód, zanim Bill nie wyruszył w pole jako lonciarz od szczególnie długich lontów. Bitwa była okrutna, zabito wszystkich jego przyjaciół, a sam Bill został lekko ranny, gdy odstrzelono mu rękę. Pomimo to i zupełnie przypadkowo oddał strzał, który zniszczył statek wroga. Został bohaterem, z mocnym, czarnym prawym ramieniem, przyszytym w miejsce zwęglonej lewej ręki (posiadanie dwóch prawych rąk pozwalało mu ścisnąć je sobie samemu, co było niezłą

zabawą), dostał też medal i nagrodę pieniężną. Uzyskał również PZPR, to znaczy Przepustkę Z Pewnym Ryzykiem, która polegała na czasowym uwolnieniu od prześladowań przez innych żołdaków.

W ramach swych przygód na planecie Helior sam stał się szpiegiem zamieszany w wywózkę śmieci i inne interesujące rzeczy. Tak interesujące, że zakończył, walcząc na skazanej na zagładę planecie bez powrotu, gdzie żołdacy maszerowali tylko w jednym kierunku, lecz badania związane z alkoholem ujawniły, że nie wszyscy ranni wracali na pole bitwy z właściwymi kończynami wszytymi we właściwe miejsca, ze względu na brak stóp. Beznogich żołnierzy odsyłano z planety na reperacje, by w swoim czasie znów mogli gdzieś walczyć. Nieszczęściem Billa było posiadanie obu stóp, co skazywało go na śmierć w boju. Ale, jak zwykle pomysłowy, odstrzelił sobie prawą stopę, co było lepsze od odstrzelenia wszystkiego innego.

No i mamy go. Z zastępczą stopą, rosnącym nałogiem alkoholowym, wszczepionymi chirurgicznie kłami Deathwisha Dranga i morską wątrobą, gotowego na wszystko. Bill, żołdak wierny Imperatorowi, dożyłotnio skazany na gwiazdną wojaczkę, ponie-

waż jego zaciąg odnawiany jest automatycznie, czy chce tego, czy nie. Jediną rzeczą pracującą na jego korzyść jest, o dziwo, zastępcza stopka.

Oto on, mimowolny bohater Galaktyki, znów wkraczający do akcji.

Harry Harrison

Rozdział pierwszy

Bill nie był zadowolony ze swojej pracy. Z drugiej strony powinien być, gdyż jak wszystko związane z wojskowością nie wymagała ona zbyt wiele, jeśli nie wcale, inteligencji. Jedynie dobrze rozwiniętych odruchów. Właśnie one dawały mu znać, iż monotonne kroki rekrutów oddalają się. Uniósł wzrok, by stwierdzić, że nieomalże zniknęli mu z oczu. Prawdę powiedziawszy, zupełnie zniknęli mu z oczu, bo przesłaniała ich chmura pyłu wzbitego przez rozdeptane buty. Jak się nad tym zastanowić, to nogi mieli nie mniej rozdeptane. Bill wziął głęboki oddech i wrzasnął jednym tchem:

— W tyyył zwrot!

Jakiś mały ptaszek spadł na ziemię ogłuszony w locie grzmotem rozkazu. To lekko podbudowało Billa, gdyż oznaczało ciągłą zwyżkę formy w prowadzeniu musztry. Rekruci również się ucieszyli, jako że mieli wmaszerować do głębokiej, najeżonej skalami przepaści parowu. Pierwszy szereg cały trząsł się ze strachu, stanawszy twarzą w twarz z koniecznością wyboru między śmiertelnym upadkiem, a śmiertelną niesubordynacją wobec instruktora. Zawrócili niezbyt elegancko, gdyż słaniali się już na nogach z wyczerpania, i kaszląc ponownie wmaszerowali w chmurę pyłu.

Gdy podeszli bliżej, usta Billa wykrzywił grymas gniewu, wzmocniony dodatkowo wyszczerzeniem długiego kła, który spoczął na dolnej wardze sięgając swym żółtym końcem praktycznie aż do brody. Bill brzęknął w niego paznokciem i wyszczerzył jeszcze bardziej zęby. Dwa kły wyglądały groźnie. Jeden sprawiał, że Bill wyglądał jak buldog, który właśnie przegrał walkę. Trzeba było z tym coś zrobić. Jego uwagę przykuł głośny tupot stóp; kątem oka dojrzał, iż maszerujący rekruci są tylko o krok od niego, a najbliższy dyszy ze strachu na myśl o wpadnięciu za sekundę na instruktora.

— Kompania — STÓJ! — krzyknął.

Tupanie nagle ucichło, a rekrut nieomal wpadł na Billa. Stał drżący o włos od budzącego w nim przerażenie instruktora, a jego pokryta kurzem gałka oczna nieomal dotykała przekrwionego oka Billa.

— Na co się gapicie? — warknął Bill jak wściekły pies.

— Na nic, wasza wysokość, sir, wielebny. . .

— Nie kłamcie — gapicie się na moją twarz.

— Nie, to znaczy tak. Nic na to nie poradzę, bo prawie dotykam jej okiem.

— W gruncie rzeczy nie gapicie się na twarz, lecz na mój kieł. I myślicie — dlaczego on ma tylko jeden kieł? — Bill cofnął się o krok i ryknął w kierunku wszystkich chwiejących się, przerażonych, wyprutych i bliskich śmierci rekrutów.

— Wszyscy tak myślicie, prawda? Przyznać się!

— Tak! — westchnęli i zacharceli unisono, lecz większość z nich była tak zmaltrętowana, że w gruncie rzeczy nie wiedzieli o co chodzi.

— Wiedziałem o tym — zachnął się Bill i ponuro wyszczerzył pojedynczy kieł. — Nie winię was jednak. Instruktor z dwoma kłami byłby strasznym i okropnym widokiem. Ale z jednym kłem, muszę przyznać, jest widokiem żalonym.

Siąknął nosem z żalu nad sobą i wierzchem dłoni otarł spływającą z niego kroplę.

— Nie oczekuję wcale współczucia od nierozgarniętych nieudaczników takich jak wy, ani lojalności czy czegoś takiego, bo i tak dostaniecie w dupę. Oczekuję jedynie zwykłego przekupstwa i wyrachowania. Będziemy ćwiczyć dopóki nie zapadnie zmrok albo padniecie zależnie od tego co stanie się wcześniej. — Odczekał chwilę, aż przez oddział przewali się jęk bólu.

— Istnieje jednak możliwość, abyście przeznaczyci dobrowolnie, rozumiejąc mój problem, po jednym dolarze ze swego żołdu na fundację rzeczzonego kła. Wówczas w swej nieokiełznanej wdzięczności przerwę musztrę już teraz.

Poborowi w służbie Imperium — świadomi chwały, jaka na nich spływa — zdążyli już sobie przyswoić parę sposobów na przetrwanie. Zrozumieli jego propozycję dokładnie i jasno. Gdy Bill szedł przed ich szeregiem, sypały się monety dla „udobruchania” szefa.

— Rozejść się — mruknął, przeliczając łup. Wystarczy, tak, zupełnie wystarczy. Uśmiechnął się i spojrzął na swe stopy. Uśmiech natychmiast zniknął. Kieł był jedynie połową jego problemu. Obecnie przyglądał się drugiej.

Lewa noga wyglądała zupełnie normalnie w wyczyszczonym do lustrzanego połysku wojskowym bucie. Prawy but był jednak nieco inny. Może nawet bardziej niż nieco. Po pierwsze, był dwukrotnie większy niż lewy. Jeszcze większe zainteresowanie wzbudzał długi paluch wystający z dziury nad obcasem. Żółty paluch robił wrażenie, ponieważ zakończony był lśniącym szponem. Bill popatrzył nań z pełnym frustracji gniewem i kopnął nieszczęsną nogą w grunt, tworząc w nim głęboką wyrwę. Z tym również musiał coś zrobić.

Gdy Bill ruszył przez plac do musztry w kierunku baraków, po niebie za górami przetoczył się grzmot. Podejrzliwie spojrzął w górę na kłębiące się czarne chmury. Zaczął wiać mocny wiatr, a pył wywołał u niego atak kaszlu, ale nie na długo. Pył został stłamszony przez potok deszczu, który natychmiast zamienił plac w morze błota. Deszcz ustał w momencie, gdy zdołał go już zupełnie przemoczyć, a w jego miejsce olbrzymi grad zaczął wybijać dziury w błocie i bębnić w hełm. Zanim Bill dotarł do baraków, chmury rozwiały się i tropikalne słońce zaczęło odparowywać blade obłoczki z jego uniformu. Ta planeta — Grundgy, miała naprawdę interesujący klimat.

I to chyba była jedyna interesująca rzecz na niej. Poza tym była zupełnie bezna-
dziejna i miała jedynie dwie pory roku: ostrą zimą i tropikalne lato. Nie było na niej
wartych wydobycia minerałów, żyznej ziemi, ani bogatych złóż. Innymi słowy, idealna
planeta na bazę wojskową. I stała się nią przy wielkich i przesadnych kosztach; jeden
wielki kontynent — wyspa we wrzącym, najeżonym górami lodowymi morzu — został
całkowicie zmilitaryzowany. Nazwano go Fort Grundgy na cześć znanego w całej ga-
laktyce Komandora Merdy Grundgy’ego. Był on sławny absolutnie bez powodu, poza
jednym — cierpiał na chroniczne hemoroidy z przejedzenia. Lecz, jako że był ciotecz-
nym dziadkiem Imperatora, jego imię pozostanie wiecznie żywe.

Te i podobne mroczne myśli kołatały się w umyśle Billa, gdy gmerał w woreczku z
pieniędzmi znajdującym się w jego zdezelowanej stalowej szafce na buty. W sam raz,
było ich wystarczająco. Sześćset dwanaście Imperialnych Dutków. Oto nadszedł czas.

Rozwiązał buty i zrzucił je z nóg. Trzy żółte paluchy prawej stopy były tak stłam-
szone i zmaltretowane, że wyprężył je z rozkoszą. Potem zdjął uniform i wrzucił go
do rozdrabniacza, gdzie nadwerężony papierowy materiał zmienił się natychmiast w
chmarę włókien. Zerwał nowy uniform z roli w latrynie i wbił się weń. Miał proble-

my z powtórny umieszczeniem żółtych paluchów w prawym bucie, więc przy okazji wyrzucił z siebie stek przekleństw.

Gdy otworzył drzwi baraku, z nieba lał się żar. Mruczając pod nosem, zatrzasnął je, odliczył do dziesięciu, po czym otworzył ponownie, wyszedł na palące słońce i pospieszył ulicą kompanijną do szpitala bazy.

— Doktor jest zajęty czymś innym i nie może was teraz przyjąć — stwierdziła kapral w rejestracji, zajmując się manikiurem swego krwistoczerwonego paznokcia. — Proszę złożyć tu swój podpis na karcie chorobowej i zgłosić się za trzy tygodnie o czwartej rano — eep!

Czknęła, ponieważ warknął okrutnie i kopnął w jej biurko swą szponiastą nogą, zostawiając głęboką szramę na metalu.

— Nie wciskajcie mi żadnego kitu, kapralu. Zbyt długo jestem w armii, by sobie na to pozwolić.

— Z tego, co zdołałam zauważyć, nie jesteście w niej wystarczająco długo, by nauczyć się odrobiny gramatyki. Won, zanim zawołam policję wojskową i rozstrzelają cię za niszczenie własności rządowej, eep!

Jej przeraźliwe krzyki odbijały się echem wraz z trzaskiem — powtórnie rozrywającego pazurem metalu biurka.

— Zawołajcie Doka. Powiedzcie mu, że chodzi o forszę, a nie o leki.

— Dlaczegoście od tego nie zaczęli. — Pociągnęła nosem, gdy walnął w interkom. — Jakiś klient z gotówką chce was widzieć, admirale. — Zrobiła to z niezwykłą skwapliwością i umiejętnie, ponieważ admirał-doktor obdarzał ją procentem oraz swym wdziękiem równie ochoczo, gdy tylko zdołał oderwać się od prowadzonych przez siebie nielegalnych eksperymentów.

Drzwi za nią otwarły się i wyjrzała zza nich łysina admirała-doktora Mela Praktisa oraz jego jedno łypiące oko. Drugie skryte było za czarnym monoklem. Ten monokl ukrywał fakt, iż oko zostało usunięte w zbyt obrzydliwy do ujawnienia sposób. Od tamtego czasu zastąpił je elektroniczny teleskop-mikroskop, będący bardzo pożytecznym drobiazgiem. Nielegalne eksperymenty medyczne zabrnęły tak daleko i stały się tak obrzydliwe, że gdy je odkryto, doktor został skazany na śmierć. Ewentualnie można było wyrok śmierci zamienić na karne objęcie stanowiska lekarza marynarki. Nie była to łatwa decyzja. W końcu jednak wybrał słusznie, bo dowódca bazy — alkoholik —

z przymrużeniem oka patrzył na jego eksperymenty. Praktis sam dostarczając mu niewyczerpanych zapasów skażonego alkoholu, mógł spokojnie kontynuować swą brudną robotę.

— Czy jesteście tym od lobotomii? — spytał Praktis.

— Niezupełnie. Chodzi o kieł, doktorcu, pamiętacie? Poprzednio starczyło mi dutków tylko na pojedynczą implantację, ale teraz mam już resztę.

— Nie ma dutków, nie ma kłów. Zobaczymy, co tam macie.

Bill potrząsnął woreczkiem, aż ten zagrzecotał.

— Wchodźcie, nie będziemy tu sterczeć cały dzień.

Praktis wytrząsnął monety do zlewu, wrzucił pusty woreczek do dezintegratora, po czym przed przeliczeniem oblał pieniądze środkiem antyseptycznym.

— Nigdy nie wiadomo, jakie paskudne infekcje mogą mieć żołdacy. Brakuje wam dziesięciu dutków.

— Powinno być wiadomo, bo sami zainfekowaliście większość z nich. Bez kitu, doktorcu, to umówiona cena. Sześćset i dwanaście.

— Tak było w zeszłym tygodniu. Wliczam koszty inflacji.

— To wszystko co mam — wymamrotał Bill.

— Więc podpiszcie weksel pod zastaw następnej wypłaty.

— Nie macie duszy — zamruczał Bill podpisując.

— Zwróciłem ją kościołowi, wstępując do wojska. Jak się nazywacie? Muszę sprawdzić, gdzie umieściłem wasz kiel w komputerze.

— Bill. Przez dwa „l”.

— Dwa „l” przysługują wyłącznie oficerom. — Postukał w klawiaturę. — No i mamy, pod Bil, tak jak powinno być. Lodówka dwunasta, w ciekłym azocie.

Chwycił metalowe cęgi i natychmiast wyszedł. Powrócił z plastikowym cylindrem dymiącym gęsto w ciepłym powietrzu. Wrzucił cylinder do kuchenki mikrofalowej i wcisnął guziki.

— Sześćdziesiąt sekund powinno wystarczyć. Odrobina więcej, a się zagotuje.

— Bez żartów, doktorku. To poważna sprawa.

— Tylko dla was, żołnierzu. Dla mnie to tylko parę dutków więcej potrzebnych do wykupienia sobie odwołania. — Kuchenka mikrofalowa pstryknęła i doktor wskazał palcem na stół operacyjny. — Ściągnijcie spodnie i kładźcie się.

— Spodnie? Chodzi o moją szczękę, doktorku, gdzie wy zamierzacie to umieścić?
Jedyną odpowiedzią Praktisa był diabelski śmiech i podtoczenie na miejsce elektro-
nicznego chirurga.

Bill zagulgotał, gdy gumowe klamry rozwarły mu usta. Praktis zamruczał i wpro-
wadził komendy do urządzenia. Bill krzyknął chrapliwie przez klamry, gdy laserowy
skalpel rozciął mu dziąsło i szczypce zakręciły zębem.

— Och, przepraszam, zapomniałem — skłamał sadystyczny Praktis, wstrzykując
znieczulenie miejscowe przed dalszymi operacjami.

W kilka sekund ząb był wyrwany, dziura w szczęce rozwiercona do większych roz-
miarów, korzenie kła implantowane, szczeliny wypełnione i całość utrwalona specjal-
nym klejem.

— A teraz spluńcie i wynoście się stąd — rozkazał Praktis niepewnie wstającemu
na nogi Billowi.

— Tak jest lepiej — stwierdził Bill, przeglądając się w lustrze. Brzęknął kolejno w
każdy kieł, a potem uśmiechnął się krzywo. Wyglądał naprawdę bardzo imponująco.

— Deathwish Drang byłby ze mnie dumny, gdyby nadal żył.

— Won!

— Jeszcze nie, doktorcu. — Zrzucił olbrzymie bucisko z prawej nogi i wyprostował drugie paluchy. Potem uczynił trzy długie bruzdy w plastikowej podłodze. — A co z tym, ha? Co z tym?

— Naprawdę, bardzo śliczne, jeśli mogę tak powiedzieć. Wydaje mi się, że szpony wymagają przycięcia.

— To noga wymaga wymiany! Czy mam do końca życia paradować z olbrzymią kurzą stopą doczepioną do kostki?

— Dlaczego by nie? Z pewnością lepsze to niż drewniana proteza.

— Ale ja chcę prawdziwą stopę!

— Macie prawdziwą stopę, prawdziwą gigantyczną zmutowaną kurzą stopę. I pozwólcie, że wam powiem, nie chcę oczywiście się chwalić, że w całym wszechświecie nie ma innego chirurga, który byłby w stanie to zrobić. A tak narzekają na moje, według nich, nielegalne eksperymenty! Zwałą się tu całym tłumem, gdy będą mieli problemy ze stopami, poczekajcie a zobaczycie.

— Nie chcę na nic czekać ani patrzeć. Chyba, że byłaby to uniesiona ludzka stopa.

— Znacie przepisy, żołnierzu, więc nie zwracajcie mi głowy błahostkami. Trwa wojna, żołnierzu, nie słyszeliście o tym? Mamy braki. A już szczególne braki w dostawach zapasowych stóp.

— Czy nie moglibyście czegoś zrobić?

— Mógłbym zaproponować wam w zamian nóżkę króliczą. Mówi się, że przynosi ona szczęście.

Bill wrzasnął:

— Chcę prawdziwą stopę!

Jego wrzask został jednak niedosłyszany ze względu na głośną eksplozję, która w tym samym czasie zerwała większą część dachu szpitala.

Rozdział drugi

Podczas gdy doktor Praktis drżał ze strachu, wpatrując się nieobecny wzrokiem w zionącą z sufitu dziurę ze zwisającymi fragmentami gruzu, Bill zanurkował pod metalowy stół. Gdy tylko jego własny tyłek znalazł się w bezpiecznym miejscu, mógł pomyśleć o przyszłości i o swej kurzej nóżce, więc z czystego samolubstwa wychylił się i wciągnął doktora do swej bezpiecznej kryjówki. Olbrzymi fragment stropu spadł dokładnie w to miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Praktis i ten aż zagulgotał z przerażenia. Później obrzucił Billa pełnym psiej wdzięczności wzrokiem.

— Ocaliliście mi życie — wyszeptał.

— Byle byście o tym nie zapomnieli, gdy przyjdzie następna dostawa zamrożonych stóp. Chcę coś w pierwszym gatunku.

— Będzie wasza! A jeśli się spieszycie to mam bardzo zgrabną stopkę, jaka została po pielęgniarce zjedzonej przez psy strażnicze.

— Nie, dzięki. Poczekam. Ta, którą mam teraz, posiada wspaniałe własności bojowe i wystarczy mi, póki nie będziecie mieli męskiej prawej stopy.

— Dlaczego mówicie o boju? — zaskrzeczał Praktis.

— Ponieważ właśnie znajdujemy się w jego centrum. Czyż te bomby, pociski i krzyki umierających nic dla was nie znaczą?

Śmiertelny jęk Praktisa został natychmiast zagłuszony przez głośne jak grzmot trzepotanie towarzyszące cieniowi, który przepłynął nad ich głowami.

Bill zdobył się na odwagę, by zerknąć poza krawędź stołu i zobaczył powyżej krążącego wielkimi kołami smoka. Smok dostrzegł jego poruszenie swym bystrym okiem, rozwarł paszczę i zionął językami ognia. Bill natychmiast cofnął głowę i płomień osmaliły jedynie podłogę wokół nich. Praktis jęknął i zadrżał. Bill czuł jedynie gniew.

— Nie tak prowadzi się bazy militarne. Gdzie jest obrona? Gdzie działa przeciwsmocze? Mam zamiar zabrać się za tę kreaturę, zanim ona zabierze się za mnie!

Gdy tylko smok trochę się oddalił, wyczołgał się spod stołu i zanurkował w wyrwę, gdzie kiedyś była ściana. Zmarnował tylko jedną sekundę na podziwianie wspaniałych zniszczeń poczynionych przez smoka w tak krótkim czasie, po czym znów zniknął w kryjówce, gdy nad głową pojawił się kolejny smok i wyrzucił serię bomb ze swej kloaki. Kiedy opadły ostatnie resztki gruzu, pospieszył w kierunku najbliższego schowka na broń i wywalił drzwi swą szponiastą nogą.

— Wspaniale, naprawdę wspaniale! — krzyknął i chwycił znajdującą się wewnątrz czarną tubę z białymi literami PZP.

— PZP — powiedział, umieszczając sprzęt na ramieniu. — Pocisk ziemia-powietrze.

Dotknął spustu palcem wskazującym i wycelował w piękny okrągły brzuch najbliższego smoka.

— Masz tu coś ode mnie! — krzyknął, naciskając na cyngiel.

PZP skrzyknęło i pstryknęło, a z metalowej rury wyłonił się pręt z powiewającą na końcu chorągiewką.

— To cholerstwo, to tylko głupia treningowa zabawka! — zawył Bill i szybko się cofnął.

Lecz smok dostrzegł łopotanie flagi i zawrócił. Zanurkował. Z jego rozwartych nozdrzy buchnął dym, a z szerokiej paszczy potężny ogień, który mógłby usmażyć Billa jak szaszłyk.

— I o to chodzi — zamruczał dzielnie Bill. — Umrzeć z dala od domu, do tego z kurzą stopką.

Ogień zbliżał się coraz bardziej. Nagle smok wybuchnął, trafiony prosto w brzuch pociskiem.

— W końcu komuś udało się znaleźć działający PZP — skomentował Bill, patrząc jak szczątki spadają i roztrzaskują nie opodal dach latryny. Narobiły przy tym mnóstwo zgrzytliwego hałasu, gdy on oczekiwał raczej plaśnięcia. Wszystko stało się jasne, kiedy na ziemię spadła oderwana głowa smoka. Z rozdartej szyi wystawały jakieś rurki i przewody, pomiędzy których wypływał płyn hydrauliczny zamiast krwi.

— Powiniennem być to przewidzieć — stwierdził. — Jakaś maszyna. Smoki z krwi i kości bardziej przypominają ptaki. Są aerodynamiczne i bezgłośne. Te miały dziwnie małe skrzydła.

Gdy tak zastanawiał się nad wielkimi tajemnicami istnienia, ujrzał ze zdziwieniem, że górna część głowy smoka otwiera się jak wieko puszek. To było bardzo znajome. Zwłaszcza, gdy na zewnątrz wyłoniła się siedmiocalowa, człekopodobna, zielona kreatura i spojrzała na niego wymownie.

— Jesteś Chingerem! — wykrztusił Bill.

— No cóż, bez wątpienia nie jestem mózdzkiem smoka, jeśli o tym myślałeś — warknął Chinger.

Bill chwycił solidny kawał betonu, by rozwalić zielonego gnojka, lecz zrobił to zbyt późno. Wróg rozwarł kopnięciem skrytkę w szyi smoka i wyciągnął z niej pas z napędem rakietowym, który natychmiast założył.

— Chingerzy górą! — zaskrzeczał, odpalając małe raketki i wzlatując w niebo. Bill odrzucił beton i zajrzał do pomieszczenia kontrolnego w czaszce smoka. Wyglądało identycznie jak to w głowie Eager Beagera; miało konsolę sterującą i małą chłodnicę

wodną. Znajdowała się tam również metalowa plakietka z numerem serii. Bill pochylił się i zerknął na nią dokładnie.

— MADE IN USA, tak tu jest napisane. Ciekawe co to znaczy?

Nie był jedynym zainteresowanym. Teraz, gdy atak naprawdę się już skończył, z ruin wyczołgał się doktor Praktis. Jego przerażenie gdzieś zniknęło i zostało zastąpione przez naukową ciekawość.

— Co to jest, u diabła? — zapytał.

— To nic diabelskiego. To jedynie szczątki zrzucającego bomby i plującego ogniem chingerskiego mechanicznego smoka.

— A co znaczy MADE IN USA?

— To samo pytanie zadawałem sobie, doktorku.

Bill rozejrzał się wokół, po czym pochylił się ku szczątkom.

— Proszę, pomóżcie mi to załadować na wózek i zabrać do dowódcy, by powiedział, co o tym myśli.

Wykonanie zadania okazało się trudne, gdyż budynki kwatery głównej zostały zrównane z ziemią. Jakiś admirał z dystynkcjami oficera technicznego stał, patrząc smutno na dymiące szczątki. Podeszli bliżej. Uniósł wzrok i skinął w kierunku Praktisa.

— Nie udało im się z tobą ani ze mną Mel, ale dopadli wszystkich oficerów. Co do jednego. Właśnie mieli tu orgię dobroczynną na Czerwony Krzyż.

— Przynajmniej umarli, pełniąc obowiązki.

— Tak, to godna śmierć. — Oficer techniczny westchnął głęboko, po czym spojrzał podejrzliwie na Praktisa. — Od jak dawna jesteście admirałem, doktorze Mel Praktis?

— A po co wam ta informacja, profesorze Łubianka?

— Chcę ustalić, kto tu jest czyim przełożonym. Bo ja jestem admirałem od dwóch lat, sześciu miesięcy i trzech dni od godziny dziewiątej dziś wieczorem.

— Niewiele mnie to obchodzi — warknął Praktis.

— To znaczy, że jesteście żółtodziobem, rzeźnicki sukinsynu.

— Ograniczony elektryczny mózdzek!

— Żołnierzu, zabijcie tego dezertera.

— Czy to rozkaz, sir?

— Tak.

Bill złapał Praktisa za szyję i zaczął dusić.

— Nie!. . . Wuju! — wycharczał Praktis i nowy dowódca skinął, by go uwolnić. — Przynieście głowę tego smoka. Musimy powiadomić Dowództwo Floty, co się stało. Dowiedzcie się też, skąd nadszedł atak. Ten sektor powinien być już dawno spacyfikowany.

Ze względu na swą lokalizację za oczyszczalnią ścieków i odległość od budynków Kwatery Głównej, laboratorium elektroniczne pozostało nietknięte. Inżynierowie admirała Łubianki pospieszyli na wezwanie mistrza i zabrali ze sobą szczątki smoka. Praktis i Bill, pozostawieni na moment w spokoju, kierując się żołnierskim instynktem, zniknęli z pola widzenia.

— A może zaprosilibyście mnie do Klubu Oficerskiego na naradę, sir? — zasugerował delikatnie Bill.

— Dlaczego? — spytał podejrzliwie Praktis.

— Na drinka — brzmiała natychmiastowa odpowiedź. Gdy odnalazł ich posłaniec, byli już dość zaawansowani w osuszaniu drugiej butelki Olde Paint Dissolver.

— Admirał wzywa was obu natychmiast do swego biura.

— Bez kitu! — warknął doktor Praktis. Poślaniec sięgnął po broń.

— Rozkazano mi rozstrzelać was obu, gdybyście sprawiali jakieś kłopoty.

Podwójna kolejka osłabiła ich nieco, więc zjawili się przed biurkiem Łubianki zdyszani i na chwiejnych nogach. Podtrzymywali się wzajemnie. Dowódca warczał i mruzczał coś pod nosem, przekładając leżące przed nim raporty. Podniósł wzrok i wzdrygnął ramionami.

— Siadajcie, zanim padniecie — rozkazał, a potem zamachał przed nimi odczytem.

— SNWDK — wysyczał przez zaciśnięte zęby. — Sytuacja normalna — wszystko do kitu. Nasze stacje satelitarne zdołały namierzyć statek, który zrzucił nam te smoki. Oddalił się on w kierunku Alfa Canis Major, sektora, który jak dotychczas był neutralny. Musimy wiedzieć, co się dzieje... i gdzie jest ta planeta Usa.

— No cóż, to wy jesteście geniuszem elektronicznym, nie ja — westchnął Praktis. — Nie widzę tu żadnej roboty dla starych, zmęczonych konowałów.

— Ale ja widzę. Mianuję was dowódcą statku pościgowego.

— Dlaczego mnie?

— Ponieważ jesteście jedynym oficerem, jaki mi pozostał, a ranga niesie ze sobą pewne obowiązki. Ten głupek uda się razem z wami, bo brak nam zaprawionych w boju żołnierzy. Zbiorę wam jakąś załogę... ale nie mogę wiele obiecywać.

— Och, wielkie dzięki! Jeszcze jakieś złe wiadomości?

— Tak. Atak zniszczył wszystkie statki, jakie mieliśmy. Z wyjątkiem tego do wywózki śmieci.

— Pracowałem kiedyś przy wywózce śmieci — oznajmił błyskotliwie Bill.

— No to poczujecie się jak w domu. Spakujcie swoje walizki i wracajcie tutaj najpóźniej o 0315. Potem wyślę po was pluton egzekucyjny. Do tego czasu załadujemy wam na pokład sprzęt tropiący.

— Nie moglibyśmy się z tego jakoś wywinąć? — spytał smutno Praktis, gdy ruszyli przez zaśmieconą szczątkami bazę.

— Nie da rady. Sprawdziłem to w pierwszym dniu po przybyciu tutaj. Z bazy łatwo się wydostać... ale nie ma gdzie się udać dalej. Lokalna roślinność jest niejadalna. Wszędzie wokół ocean. Nie ma gdzie się ukryć.

— Kurcze. No to chodźcie ze mną i zabierzcie moje walizki.

— Nie będziecie mnie potrzebować, sir — powiedział Bill, wskazując za plecy doktora. — Tych trzech medyków jest w stanie wam pomóc.

Praktis odwrócił się i nic nie zobaczył. Potem odwrócił się ponownie i ujrzał to samo. Zawył z gniewu, ale Billa już nie było w pobliżu.

Bill tymczasem z desperacją ruszył w kierunku baraków. W porządku, być może ta planeta była dla straceńców, ale przynajmniej on pragnął pozostać żywym. Jeśli wziąć to pod uwagę, snucie się po kosmosie międzygwiazdą śmieciarką z szalonym doktorem dawało bardzo złe rokowania. Poszperał w zakamarkach komórek mózgowych, nie znajdując jednak żadnego sensownego planu ucieczki. Odstrzelić sobie drugą stopę? Nie, w ten sposób skończyłby z dwoma kurzymi nóżkami i piórami w tyłku, znając Praktisa. Wygląda na to, że nadszedł czas na wycieczkę.

Zasłaniając zamek cyfrowy przy swojej szafce, wolną dłonią wystukał numer. Potem przyłożył kciuk do detektora linii papilarnych, zanim jeszcze użył klucza. Ostrożności nigdy nie było zbyt wiele, zwłaszcza wśród żołdaków. Poszperał dłonią w środku zastanawiając się, co powinien ze sobą zabrać na statek. Wątpił, czy przyda mu się paczka kondomów. Nóż z zatrutymi strzałkami mógł się natomiast przydać. Coś do czytania?

Przerzucił szybko strony Komiksów Bojowych: z papieru rozległy się słabe eksplozje i krzyki mizernych głosików. Istniało jak zwykle wielkie prawdopodobieństwo, że już nigdy więcej nie zobaczy bazy. Nie tęsknił za nią wcale. A zatem lepiej zabrać wszystko.

Bill wydobył worek spod swojej pryczy i spakował go dokładnie, wrzucając doń wszystko z szafki. Zostało mu jeszcze wiele czasu do odlotu. Dotknął dźwiękowego zegarka, który wyszeptał cicho:

— Senator McGurk, przyjaciel żołnierzy, ma przyjemność powiadomić was, że mamy obecnie godzinę dwa tysiące trzechsetną. — Był to tani zegarek, podarunek od matki.

Pozostało mu kilka godzin na utopienie smutków przed wyjazdem. Ale nie miał zupełnie nic. Bill rozejrzał się wokół po pustym baraku zastanawiając się, kto ma jakiś towar. Z pewnością nie rekruci. Pokoik sierżanta znajdował się w rogu. Podszedł do niego i zastukał do drzwi.

— Jesteście tam, sierżancie?

Odpowiedzią była jedynie cisza, co go ucieszyło.

Wyrwał kawałek żelastwa z najbliższego łóżka i wyważył nim drzwi. W środku był istny chlew, ale mieszkająca tu świnia lubiła sobie pochłać. Bill wybrał dwie butelki z najmocniejszym trunkiem. Jedną ukrył w worku, a drugą otworzył na miejscu. Gdy tylko wyleciał z niej dym, pociągnął solidnego łyka i westchnął szczęśliwie. Zanim się ululał, ustawił zegarek na budzenie.

Gdy pan McGurk, przyjaciel żołnierzy, powiedział mu, że już czas kończyć lulanie, Bill właśnie dopijał butelkę. Zwlókł się na nogi i zarzucił na plecy worek. A raczej uczynił nieudolną próbę zarzucenia worka, bo w rezultacie to worek zwałił go z nóg.

— Co jest — powiedział, widząc wirujące wokół światła i oparł się na worku, by nie upaść.

— Podoba się wam tam na dole, sir? — spytał jakiś głos. Mrugnawszy kilka razy oczami, Bill dostrzegł wreszcie stojącego nad nim rekruta o wyłupiastych oczach i silnym ramieniu. Po kilku nieudanych próbach przemówienia, Bill zdołał wreszcie wydobyć z siebie jakieś w miarę spójne zdanie.

— Nie podoba mi się tutaj.

Mrucząc współczująco, rekrut pomógł Billowi wstać na chwiejne nogi i ustawił go w pozycji pionowej.

— Nazwisko. . . — powiedział Bill z wystudiowaną precyzją.

— Nazywam się Wurber, sir. Dopiero przybyłem. . .

— Zamknijcie się. Podnieście ten worek. Przytrzymajcie mnie. Ruszajcie.

W ten sposób dotarli do lądowiska. Bill wzdrygnął się na widok pogruchotanego statku, a potem zgodził się, by Wurber podtrzymał go przy wchodzeniu na pokład.

Przysługa rekruta została dobrze wynagrodzona: pozwolono mu załadować zapasy i przyłączyć się do załogi. Zgodnie z prawem wojskowym, tak postępuje się z tymi, którzy łamią pierwszą jego zasadę: „Trzymaj gębę na kłódkę i nie zgłaszaj się na ochotnika”.

Rozdział trzeci

Trzeba przyznać, że wielka stara dama floty śmieciarskiej, „Imelda Marcos”, była dobrym koniem pociągowym, oj była. Może była grubsza niż szersza, pokieroszowana i porzewiała, powalana na czarno fusami od kawy, radośnie przystrojona papierem toaletowym, umajona obierkami od ziemniaków — może była tym wszystkim razem. Ale mogła zdobyć się na niejedno, by wykonać swą pracę. Nigdy nie zrobiono takiego kontenera na śmieci, którego nie uniosłaby w przestrzeń. Nie istniało takie szambo, którego nie wyrzuciłaby na orbitę. Prawdziwy wół roboczy.

Jej dowódca — wprost przeciwnie. Kapitan Bly był kiedyś prymusem w Akademii Kosmicznej i pokładano w nim wielkie nadzieje. Ale wszystko to zaprzepaścił jednym drobnym błędem, przez moment zwlekając tam, gdzie nie powinien zwlekać, przez moment poddając się żądzom. Pech chciał, że jego przełożony wrócił tego dnia dużo za wcześniej do kwatery. Znalazł młodego Bly w łóżku ze swą żoną i swym siostrzeńcem. Nie wspominając już o owcy i ulubionym psie myśliwskim. Dowódca naprawdę kochał tego psa.

Nie trzeba dodawać, że potem wszystko potoczyło się dla Bly’ a paskudnie. Bo pewnych rzeczy po prostu się nie robi. Nawet w marynarce. To wiele tłumaczy. Przez moment niedyskrecji jego kariera została zrujnowana. Żył aby tego żałować. Gdyby chociaż nie wciągnął w to psa! Ale było już za późno, o wiele za późno na lanie łez z żalu. Dżentelmen zrobiliby wówczas „właściwą rzecz”. Ale on nie był już dżentelmenem. Dopilnowali tego oficerowie floty. Przerzucano go ze statku na statek, na coraz niższe stanowiska; był w ciągłym ruchu. Aż wreszcie skończył tutaj jako dowódca „Imeldy Marcos”.

Była dobrym, starym złodem i efektywnie wykonywała swą robotę. Nawet pomimo tego, że jej kapitan był przez większość czasu naćpany albo pijany, albo jedno i drugie. Ale teraz, po raz pierwszy, jak daleko sięgała pamięć kogokolwiek z załogi, był trzeźwy. Nie ogolony, z trzęsącymi się rękami i przekrwionymi oczami stał na swym posterunku na mostku i gapił się na admirała Praktisa.

— Nie macie prawa wdzierać się na mój statek bez słowa wyjaśnienia, przymocowywać tej wielkiej ohydnej maszyny do pulpitu sterowniczego i przejmować dowodzenia tam, gdzie was nie chcą. . .

— Zamknijcie się — nakazał Praktis. — Będziecie robić to, co wam każę.

Admirał Łubianka warknął potakująco, wychylając głowę ze wspomnianej maszyny.

— I nie zapomnijcie o tym, Bly. Otrzymujecie rozkazy od niego. Możecie latać tym gratem, ale Praktis dowodzi. Elektroniczne urządzenie będzie śledzić, a oto chodzi w tej całej cholernej operacji. Mój technik, Megahertz Mate 2nd Class, Cy BerPunk, podąży za uciekającym statkiem. On wam poda kurs. Waszym zadaniem, jeśli się na

nie zdecydujecie, a nie macie innego wyjścia, jest śledzić te przekłete smoki aż do ich gniazda, a potem przesłać mi tutaj jego współrzędne. Gotów, BerPunk?

Technik umocnił ostatnie połączenie i skinął głową. Jego długie włosy opadały w nieładzie na białe czoło, ocierając się o ciemne szkła osłaniające oczy.

— Podłączone. Systemy ruszają — powiedział ochryple — RAM ramuje, elektrony świszczą. Wszystkie systemy ruszają, albo już poszły.

— No i najwyższy czas, aby ruszać — warknął Łubianka, a potem dźgnął Praktisa w piersi ostrym paluchem. — Wykonajcie tę robotę, Praktis, i wykonajcie ją dobrze, albo dobiorę wam się do dupy.

— Już się dobraliście, więc nie mam nic do stracenia. Opuśćcie pokład, Łubianka, albo wylecicie z nami na wielkie wysypisko śmieci na niebie. Czy statek gotowy do startu, kapitanie Bly?

Bly spojrział na niego ze zrozumieniem i strzelił palcami.

— Dobrze — stwierdził Praktis. — Myślę, że będziemy się rozumieć.

Bill musiał odsunąć się nieco na bok, a raczej odtoczyć na bok, bo nie był jeszcze całkiem trzeźwy, gdy admirał Łubianka wychodził. Kapitan Bly obserwował wszystko

dopóki czujnik przy włączaniu wejściowym nie zmienił barwy z czerwonej na zieloną, a potem wduśił przycisk ostrzeżenia przed startem. Sygnał alarmu rozniósł się po statku jak grzmienie trąb jerychońskich i załoga zaczęła się sadowić na miejscach. Bill opadł na wolne siedzenie i zapiął pasy w tym samym momencie, gdy kapitan Bly włączył pełną moc. Jedenastokrotne przeciążenie grawitacyjne siadło im wszystkim na piersiach. Wszystkim poza Billem, któremu oprócz tego siadł na piersiach szczur, bo odrzut wymiottił go spomiędzy rur pod sufitem. Gapił się na Billa swymi błyszczącymi czerwonymi oczkami, a ściągnięte siłą odrzutu wargi odsłoniły długie, żółte zębiska. Bill odwzajemnił to spojrzenie również czerwonymi oczkami i również odsłoniętymi, żółtymi kłami. Żaden nie mógł się poruszyć, więc tylko patrzyli na siebie z nienawiścią, dopóki nie wyłączono silników. Bill sięgnął dłonią w kierunku szczura, lecz ten odskoczył na bezpieczną odległość i wybiegł przez drzwi.

— Jesteśmy na orbicie — stwierdził kapitan Bly. — Jaki bierzemy kurs?

— Już się robi, człowieku, robi się. . . — zamruczał Cy, pukając w klawisze i ustawiając przełączniki. Zrobił minę w kierunku VDU¹, które wypełniło się połyskującym konfetti, a potem puknął w ekran długim i brudnym paznokciem. Obraz zrobił się przejrzysty i ich trasa również.

— Trzeba czasu. Rozpracuję to. To maleńkie stare CPU 80286² jest połączone z koprocesorem matematycznym, więc dokona obliczeń — jak szalone. . .

— Zamknijcie się — warknął Praktis i rozejrzał się po kabinie. Wurber zaczął właśnie schodzić z drabiny.

— Hej, wy, zatrzymajcie się! — rozkazał admirał.

— Muszę wyjść do toalety — wyjąkał tamten.

— Wasz interes po moim interesie, a mój interes to zimne piwo. Przynieść.

— Mam to! — triumfował Cy. — Kurs wynosi siedemdziesiąt jeden stopni, sześć minut i siedemnaście sekund, deklinacja dokładnie dwanaście stopni. Zrobione.

¹VDU — Video Display Unit — ekran monitora (przyp. tłum.)

²CPU 80286 — typ mikroprocesora komputerowego (przyp. tłum.)

Żyroskopy zawirowwały i śmieciarka znalazła się na nowym kursie. Światełka zamigotały i zmieniły się na konsoli pod wprawnymi choć roztrzęsionymi palcami dowódcy.

— Nie rozpinąć jeszcze pasów — ostrzegł. — Dopalacz FTL, zainstalowany ostatnio, to model eksperymentalny. A ten lot to pierwszy eksperyment.

— Wracamy do bazy! — wrzasnął Praktis. — Chcę stąd wyjść!

— Za późno! — oznajmił w odpowiedzi kapitan Bly, wciskając guzik. — O wiele za późno. Wszyscy w tym siedzimy, a ja nie mam nic do stracenia, ponieważ straciłem już wszystko, wszystko. . .

Nagłe łyzy politowania nad sobą oślepiły go. Ale nie na tyle, by nie dostrzec Praktisa skradającego się w jego kierunku. Zaraz w dłoni kapitana znalazł się stary blaster.

— Siadać — rozkazał. — I uspokoić się. Do tej pory podróże nadświatłne odbywały się przy pomocy dopalacza Bloatera. Teraz, po raz pierwszy w dziejach, o czym wiem na pewno, będziemy wypróbowywać dopalacz Spritzera. Został zainstalowany przez tego palanta admirała Łubiankę. Powiedział mi, że jeśli go wypróbuję, oczyści me nazwisko z hańby. Za późno! — odparłem mu. Żyję z hańbą i z hańbą umrę, jeśli to konieczne. A teraz, jazda!

Brudnym kciukiem nacisnął duży czerwony guzik i drzenie przebiegło przez statek, jakby ścisnął go ktoś potężnymi kleszczami.

— To jest. . . faza pierwsza. Przed statkiem została otwarta w przestrzeni kosmicznej czarna dziura. Teraz. . . jesteśmy ściskani. . . by przecisnąć się przez dziurę z prędkością nadświatlną. Dlatego to urządzenie nazywa się dopalaczem Spritzera? Jesteśmy pompowani ciśnieniem światła i przeciskani przez prze-e-estrzeń. . .

Bill uznał, że to cholernie nieprzyjemna i mało wygodna forma podróżowania i z rozrzewnieniem wspomniął stary dopalacz Bloatera. Ale przynajmniej do tej pory jakoś żyli, a to już było coś. Gdy się rozprężyli, przestrzeń na zewnątrz także wróciła do normalności. Cy powrócił do swego śledzika i zabębnił w klawisze.

— Nieźle, dziecinko. Nadal jesteśmy na tropie, teraz już dużo wyraźniejszym. Prowadzi on w kierunku planety, którą tam widzicie. Tej z koncentrycznymi pierścieniami, spłaszczonym księżycem i czarną czapą na biegunie północnym. Widzicie ją?

— Trudno nie zauważyć — warknął Praktis — skoro to jedyna planeta w pobliżu. Zapisz jej pozycję i wynosimy się stąd, zanim nas zauważą.

— I takie oto były jego ostatnie słowa — wymamrotał kapitan Bly, gapiąc się na ekran pełen lecących smoków.

— Wrzucajmy dopalacz Spritzera i wyciskajmy się stąd! — krzyknął Praktis.

Lecz jeszcze zanim słowa przebrzmiały w jego ustach było za późno. Na długo przedtem nim fale dźwiękowe dotarły do uszu kapitana Bly, było za późno. Pasy świetlistej energii dobywającej się z paszcz smoków otoczyły statek.

Wszystkie bezpieczniki strzeliły i zgasły wszystkie światła. Spadali.

— Cholernie szybko zbliżamy się do tej planety — zauważył Bill, po czym skulił się przed potokiem przekleństw. — Spoko, spoko — stwierdził. — Czy ktoś wie, jak się z tego wykaraskać?

— Módlcie się — oznajmił Cy, zwracając oczy ku niebu lub gdzie indziej, co na jedno wychodziło. — Módlcie się o zbawienie i przyjęcie waszej ofiary.

Kapitan Bly wyszczerzył zęby.

— Jesteś jedyną ofiarą tutaj jeśli myślisz, że to coś pomoże. Mamy jednak jedną jedyną szansę. Skończyło się paliwo i wysiadła elektryczność...

— No to już po nas! — Praktis rwał sobie włosy z głowy.

— Niezupełnie. Powiedziałem, że mamy szansę. Przednia ładownia jest wypełniona gotowymi do odstrzelenia śmieciami. Robi to gigantyczna sprężyna napięta ciężarem upakowanych śmieci. W ostatniej chwili przed rozbiciem odstrzelę ładunek. Zgodnie z newtonowską zasadą o akcji i reakcji, nasza prędkość zostanie zneutralizowana i ocalejemy.

— Dopalacz śmieciowy — mruknął Bill. — Czy to już koniec? Co za sposób umiærania. . .

Lecz nikt nie słyszał tych narzekań, bo znaleźli się już w atmosferze planety i części powietrza zaczęły okrutnie bębnić w okrywy statku. Wdzierały się też w zewnątrzną powłokę i rozgrzewały ją do granic wytrzymałości, w miarę jak śmieciarka waliła na łeb na szyję w dół. Poprzez coraz gęstsze powietrze, przez wysokie chmury. W kierunku gruntu, który zbliżał się w zawrotnym tempie.

— Odpalcie śmieci! — błagał Praktis, ale bez żadnego odzewu. Kapitan Bly stał nieruchomo. Inni dołączyli swe okrzyki, błagali i szlochali, lecz gruby palec nadal się nie opuszczał.

Byli coraz niżej, już dostrzegali pojedyncze ziarenka piasku na gruncie przed sobą. . .

W ostatniej nanosekundzie ostatniej mikrosekundy palec opadł.

Je-budu! — strzeliła sprężyna, uwalniając nagromadzony potencjał.

Łu-budu! — poleciały śmieci, waląc w powierzchnię planety.

Chlup-dup! — plasnął statek kosmiczny, osiadając łagodnie na stercie starych gazet, puszek po rybach, obierkach od grejpfrutów, pobitych żarówkach, zwłokach szczurów, zaparzonych torebkach z herbatą i podartych papierach.

— Nieźle, jeśli mogę tak powiedzieć — promieniał kapitan Bly. — Zupełnie nieźle. To się nadaje do księgi rekordów.

Kabina zabrzmiała echem rozpinanych pasów bezpieczeństwa i niepewnego stąpania butów po zardzewiałym pokładzie.

— Grawitacja zdaje się być dobra — zaopiniował Bill. — Może zbyt mała, ale dobra. . .

— Zamknijcie się! — wrzasnął Praktis. — Mam jedno jedyne pytanie do was, Cy. Czy zdołaliście... — głos mu zamarł, więc odkaszlnął. — Czy zdołaliście przesłać pozycję tej planety?

— Próbowałem, admirale. Lecz elektryczność wysiadła, zanim zdążyłem wysłać sygnał.

— Więc zróbcie to teraz! W bateriach musi być jeszcze jakaś moc. Spróbujcie!

Cy wprowadził komendy, po czym nacisnął guzik. Ekran zajaśniał, a potem poczer-
niał i wszystkie światełka zgasły. Wurber przestraszył się nagłej ciemności i wrzasnął,
a następnie zaszlochał z ulgi, gdy zajaśniało przyćmione światło żarówki awaryjnej.

— Zadziałało! — triumfował Praktis. — Zadziałało! Sygnał wyszedł!

— Jasne, że tak, admirale. Przy tej mocy musiał polecieć co najmniej z pięć stóp.

— No to utknęliśmy... — zmartwił się Bill. — Zagubieni w kosmosie. Na wro-
giej planecie. Otoczeni przez latające smoki. Miliony parseków od domu. Na martwym
statku kosmicznym zagrzebanym w stercie śmieci.

— Dobrze powiedziane, koleś — przyznał Cy. — To wygląda mniej więcej tak.

Rozdział czwarty

— Oto pańskie piwo, sir. Czy mogę się odmeldować? — zapytał Wurber, podając butelkę, która niedawno jeszcze ciepła, teraz była wręcz gorąca od uścisku jego dłoni.

Praktis wymamrotał jakąś niezrozumiałą odpowiedź, łapiąc butelkę i opróżniając ją do połowy jednym łykiem. Kapitan Bly przeszukał kieszenie swego pogniecionego uniformu, aż znalazł niedopałek jointa, którego zaraz zapalił. Bill wdychał dym z lubością, lecz zdecydował się nie upominać o narkotyki. Zamiast tego poszedł popatrzeć przez iluminator na nowo odkrytą planetę. Zobaczył jedynie śmieci.

Praktis skrzywił twarz, wypiwszy ciepłe piwo z butelki, a potem zagwizdał. Gdy Bill odwrócił się w jego kierunku, rzucił mu butelkę.

— Wyrzucicie to na zewnątrz do reszty śmieci, kurzostopy. A jak już tam będziecie, to rozejrzyjcie się nieco, by mi opowiedzieć, jak tam wygląda.

— Czy życzyście sobie, bym dokonał rekonesansu, a potem zdał raport?

— Tak, jeśli tak właśnie to nazywacie w swej paskudnej gwarze żołdackiej. Jestem przede wszystkim lekarzem, a przez przypadek admirałem. Więc załatwcie to czym prędzej.

Przymglone światło awaryjne nie docierało do drabinki wyjściowej. Bill trzasnął obcasami i zapalił lampkę nożną, a potem zszedł w dół przy świetle swego jarzącego się buta. Jako że brakowało napięcia, drzwi próżniowe nie chciały się otworzyć, gdy nacisnął na guzik. Obrócił lepkie ręczne koło i zajęczał z wysiłku. Gdy wewnętrzne drzwi uchyliły się na około stopę, przecisnął się przez szczelinę do komory próżniowej. Jasny promień słońca wpadał przez pancerną szybę w zewnętrznych drzwiach. Przycisnął do niej oko, chcąc dojrzeć choćby fragment obcego świata. Zobaczył zaś jedynie wysypisko śmieci.

— Wspaniale — wyszeptał i położył dłonie na kole do ręcznego otwierania. Jednak zawahał się.

Cóż mogło się czaić za zewnętrznymi drzwiami? Jakie obce przerażające fakty kryła dla niego w zanadrzu przyszłość? Jaka atmosfera panowała tam na zewnątrz, jeśli w ogóle istniała tam jakaś atmosfera? Otworzywszy drzwi mógł stać się martwy w każdej sekundzie. A jednak wcześniej czy później trzeba będzie to zrobić. Nie było przyszłości dla kogoś, kto nic nie robi, kto jest zamknięty w tej pociętej puszcze na śmieci, z wstrętnym kapitanem i stukniętym admirałem.

— Zrób to Bill, zrób to — zamruczał do siebie. — Umiera się tylko raz.

Westchnąwszy, przekręcił koło.

Zamarł, gdy drzwi rozwarły się i rozległ się głośny syk.

Ale to było tylko wyrównywanie ciśnień. Zdał sobie z tego sprawę, a jego serce biło jak pneumatyczny młot. Ocierając strugi potu z czoła, nachylił się i wciągnął powietrze owiewające mu twarz. Było gorące, suche i śmierdziało śmieciami nieco więcej niż trochę, ale nadal żył. Czując się teraz bardzo z siebie dumny i zapominając o zwierzęcej panice, obracał kołem, aż drzwi otworzyły się całkowicie. Do środka wlały się promie-

nie słoneczne i rozległ się skrzypliwy dźwięk. Wychylił się, by spojrzeć i cofnął szybko głowę w głąb statku. Praktis zerknął na niego z drabiny, gdy się właśnie cofał.

— Gdzie się wybieracie?

— Zabrać swój worek.

— Po co? Co jest na zewnątrz?

— Pustynia. Jedyne mnóstwo śmieci i piachu. Nic innego nie widać. Żadnych smoków, żadnego. . . niczego.

Praktis zamrugał szybko oczami.

— A więc po co wracacie po swój worek, żołnierzu?

— Zabieram się stąd. Śmieci się palą.

Za Billem, gdy ze swym workiem wybiegał przez rozwarte drzwi, rozlegały się okrzyki wściekłości Praktisa i wydawane przez niego komendy. Nie zatrzymał się nawet, by spojrzeć za siebie. Najbardziej wartościową lekcją, jakiej nauczył się przez lata służby, było proste przesłanie: troszcz się o własną dupę. Przystanął dopiero z dala od statku, rzucił worek na ziemię i sapiąc mocno, usiadł na piaszczystej wydmie. Kiwając głową ze zrozumieniem, obserwował ciekawie ewakuację statku.

Okrzyki bólu, przekleństwa i stuki dobiegły jego uszu zza otwartego włazu. Po kilku chwilach runęła w piasek skrzynia z zapasami, a za nią kolejne kontenery i skrzynki. Ruszył na pomoc, ponieważ chodziło również o jego własne przetrwanie. Odciągał poszczególne rzeczy na bok i wracał po następne. Płomienie trzaskały i zbliżały się coraz bardziej. Zaciągnął kolejną skrzynkę w bezpieczne miejsce z dala od ognia i krzyknął w głąb statku:

— Wszyscy, którzy chcą się wydostać, niech lepiej zrobią to natychmiast!

Potem odskoczył na bok, gdyż właśnie szczury opuszczały płonący wrak. Po nich przyszła kolej na załogę, kaszlącą i gramolącą się w bezpieczne miejsce z dala od płomieni.

Praktis wyszedł oczywiście pierwszy, ponieważ dowódca zawsze dowodzi z pierwszych szeregów. Szczególnie podczas odwrotu. Następny był Cy, uginający się pod ciężarem jakiegoś elektronicznego złomu, a za nim zaraz Wurber i kapitan Bly. Z kolei pojawiła się jakaś nieznajoma postać. Nie tylko nieznajoma, ale i kobieca, co jeszcze bardziej zdziwiło Billa. Osoba płci żeńskiej z dystynkcjami na ramionach.

— Kto... kto... wy? — zapytał Bill.

Obejrzała go od stóp do głowy.

— Nie silcie się na żaden kit i używajcie tytułu madame, gdy zwracacie się do wyższego rangą oficera. Raport. Nazwisko, stopień i stan ogólny.

— Tak, sir, madame. Żołnierz Bill, madame, sierżant na kacu, zmęczony.

— Wyglądacie na takiego. Jestem Engine Mate First Class Tarsil. Odłóżcie moją walizkę do reszty rzeczy.

— Wedle rozkazu, Engine Mate First Class Tarsil.

— Należymy do jednej załogi, więc możecie nazywać mnie po imieniu. Meta. — Wyciągnęła rękę i ścisnęła jego dłoń. — Macie dobre bicepsy, Bill.

Bill uśmiechnął się z wdzięcznością i podniósł jej walizkę. Warto mieć zawsze dobre układy z przełożonymi; zwłaszcza z przełożonymi płci odmiennej. Chociaż nie myślał, by w gruncie rzeczy była w jego typie. Lubił duże kobitki, lecz nie o głowę wyższe od siebie. A jej bicepsy, musiał przyznać, były naprawdę o wiele większe od jego własnych.

— Bill — zabrzmiał dobrze znany mu głos. — Przestańcie się spoufaląć i chodźcie tutaj.

Bill dołączył do admirała Praktisa stojącego na szczycie piaskowej wydmy i wpatrzony w złoty majestat zachodzącego słońca. Słońce było jedyną rzeczą godną uwagi. Poza pustym niebem z jedną małą chmurką, która zniknęła po chwili, nie było nic innego.

— Piach, i to w cholernie dużych ilościach — stwierdził Praktis z ponurym wyrazem twarzy.

— Takie już są pustynie, sir — powiedział Bill błyskotliwie.

Praktis spojrział na niego groźnie i warknął:

— Jeśli będę potrzebował takiego kitu, sam o to poproszę. Czy zdajecie sobie sprawę, w jakiej jesteśmy dziurze? Ja jestem i jesteście wy, co nie stanowi zbyt wielkiego potencjału. I co jeszcze mamy? Ten rekrut, jeszcze wczoraj był głupim cywilem, kapitan jest naćpany do granic przytomności, technik elektroniczny pozbawiony został elektroniki, a ta przesadnie seksowna członkini załogi z nadwagą niewątpliwie ściągnie na nas kłopoty. Mamy trochę jedzenia, trochę wody i niewiele ponadto. I dziwne uczucie, że jesteśmy mięsem armatnim.

— Mam pewną sugestię, sir.

— Czyżby? Wspaniale! Mów szybko.

— Pan tu dowodzi i znajdujemy się w stanie wojny, pragnę więc awansu na polu walki.

— Pragniecie „czego”?

— Awansu na starszego sierżanta. Jestem doświadczonym żołnierzem z dużą wiedzą na temat służby, a w dodatku jedynym tu człowiekiem z takimi kwalifikacjami. Będziecie potrzebować mego doświadczenia w walce i wiedzy fachowej. . .

— A nie otrzymam tego, dopóki nie dostaniecie awansu. W porządku, chociaż co to za różnica. Klęknięcie rekrucie Bill. Wstańcie starszy sierżancie Bill.

— Och, dziękuję, sir. To wielka różnica — powiedział Bill. Praktyś wykrzywił z niesmakiem usta widząc, jak Bill wyciąga złote belki starszego sierżanta z kieszeni i dumnie przypina je do swych epoletów.

— Mówi się, że każdy kapral z jajami lub talentem albo i jednym, i drugim, nosi buławę marszałkowską w plecaku. Mój cel jest mniej ambitny. . .

— Zamknijcie się. Przestańcie myśleć o swych wielkich ambicjach militarnych i użycie inteligencji, jeśli ją macie, choć coraz bardziej w to wątpię, by rozwiązać problem, który przed nami stanął. Co robimy?

Ambicja wywołana przyznaniem wyższego stopnia sprawiła, że Bill z entuzjazmem wcielił się w nową rolę.

— Sir! Zaczniemy od zrobienia spisu naszych zapasów, których przez cały czas będziemy strzec, i które równo będziemy rozdzielać pomiędzy wszystkich. Gdy to zostanie poczynione, przygotujemy wszystko co niezbędne do spania w nocy, bo, jak pan widzi, słońce już zachodzi. Potem ustalę warty na noc, dokonam inspekcji broni i przygotuję plany bitwy. . .

— Dość! — wrzasnął Praktis, wytrzeszczając oczy na militarne monstrum, które wykreował. — Po prostu zjednoczmy nasze umysły i zastanówmy się, co robić dalej, sierżancie. Tylko tyle, albo natychmiast znów was zdegraduję do stopnia rekruta.

Bill przyjął tę decyzję z całym spokojem, na jaki potrafił się zdobyć, grzebiąc pazurzystą piętą w piachu i mrużąc pod nosem. Jego militarna kariera jako dowódcy była krótka. Ruszył za Praktisem, gdy ten zszedł z wydmy, by dołączyć do pozostałych.

— Proszę o uwagę — zawołał Praktis — wszystkich z wyjątkiem kapitana Bly, który naćpał się do nieprzytomności tym tanim gównem, które pali. Wy, żołnierzu, jak się nazywacie?

— Wurber, wasza wysokość.

— Tak, Wurber, dobrze, że jesteście z nami. Teraz przeszukajcie kieszenie kapitana Bly i cały towar, jaki ma, przynieście mnie. Jak dojdzie do siebie, pewnie odnajdzie jeszcze to, co ma ukryte, lecz przynajmniej od czegoś zacznę. A teraz słuchajcie, cała reszta, mamy tutaj pewien problem — Niezła gadka — powiedziała Meta.

— Tak, no cóż, dziękuję panienko...

— Odpanienkuj się ode mnie. Istnieją pewne prawa przeciwstawiające się męskiemu szowinizmowi. Jestem Engine Mate First Class Meta Tarsil.

— Tak, Engine Mate First Class. Dokładnie rozumiem pani stanowisko. Ale chciałbym również wskazać, że znajdujemy się z dala od cywilizacji i wszystkich jej praw. Zostaliśmy wyrzuceni na tę nieznaną obcą planetę i będziemy musieli pracować razem. Więc porzucmy nasz własny egoizm na jakiś czas i spróbujmy znaleźć wyjście z tego bałaganu. Czy są jakieś propozycje?

— Tak — oznajmił Cy. — Weźmy dupę w troki i zmywajmy się stąd. Ta planeta ma pole magnetyczne.

— I co z tego?

— A ja mam kompas. Możemy ruszyć prosto i nie kluczyć. Rano załadujemy całą żywność i wodę, jaką możemy zabrać i ruszamy. Możemy zrobić albo to, albo zostać tutaj czekając, aż znajdą nas tubylcy. Proszę rozkazywać, admirale. Pan dowodzi.

W tym momencie zaszło słońce i zaległy nieprzeniknione ciemności. Bill uruchomił nożną latarkę i w jej słabym świetle rozłożyli się na noc. Pojawiły się gwiazdy. Nieznane konstelacje na nie znanym niebie. Taka sytuacja wymaga silnych nerwów. Albo silnego drinka. Bill zdecydował się na to drugie, sprawnie otworzył swój worek, włożył głowę do środka i łyknął z ukrytej butelki tyle razy, że zaświeciło dno.

Rozdział piąty

Wschodzące słońce zalało ciepłymi promieniami zaspaną i zarośniętą twarz Billa. Ziewnął i otworzył jedno oko. Natychmiast tego pożałował i zamknął je szybko, gdyż światło wdarło się ostrą szpilą w jego przepity mózg. Nauczony tym przykrym doświadczeniem, przy kolejnej próbie przekreślił się w kierunku przeciwnym do słońca i otworzył oko tylko odrobinę, a potem zerknął przez palce. Jego kompani identycznie zaszyli w śpiworach błogo spali. Wszyscy z wyjątkiem admirała Praktisa, który kierowany obowiązkiem lub bezsennością, albo pełnym pęcherzem, stał na najwyższej wydmie wpatrzony w dal. Bill oblizał wargi i spróbował wypluć nieco paprochów zgro-

madzonych na języku, co mu się nie powiodło, więc wstał na równe nogi i, będąc z natury ciekawskim gnojkiem, wspiał się także na wydnię.

— Dzień dobry, sir — zagadnął.

— Zamknijcie się. Nie znoszę rozmów o tak wczesnej porze dnia. Czy widzieliście światła?

— Że co? — spytał Bill, zupełnie zdezorientowany sennością i utrzymującą się w mózgu dawką alkoholu.

— Takiej właśnie odpowiedzi od was oczekiwałem. Słuchajcie no, palancie, gdybyście czuwali zamiast topić się w alkoholu, widzielibyście to co ja. Tam na horyzoncie, bardzo daleko, błyskały światełka. Uprzedzę waszą uwagę. To nie były gwiazdy.

Bill zdumiał się, ponieważ właśnie to chciał zasugerować.

— Były to niewątpliwie światła, migające i zmieniające barwy. Sprowadźcie tu Cy. Natychmiast.

Technik musiał się czymś nabuzować, ponieważ leżał nieprzytomny z oczami rozwartymi lecz wywróconymi tak, że tylko białka, a raczej żółtka, były widoczne. Bill

potrząsnął nim, wrzasnął mu do ucha, a nawet spróbował kilku solidnych kopniaków w żebra. Bez rezultatu.

— Naprawdę wspaniale — warknął Praktis po otrzymaniu raportu. — Czy to załoga, czy oddział dla uzależnionych? Dam mu zastrzyk, który go z tego wyprowadzi. Tymczasem stańcie tu na straży i pilnujcie, by nikt nie zdeptał tej linii na piasku. I nie wybałuszajcie tak na mnie oczu, nie upadłem na głowę. Ta linia wskazuje kierunek dostrzeżonych przeze mnie światła.

Bill usiadł i gapił się na linię, marząc o drinku i możliwości ponownego zaśnięcia, lecz oprzytomniał, posłyszawszy niesamowite jęki. Cy wskrabywał się na wydme na czworakach i przeraźliwie biadolił. Jego skóra była trupio blada i trząsał się jak elektryczny wibrator. Za nim wspiał się Praktis z wyrazem sadystycznej przyjemności na twarzy.

— Ten zastrzyk postawił go na nogi, ale wywołał też jakieś przedziwne efekty uboczne. Oto kierunek, ptasi mózdzku. Ta linia nakreślona na piasku. Zrób według niej namiary.

Cy wydobył kompas, lecz jego ręka trzęsła się zbyt mocno, by go odczytać. W końcu musiał ułożyć instrument płasko na piasku. Potem podtrzymywał głowę obiema rękami, aby cokolwiek zobaczyć. Po pewnym czasie mrużenia oczu i krzywienia się przemówił niezwykłym głosem:

— Osiemnaście stopni na wschód od bieguna magnetycznego. Proszę o pozwolenie odejścia, chciałbym spokojnie umrzeć, sir.

— Odmawiam. Zastrzyk wkrótce przestanie działać. . .

Nagły okrzyk przerwał mu w pół słowa. Po nim rozległo się wycie i strzały z blastera.

— Jesteśmy atakowani! — zapiszczał Praktis. — Jestem nieuzbrojony! Nie strzelać! Jestem lekarzem, cywilem, moja ranga ma jedynie charakter honorowy!

Bill, którego komórki mózgowe były nadal oszołomione nagłym przebudzeniem i alkoholem etylowym, dobył blastera i zbiegł z wydmy w kierunku, skąd dobiegały strzały, zamiast w stronę przeciwną, jak uczyniłby normalnie. Zobaczył przed sobą strzelającą Metę, ale na stoku nabrał takiej prędkości, że nie mógł ani się zatrzymać, ani skręcić i wpadł na nią z impetem.

Upadli — ich nogi i ręce splątały się. Ona wstała pierwsza i walnęła go w oko twardą pięścią.

— To bolało — wyjęczał, zasłaniając oko dłonią. — Będę miał siniaka.

— Porusz tylko dłonią, a będziesz miał i drugiego do pary. Dlaczego mnie tak powaliłeś?

— A czemu miała służyć cała ta strzelanina?

— Szczury! — Złapała znów za blaster i odwróciła się. — Wszystkie już zwiały. Z wyjątkiem tych, które rozpyliłam na atomy. Dobierały się do naszego jedzenia. Przy najmniej wiemy już, co żyje na tej planecie. Wielkie, złośliwe, szare szczury.

— Nie macie racji — stwierdził Praktis, który otrząsnął się z szoku i na tyle pokonał strach, by dołączyć do nich. Kopnął nogą rozwalonego szczura.

— *Rattus Norvegicus*. Kompan człowieka w podboju gwiazd. Musieliśmy je przywieźć ze sobą.

— Jasne, że tak — zgodził się Bill. — Wyskoczyły ze statku jeszcze przed wami.

— Interesujące — zastanowił się Praktis, pocierając szczękę, kiwając głową, marszcząc czoło i wyrażając zdziwienie. — Pytam was, dlaczego, mając do dyspozycji całą planetę, wróciły tutaj, by zjeść nasze zapasy?

— Nie smakuje im lokalne pożywienie — zasugerował Bill.

— Błyskotliwa odpowiedź, ale wniosek błędny. To nie dlatego, że czegoś nie lubią. Tutaj po prostu nic nie ma. Ta planeta jest zupełnie pozbawiona życia, co dostrzeże każdy głupiec.

— Niezupełnie, sir — dostrzegł pewien głupiec. Z pustyni wyłonił się rekrut Wurber, a jego jabłko Adama podskakiwało w górę i w dół jak yo-yo. Trzymał w dłoni kwiat.

— Gdy tylko usłyszałem strzelaninę, uciekłem. Po tamtej stronie znalazłem kwiaty i...

— Dajcie go tutaj. Och!

— ... i zaciąłem się w palec zrywając go, tak jak teraz wy, admirale, gdy sięgnęliście po kwiat.

Praktis trzymał kwiat tak blisko, że zrobił zeza, spoglądając na znalezisko.

— Łodyga, brak liści; czerwone płatki, brak pręcików lub słupka. Ale zrobiony z metalu. To jest metalowe, idioto. To nie rośło. Zostało umieszczone tam na piasku przez nieznaną osobę czy osoby.

— Tak, admirale. Czy mam pokazać admirałowi, gdzie rośnie reszta kwiatów?

Wszyscy (z wyjątkiem kapitana Bly’ a, który nadal znajdował się w malignie) ruszyli za nim poprzez wydmnę do małego zagłębienia, gdzie na ciemniejszej połaci piasku rosły kwiaty. Praktis uderzył w jeden z nich paznokciem.

— Metal. Wszystkie są metalowe. — Wetknął palec w wilgotny piasek, a potem powąchał go. — A to nie jest woda. Pachnie jak olej.

Nie nasuwało mu się żadne naukowe rozwiązanie, gdyż był równie zdumiony jak inni, choć zbyt zarozumiały, by się do tego przyznać.

— Wyjaśnienie tego zjawiska oraz jego opis są oczywiste i dostarczę ich zaraz po zakończeniu badań. Będę potrzebował więcej egzemplarzy. Czy ktoś ma nożyce do drutu?

Cy miał i, zgodnie z poleceniem, ściał kilka egzemplarzy. Meta szybko znudziła się tą metalurgiczną uprawą i wróciła do obozu. Kontynuowała tam pokrzykiwanie i

strzelaninę. Inni wkrótce dołączyli do niej i pozostałe szczury zwiały w głąb pustym. Praktis nachylił się nad porozwalanymi skrzynkami zapasów.

— Wy, starszy sierżancie, bierzcie się do pracy. Chcę, żeby przepakowano żywność i natychmiast zabezpieczono ją przed szczurami. Wydajcie rozkazy. Wszystkim z wyjątkiem Cy, który będzie mi potrzebny. Zabieramy się.

Bill przyjrzał się rozerwanemu plastikowemu pojemnikowi z prasowanymi pożywными sucharami. Żołnierze nazywali je żartobliwie żelaznymi racjami. Nawet szczury nie były w stanie ich zgryźć. Połamane szczurze zęby utkwiły w opakowaniu. Po całodobowym gotowaniu można było owe suchary od biedy połamać młotkiem. Bill poszukał czegoś jadalnego i nieco delikatniejszego. Znalazł trochę tubek awaryjnych racji żywnościowych oznaczonych jako Yumee-Gunge. Pozostali patrzyli na niego wymownie, więc rozdał im tubki. Wyciskali je i ssali hałaśliwie. Zawartość tubek była obrzydliwa, lecz odżywcza. Jakość ocalonego w ten sposób życia pozostawiała jednak wiele do życzenia. Po daniu upustu żarłoczności pracowali razem w harmonii, gdyż sterta zapasów na pewien czas odsuwała widmo głodu i śmierci z pragnienia, która przychodzi szybciej.

Właśnie skończyli, gdy kapitan Bly jęknął i przewrócił się na drugi bok, po czym usiadł i zaczął wydawać dziwne, ssące dźwięki. Bill podał mu tubkę Yumee-Gunge, a tamten krzyknął chrapliwie, gdy jej skosztował. Na przemian ssał i jęczał, trzęsąc się przez cały czas. Pojawił się Praktis i wytrzeszczył oczy.

— Czy to coś jest naprawdę tak wstrętne?

— Gorsze — odparł Bill, a pozostali twierdząco skinęli głowami.

— No to ja na razie pasuję. Przekażę wam swój raport naukowy. Te rośliny z kwiatami są żywe i rosną w piasku. Nie są życiem, jakie znamy, opartym na węglu, lecz na metalu.

— Niemożliwe — zauważyła Meta.

— No cóż, dziękuję „wam” Engine Mate First Class za informację naukową. Ale sądzę, że raczej wolę swą szeroką wiedzę niż waszą. Nie widzę powodu, dla którego „życie nie miałoby opierać się na metalu, zamiast na węglu. Nie znajduję chwilo-wo przyczyny, dla której tak się dzieje, ale odstawmy na razie ten interesujący temat i zajmijmy się nie mniej interesującym problemem, jak przeżyć. Raportujcie, starszy sierżancie, na temat zapasów żywności i wody.

— Żywność niejadalna, nawet dla szczurów. Racjonowanej wody powinno starczyć na około tygodnia.

— Zostawcie ten kit dla kumpli od gry w lotki — warknął Praktis chmurnie. Usiadł ciężko i wpatrzył się nie widzącymi oczyma w metalowy kwiat na dłoni.

— Niewielki wybór. Zostajemy tutaj, by cierpieć głód przez tydzień, a potem umrzeć z pragnienia, albo pomaszerujemy w kierunku tych świateł, które widziałem zeszłej nocy i przypatrzymy się im z bliska. Głosujmy przez podniesienie rąk. Kto jest za pozostaniem i śmiercią?

Nie podniósł się żaden palec, więc skinął głową.

— A teraz, kto jest za wymarszem?

Odpowiedź była identyczna.

Praktis westchnął.

— Widzę, że wody demokracji wyciskają pot na waszych rozpalonych czołach. A więc postąpimy na sprawdzoną faszystowską modłę. Wymaszerujemy!

Skoczyli na równe nogi i oczekiwali na instrukcje.

— Ty to zrobisz Bill, bo ciebie właśnie w tym kierunku szkolono. Rozdziel wszystko, co mamy na pięć plecaków.

— Ale nas jest sześcioro, sir.

— Ja tu wydaję rozkazy. Pięć. Złóżcie mi raport, kiedy zadanie zostanie wykonane — mówiąc to przeszukał worek Billa i z triumfem wydobył z niego butelkę z resztkami alkoholu. — A kiedy będziecie to robić, nadgonię nieco moje zaległości, ćpuny i gazerzy. Do roboty!

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy praca została wykonana. Admirał pochrapywał szczęśliwie, trzymając otwartą butelkę pomiędzy zwiotczalymi palcami. Bill wyjął mu ją z dłoni i opróżnił z resztek alkoholu, zanim go obudził.

— Coziedało?

— Zrobione, sir. Gotowi do wymarszu.

Praktis chciał coś powiedzieć, lecz zamiast tego zakaszłał, po czym chwycił swą głowę obiema rękami i wyjęczał:

— No cóż, a ja nie. Przynajmniej dopóty, dopóki nie zjem garści tabletek.

Przetrzęsnał kieszenie wydobywając z nich mnóstwo tabletek i skrzekliwym głosem poprosił o wodę. Farmaceutyczny dynamit dokonał cudu i w końcu pomógł Billowi postawić przełożonego na nogi.

— Pakować się. Dawajcie tutaj natychmiast Cy, z kompasem.

Cieężko obładowany technik zbliżył się i wyznaczył za pomocą kompasu kierunek, w którym powinni ruszyć. Praktis podłączył swój kieszonkowy komputer do małego głośniczka, zamontował go na jednym z epoletów, a potem przeszukał cyfrową pamięć molekularną w poszukiwaniu muzyczki. Znalazł radosną piosenkę marszową, po czym ustawił ją na pełną, charczącą moc, i wyprowadził swą dziarską, małą bandę na pustynię.

Gdy tylko odeszli, z kryjówek wyłoniły się szczury, szukając tego, co jeszcze pozostało do zjedzenia, a potem zwracając swą uwagę na stertę dobrze upieczonych śmieci, które już nadawały się do konsumpcji, bowiem zdążyły nieco ostygnać. Szuranie butów i dźwięki muzyki wkrótce oddaliły się. Jedyнным odgłosem zakłócającym pustynną ciszę było szczekanie zębów gryzoni.

Jednak coś wkradło się w tę sielankę. Jakiś nowy dźwięk, nowa obecność. Szczur po szczurze podnosiły swe futrzaste głowy, nastawiały uszu i wąsów. Zeskakiwały ze

sterty śmieci i szukały kryjówek. Coś mrocznego i niesamowitego, niskiego i szerokiego, metalicznego pojawiło się w zasięgu wzroku nad szczytem wydmy. Metal bębnił o metal i rozległo się ostre brzęczenie. Coś minęło górę parujących śmieci, wypalony statek kosmiczny i powoli wspięło się na wydmy za nim.

Kiedy cisza znów zapadła nad wielkim wysypiskiem, szczury powróciły, by dokończyć posiłku. Zignorowały ślady stóp wiodące w dal po piasku. Ślady zastąpił teraz szlak wyznaczony przez coś, co wyruszyło za małą grupką rozbitków.

Rozdział szósty

Admirał Praktis maszerował dumnie na czele swego odważnego oddziału, maszerował w rytm muzyczki ogłuszającej jego prawe ucho. Na wydmy, z wydmy i znów na wydmy. W końcu obejrzał się przez ramię i spostrzegł, że jest na pustyni sam. Jego panika nieco zelżała, gdy w polu widzenia pojawił się pierwszy podążający za nim człowiek. Była to Meta uginająca się mężnie, a raczej kobieco, pod swym ciężarem. Innym nie szło aż tak dobrze. Praktis usiadł i zabębnił palcami na kolanie, mrucząc do siebie, dopóki wszyscy nie dotarli w jego pobliże.

— Musimy się bardziej sprężyć.

— Proszę uważać na to królewskie „My”, Praktis — warknął kapitan Bly. — Wasze „My” nie niesie plecaków, podczas gdy nasze tak.

— Jesteście podwładnym, kapitanie!

— Jasne że jestem, konowale. Byłem we flocie, kiedy ty jeszcze wynosiłeś baseny jako praktykant. Znajdujemy się w sytuacji życia albo śmierci. Prawdopodobnie będzie to śmierć. A więc nie ruszę się, dopóki nie poniesiesz swej części.

— To jest niesubordynacja!

— Jasne, że tak. — Meta wymierzyła blaster między oczy admirała. — Gotów do wzięcia swego plecaka?

Praktis pojął sedno jej argumentacji i jedynie zamruczał w proteście, gdy pojawił się kolejny plecak — czyżby zaplanowano to z góry? — i został załadowany na jego barki. Po ponownym rozdziale dóbr nie szli wcale sprawniej, ale przynajmniej równo. Bill kroczył nieco zygzakowato ze względu na to, że jego prawa stopa była znacznie większa niż lewa. Bolały go szpony uwięzione w ciasnym bucie. Zastanawiał się, po jaką cholere go nosi. Bo mu go przypisano i bez niego byłby w niepełnym mundurze? Na tę myśl wpadł w furię, zdarł but i odrzucił go na pustynię, rozprostowując palce.

Ostre szpony błysnęły w promieniach słońca. Tak już było lepiej. Poruszając się teraz o wiele swobodniej, przyspieszył, by dobić do pozostałych.

Gdy słońce stanęło w zenicie, Praktis wydał rozkaz zatrzymania, i osunęli się na ziemię. Bill w nowej randze, powodowany prawdopodobnie poczuciem odpowiedzialności, puścił w obieg pojemnik z wodą i przydzielił wszystkim racje żywnościowe. Ci o silnych żołądkach wysączyli nieco Yumee-Gunge. Praktis popatrzył na nich i sam trochę spróbował.

— Ough! — zdrygnął się.

— Widzę, że się zgadzamy — stwierdził kapitan Bly. — To nie do jedzenia.

— Coś trzeba zrobić — powiedział Praktis, odrzucając tubę na pustynię. — Zamierzałem czekać, ale potrzebujemy żywności już teraz, albo nie będziemy mogli iść dalej.

Przerzucił swój plecak i wyciągnął z niego płaskie pudełko.

— Bill, dajcie mi filiżankę wody.

— Co u diabła zamierzacie zrobić? — odezwał się kapitan Bly. — Dostaliście już swoją rację wody.

— To nie dla mnie, lecz dla nas wszystkich. Odrobina produktu mojego własnego pomysłu. A mówili, że to nielegalne! Legalność jest dla słabeuszy. No tak, było kilka wypadków, parę osób zmarło, ale budynki szybko odbudowano. Powtarzałem badania z uporem i zwyciężyłem! I oto jest!

Wyciągnął coś, co wyglądało jak opakowane w plastik kozie bobki. Cy przyłożył palec do czoła i wykonał nim parę kolistych ruchów.

— Widziałem to! — wrzasnął Praktis. — Śmiejecie się, tak jak cała reszta. Ale to Mel Praktis będzie śmiał się ostatni! Oto ziarno, zmutowane ziarno zawierające przyspieszacz wzrostu, o którym nie śniło się ograniczonym umysłowo badaczom. Patrzcie!

Wykopał dziurę w piasku i umieścił w niej ziarno, a potem zalał je wodą. Buchnęła para, gdy woda rozpuszczała plastikowe opakowanie, po czym rozległy się nagłe trzaski.

— Odsuńcie się! To naprawdę niebezpieczne.

Ziemia rozwarła się i w powietrze wystrzeliły zielone łodygi, natychmiast pokrywając się liśćmi. Po pewnym czasie piasek uniósł się, gdy potężne korzenie rozparły go

na wszystkie strony. Ignorując ostrzeżenie Praktisa, Bill dotknął jednego z liści, który pojawił się tuż przed jego nosem. Jęknął i zaczął ssać palec.

— Dobrze wam tak — oznajmił Praktis. — Życie i wzrost generują ciepło, a przy tej szybkości wydziela się go o wiele więcej niż można normalnie odprowadzić. Spójrzcie, jak grunt pęka w miarę absorbowania wody, a piasek rozgrzewa się od tętniącego pod nim życia.

Było to naprawdę widowiskowe. Szerokie liście pochłaniały energię słoneczną, by zaopatrzyć tętniące od enzymów wnętrze rośliny. Na ich oczach rozrósł się owoc. Miał około metra długości i był czerwony. Pomarszczył się i pękł w momencie, gdy wszystkie liście i łodygi zbrązowiały i obumarły. Cały proces trwał mniej niż minutę.

— Robi wrażenie, prawda? — zamruczał Praktis, dobywając noża i zagłębiając go w melonie. Rozległ się syk i roślinny zapach wypełnił powietrze.

— Tak jak niektóre inne organizmy, ten melon jest złożony z komórek zwierzęcych i roślinnych. Komórki zwierzęce to mutacja wołowiny, więc, jak widzicie, mięso wewnątrz zostało ugotowane przez temperaturę wzrostu, i mamy gotowy melonowy stek.

Odciał różowy fragment i wetknął go do ust. Potem odskoczył w bezpieczne miejsce, gdy inni rzucili się do przodu.

Minęła co najmniej godzina, nim przełknęli ostatni kęs i beknęli po raz ostatni, oraz po raz ostatni błogo westchnęli. Pozostały jedynie kawałki skorupy, a wszystkie żołądki napełniły się do granic wytrzymałości.

— Macie więcej tych nasion, admirale? — spytał Bill z nieskrywanym podziwem.

— No jasne. Wyrzucimy więc żelazne racje i całą tę resztę rządowego świństwa i dalej naprzód. Zobaczymy, czy uda nam się dotrzeć do świateł przed zapadnięciem zmroku.

Rozległy się jęki, lecz bez narzekań. Nawet najgłupsze z nich rozumiało, że muszą wydostać się z tej pustyni, zanim skończy się im woda. A zatem ruszyli i kontynuowali marsz, aż słońce zawisło nad horyzontem i Praktis zarządził postój.

— Na dzisiaj wystarczy. Myślę, że na kolację znowu będzie stek, byśmy rano mogli obudzić się w pełni sił. A dziś w nocy dobrze przyjrzymy się tym światłom.

Gdy zapadły ciemności, z pełnymi brzuchami w milczeniu usiedli rzędem na szczycie wydmy. Pierwsze żalosne pomruki zmieniły się w okrzyki radości w momencie do-

strzeżenia świateł na horyzoncie. Dziwne promienie podobne do odległych reflektorów przeciwnolotnych przeszukiwały nocne niebo, zmieniając kolory, zanim zniknęły z pola widzenia.

— To jest to! — krzyknął Praktis. — A teraz jesteśmy bliżej. Wiercie mi, wkrótce tam będziemy.

Uwierzyli mu i popełnili błąd. Nie dotarli tam ani następnego dnia, ani nawet za dwa dni. Światła robiły się coraz jaśniejsze, ale nie zdawały się zbliżać. A zużyli już połowę wody.

— Lepiej żebyśmy byli już poza półmetkiem — stwierdził ponuro Bill, kopiąc w bok pusty zbiornik. Pozostali skinęli głowami w milczeniu.

Potem zjedli swe steki, wypili małe porcje wody, ale nadal było zbyt wcześnie na spoczynek.

— Włączyć jakąś muzykę? — zapytał Praktis.

Poprzednimi razy skwapliwie przyjmowali tę propozycję, ale dzisiaj nikt nie zareagował. Powietrze było tak ciężkie, że można je było niemal ciąć nożem. Bill z trudem mógł zobaczyć pozostałych.

— Możemy opowiadać kawały — powiedział rześko — albo zadawać zagadki. Co to jest: czarne, zabójcze i siedzi na drzewie?

— Krowa z karabinem maszynowym — prychnęła Meta. — Ten kawał był stary, kiedy świat był jeszcze młody. Mogę zaśpiewać. . .

Zagłuszyły ją głosy protestu, które stopniowo przerodziły się w pomruki, a w końcu w ciszę. Zainteresowanie wzbudziła dopiero przemowa Cy, ponieważ był zawsze milczkiem, odzywał się tylko pytany, zazwyczaj mamrocząc odpowiedź.

— Słuchajcie. Nie zawsze byłem taki jak teraz. Prowadziłem inne życie. Dwa różne życia. Jak to się zaczęło, nie wyjawiałem nigdy wcześniej. A skończyło się tragedią. Bo stałem się kimś innym. Nie jestem z tego dumny. Ale stało się. Byłem szamanem. . . voodoo. — Wykrzywił twarz w obscenicznym grymasie, gdy słuchacze żachnęli się. — Tak. Byłem. Mogę wam opowiedzieć. Jeśli chcecie.

— Tak, opowiedz — wykrzyknęli i podeszli bliżej, by poznać:

OPOWIEŚĆ CY BERPUNKA

Dla Cy życie miało smak wygaszonego peta. Tak powinno być. Przeżuwał je. Wypłuł. Utopił w herbacianych siuśkach. Upuścił. Zmiażdżył szpiczastym obcasem.

Dzień sądu.

Decyzja.

Na zewnątrz zamrugał w oślepiającym świetle żółto-pomarańczowego słońca. Powietrze wypełniały płyty styropianu z fabryki strzykawek wydzielające przyprawiający o mdłości morowy odór.

Czas. . .

Tamten gnojek opierał się obscenicznie o szybę ozdobioną szalonym, powyginanym wzorem. Jego kombinezon rzucał szkarłatne cienie na prezerwatywy i automatyczne sztuczne penisy w oknie. Nie podniósł głowy, kiedy zbliżył się Cy. Ale wiedział, że to on. Podłubał w nosie i zadrżał w oczekiwaniu.

— Masz? — wymamrotał lakonicznie.

— Mam. Ty masz?

— Mam. Dawaj.

— Dobra.

Karta kredytowa, nadal ciepła od ciała Cy, zmieniła właściciela. Gówniarz uśmiechnął się szyderczo.

— Dziesięć tysięcy bakników. W umowie było dziewięć. Usiłujesz mnie wyrolować?

— Zatrzymaj resztę. Dawaj.

Dał.

RAMkostka, zamaskowana jak orzech laskowy, prześlizgnęła się dyskretnie z ręki do ręki. Cy wsadził ją sobie do ust. Przełknął.

— Dobrze.

Cy został sam. Wciskacz dotarł do RAMkostki i włożył ją w podstawkę. Zęputer znalazł dojście do RAMkostki. Światło i dźwięk rozdarły wygłodzoną noc. Cy BerPunk odskoczył na bok, umykając przed mściwą robotaksówką. Pochłonęła go ciemność. W Spunkk piesi nie byli bezpieczni. W ciemnej alei Cy znalazł spokojne miejsce za przepelnionym kubłem ze śmieciami, który powykrzywił się pod naporem czasu, rupieci i odpadków postępującej do przodu techniki.

Cy ponownie uruchomił RAMkostkę. To było właśnie to. Długo skrywana formuła wydostana z bezpiecznego RAMbanku. Jego formuła.

Leżała plackiem na piankowym łóżku, kiedy wszedł. Zamknął i zabarykadował za sobą drzwi. Spojrzał na jej blade, niczym u trupa, ciało.

— Powinnaś częściej wychodzić na słońce.

Żadnej odpowiedzi. Jej oczy otaczał makijaż w kropki. Czarny, skórzany stanik i majtki bogato zdobione nylonową koronką bardziej odkrywały niż zakrywały jej figurę. Niedobrze. Zbyt płaska. Bez dupy.

— Czy ten pokój jest pewny?

— Odłączyłam telefon.

— Masz. — Wypluł RAMkostkę na dłoń.

— Nie chcę twojego paskudnego orzeszka z drugiej ręki.

Gniew rozpalił niewidzialną pochodnię w jego oczach.

— To formuła, idiotko.

Komputer zaskoczył, gdy go kopnął. Był to pradowy IBM PC wzmocniony makro Z-80kami. Teraz miał większe możliwości niż Cray. RAMkostka wślizgnęła się w spe-

cialną szufladę w kształcie orzeszka. Ekran ożył odpychającym życiem, przemknęły po nim symbole nie do odcyfrowania.

— To właśnie to.

— To jest nie do odcyfrowania.

— Jest, jeśli odbyłaś przeszkolenie. To trójka, a to siódemka.

Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Odwróciła się i połknęła pigułkę w kształcie pentagonu, tybetańską podróbkę nielegalnej, islandzkiej aspiryny. Zadziałała, gdy obsceniczne symbole przelatywały przez ekran. Laserowa drukarka zaszumiała groteskowo i wyrzuciła odbitkę.

— Masz.

— Nie mogę.

— Zrobisz to. Zdobądź wszystko z tej listy. — Zaśmiał się głupekowo pod wpływem woni aspiryny w jej oddechu.

— Narkotyki. Nielegalne. Zabronione. — Jej palce wibrowały desperacko, gdy czytała. — Alkohol, woda destylowana, gliceryna. . .

— Ruszaj. Albo już po tobie. — Lufa 50 — milimetrowego karabinu maszynowego wyłoniła się spod jego płaszcza. Dziewczyna poszła.

Cy BerPunk miał 21 lat, gdy wprowadził formułę na rynek. Był zagubiony, zapomniany i zagrzebany w przeżartych przez szczury archiwach „Amsterdam News”. Teraz odrodził się i powtórnie wszedł na rynek, stawiając sobie najwyższy cel. Był najnowszy. Najcenniejszy. Rozprostowywacz do włosów łonowych idealnie trafiał w zapotrzebowanie wywołane gorączką nagości. Kto go raz zobaczył, musiał go mieć. A Cy kontrolował dostawy. Bakniki piętrzyły się w stosy, a on obserwował, jak powielają się ich zera. Aż do pewnego dnia, gdy...

— Wystarczy! — wykrzyknął z obrzydzeniem.

Teraz go dopuszczają. Będą musieli. Ich czytnik kont bankowych sprawdził stan jego konta już w momencie, gdy zbliżał się do frontowego wejścia Power House. Dawniej wiele razy walił pięściami w drzwi z chromowanej stali. Teraz, jeśli właściwie odczytali stan jego konta, będzie w środku. Jeśli nie, ryzykował złamanie nosa. Żadne ryzyko nie było zbyt wielkie. Nie zwolnił więc kroku.

Przeszedł do holu. Recepcjonistka miała na sobie maskę holograficzną, ukrywającą twarz. Gapiała się na niego świńska głowa. Złote kółko w nosie, wargi umalowane czerwoną szminką.

— Taak — mruknął. — Apple Core potrzebuje mnie.

Jej uśmiech był zimny jak płynny hel.

— Apple Core potrzebuje pańskich pieniędzy. Trening na szamana voodoo nie jest tani.

— Mogę zapłacić.

— Proszę zobaczyć się z Chandu, pokój 1009. Ostatnia winda po lewej stronie.

Drzwi zamknęły się i podłoga napała na jego stopy. Potem również na jego twarz, bo przyśpieszenie aż wywróciło go. Tysiąc pięter to dosyć długa droga do przebycia. Po otwarciu się drzwi wypełznął na zewnątrz. Z trudem stanął na nogach. Wessał się w osmioboczną galaretkę nasyconą kofeiną. Smakowała obrzydliwie. Ale teraz mógł ruszyć dalej.

Z trzaskiem otworzył drzwi. Dostrzegł błysk chromowej maszyny i małego człowieka, który ją obsługiwał.

— Zamknij drzwi, przeciąg — nakazał Chandu tonem tak imperatorskim jak ostatni cesarz. Machnął umięśnioną lewą ręką. Była pochodzenia włoskiego, pierwotnie przeznaczona do otwierania słoików ze spaghetti. Używał jej do dłubania w nosie. — Sądzisz, że masz to w sobie? Że stałeś się szamanem voodoo? Mordercą klawiaturowym?

— Wiem o tym. Nie tylko mi się wydaje. Pierwszy swój ząb zламаłem, żując komputerową myszkę.

— Wielka mi rzecz.

— A ty to potrafisz?

— Nikt nie potrafi tego, co umie Chandu. Ja nauczam. — Wskazał w kierunku konsoli, która wypełniała prawie całe pomieszczenie. — Mikroprocesor 80386. Dwa Mega RAM. Koprocesor matematyczny. Monitor o wysokiej rozdzielczości.

— Zapomnij o podstawach. — Obscenicznie popieścił monitor. — To moje. Moje VDU. Ja będę szamanem voodoo. Podłącz dermatrody do mojej czaszki. Wprzęgnij mnie w obwód.

— Do czaszki? Co ty bredzisz? Prądy z VDU przepaliłyby ci obwody mózgu. Trzeba, aby ciało trochę to zaabsorbowało. Z dała od mózgu. To czopkotroda.

— Czopkotroda! — oburzył się. — Nie zamierzasz chyba wepchnąć mi tego w bebechy? Chcesz mi to wsadzić w dupę?

— Trafiłeś w sedno.

Teraz wreszcie zrozumiał, po co była dziura w krzeselku przy konsoli.

Ale jego fizyczne ciało zapomniało się zupełnie, gdy popłynęły przez nie ładunki. Stał się jednością z VDU, szamanem voodoo. Jego zmysły krążyły w obwodach komputera. Wszystko było czarno-białe.

— Nie możesz sobie pozwolić na kolor?

— Nie wierz propagandzie — powiedział bezcielesny głos przemawiający do jego czystego jestestwa. — To się nadaje na reklamy holograficzne w metrze. Dla palantów. Nie ma jak czerń i biel. Nie wymaga tyle RAM.

Zimna biel lodu, gorąca czerwień purpury zniknęły mu z pamięci i uciekły w pustkę. Coś wypłynęło z ciemności, zbliżyło się i przesłoniło horyzont. Szafka na fiszki wielkości wieżowca. Zrobiona z drewna. Pokryta pajęczynami.

— Co jest grane? — krzyknął w nieprzeniknioną ciemność.

— Szafka na fizyki. Nie ma lepszego sposobu na przedstawienie funkcji komputera. A czego oczekiwałeś? Nieskończonej niebieskiej przestrzeni? Siatki jasnoniebieskich neonów? Kolorowych sfer? To wszystko bzdura. Holograficzne bajery dla smarkaczy. Jak ludzki umysł działający z prędkością reakcji chemicznych ma nadażyć za stu trzydziestoma milionami operacji na sekundę komputera? Nie da rady. A więc podporządkuj się programowi. Ten program generuje obraz, za którym może nadażyć powolny ludzki umysł. Masz szafkę z fizykami. Otwórz ją. W środku następna szafka. Otwórz szufladę. Znajdź program, kartkę. Idź do podprogramu. To tak proste, że aż nudne.

— Nudne jak flaki z olejem! — zawyła jego dusza w otaczającej ciemności. Odpowiedzi nie było. Chandu zasnął. Cy uczył się. Pochłonęło go i wszystkie jego bakniki. A nawet więcej. Chciał być zabójcą klawiaturowym. Bardziej niż chciał seksu, alkoholu czy narkotyków. Chciał tego tak bardzo, że aż czuł ów smak. Smakowało paskudnie. A jednak nie miał nic przeciwko temu.

Ale potrzebował więcej pieniędzy. A istniało tylko jedno miejsce, gdzie mógł je zdobyć. Był to Spunkk. Podziemne miasto w granicach realnego miasta. Świat z pogranicza. Nigdy nie wkraczał doń żaden stróż prawa, bo nie chciał ubabrać się w rynsztoku,

będącym jedynym tam wejściem. Cy mógł się ubabrać. Dotarł do samego centrum El Mingatorio. Żółte światło jak z dziecięcego koszmaru oświetlało klientelę. Nie był to najgorszy pomysł, bo większość z niej miała wyjątkowo odrażający widok. Cy odepchnął ich na bok i walnął pięścią w podrapany plastik baru.

— Och! — wykrzyknął. Rozsypane było na nim pobite szkło.

— Wszyscy tutaj jesteśmy z powodu jakiegoś „och” — wycodził barman przez na stałe wykrzywione usta. — To co zwykle?

Cy skinął głową. Odruchowo. Zapomniał, co zwykle zamawiał. Oblesny gruby człowiek o posturze wieloryba, stojący po lewej stronie, popijał coś, co pachniało niezbyt zachęcająco. Byle nie to.

Facet, stojący z prawej strony, z nieprzyzwoicie udekorowanymi kondomami strąkami włosów, nachylał się nad szklanką czegoś dymiącego i purpurowego. To także nie.

Wylądowała przed nim szklanka.

— Pańskie... — w głosie barmana nie było politowania, gdy oznajmił: — ...Ginger Ale.

Gdy Cy podniósł szklankę do ust, na jego twarzy pojawił się grymas. Wypił napój do dna. Poczuł, jak wstrząsa nim dreszcz obrzydzenia.

— Dałeś mi niskokaloryczny Ginger Ale?

W odpowiedzi usłyszał jedynie wulgarny, szyderczy śmiech.

W Spunkk wszystko było na sprzedaż. Cy to sprzedał. Robił wszystko dla bakników, których bardzo potrzebował. Sprzedał swą krew. Mył okna. Opiekował się dwugłowym dzieckiem. Nic nie było dla niego zbyt odrażające, zbyt wstrętne. Musiał się przemóc. Chciał zostać szamanem voodoo.

W dniu, kiedy ukończył naukę, przyszli po niego.

Nie mógł uciec. Okna były z kuloodpornej, nietłukącej się szyby. Drzwi ich nie powstrzymały.

Wyważyli je.

— Mamy cię — powiedział pierwszy z nich. Światło uliczne jak zorza polarna wdzierало się do pomieszczenia przez żaluzje i oświetlało jego twarz, nadając jej obrzydliwy wyraz.

— Nie!

Czy to jego głos rozległ się w pokoju? A do kogoż jeszcze miałby należeć?

— Weź to.

Siłą wciśnięto, niczym jadowego papirusowego węża grzechotnika, papier w jego zaciśniętą dłoń.

Nie było ucieczki. Został powołany.

— Zostałem powołany. Skończyłem tutaj. Szaman voodoo bez VDU. Tracę życie, talent. Okręcam drutem płytki obwodów elektrycznych.

* * *

Łzy współczucia dla siebie samego kapały cicho na piasek pustyni. Zapanowała cisza, gdy Cy wreszcie zamilkł. Historia była skończona. Jego publiczność nie zauważyła tego, ponieważ wyczerpana i ukołysana jego głosem, zasnęła. I on tego nie dostrzegł, gdyż regularnie pochłaniał w trakcie swego przemówienia tabletki i narąbał się do utraty przytomności. Gdy wypowiedział ostatnie słowo, przewrócił się na piach i zaczął chrapać.

Nie był jedyną osobą składającą hołd nocnej harmonii. Poświstywanie i sapanie odbijało się echem w zamarłym nocnym powietrzu, gdyż dzień był długi i ciężki. A jednak, słuchajcie! Rozlegało się coś więcej niż tylko chrapanie. Odgłosy podobne do dudnienia i mamrotania. Coś czarnego pojawiło się nad wydumą, zasłaniając gwiazdy. Ruszyło do przodu, zawahało się — a potem spadło błyskawicznie w dół. Nagły krzyk bólu został szybko zdławiony. Ciemny kształt oddalił się i dudnienie ustało.

Coś zaniepokoiło Billa. Otworzył oczy, siadł i rozejrzał się dokoła. Nic nie dostrzegł. Położył się z powrotem, naciągnął koc na głowę, aby odciąć się od odgłosów chrapania, i w mgnieniu oka ponownie zasnął.

Rozdział siódmy

— WSTAWAĆ! — ryczał admirał Praktis, rzucając się tam i z powrotem, i kopiając śpiące sylwetki. Obudzeni jeden po drugim podnosili niechętnie głowy i mrugali zaspianymi oczami w pomarańczowym świetle wschodzącego słońca.

— Zniknęła. Meta zniknęła, porwano ją, uprowadzono.

Była to prawda. Spojrzeli na wygrzebane wgłębienie w piachu, tam, gdzie spała — potem śledzili wzrokiem ślady ciągnące się z tego miejsca w rozległą pustynię.

— Pożarł ją żywcem jakiś obrzydliwy potwór! — jęknął Bill, żłobiąc nerwowo bruzdy w piasku ostrymi, szponiastymi pazurami. Praktis spojrział na niego z obrzydzeniem.

— Jeśli to był potwór, starszy sierżancie, to posiadał prawo jazdy. Ponieważ, o ile się nie mylę, a nie mylę się, są to... ślady opon traktora. Żadnych stóp, pazurów, macek czy czegokolwiek w tym stylu.

— Zgadza się — potwierdził Wurber, poruszając z podniecenia jabłkiem Adama. — To ślady traktora, bez dwóch zdań. Są bardzo podobne do tych starego JCB, jakim jeździłem na farmie. Słuchajcie — myślicie, że w pobliżu może być jakaś farma... ?

— Zamknij się, ty kretynie, bo cię zamorduje! — wrzasnął Praktis. — Coś dopadło Metę podczas snu. Musimy ją odnaleźć.

— Dlaczego? — wymamrotał kapitan Bly. — Do tej pory już dawno nie żyje. To nie nasz interes.

— Starszy sierżancie, wyciągnijcie swą broń. Zastrzelicie każdego, kto nie usłucha moich rozkazów. Pójdziemy po śladach. Naładujcie broń. — Spojrzał na kapitana Bly, którego skargi rozplynęły się w ciszy. — Dobrze. A teraz, jeśli spojrzycie na kompas, przekonacie się, że ślady biegają mniej więcej w tym samym kierunku, w jakim podążamy. Zabierzcie więc wszystkie rzeczy i ruszamy. Pospieszcie się.

Ruszyli. Podzielili się między sobą zawartością plecaka i amunicją Mety. Bill, trzymając w ręku przygotowany blaster, prowadził drużynę.

Słońce wznosiło się na niebie, ale nie zatrzymywali się. Powłóczyli nogami ze znużenia, gdy wreszcie Bill ogłosił postój i mogli rzucić się na swoje manele.

— Pięć minut — ani chwili dłużej. — W odpowiedzi rozległy się jedynie jęki wyczerpania. Z oddali doleciał przytłumiony odgłos wybuchu.

— Wszyscy to słyszeliście — powiedział ponuro Bill, stając na nogi. — Ruszamy dalej.

Gdy wgramolili się z trudem na wierzchołek kolejnej piaskowej wydmy, zobaczyli przed sobą w oddali wstęgę czarnego dymu. Bill przywołał współtowarzyszy na dół gestem ręki i rzucił swój bagaż na piach.

— Trzymajcie broń w pogotowiu — a oczy miejcie szeroko otwarte. Jeśli nie wrócę za pięć minut... — Otworzył usta, lecz zaraz zamknął je z powrotem, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Słuchaj — powiedział Praktis. — Po prostu idź tam i zorientuj się, co się stało. Jeśli nie dasz nam znaku, zajmiemy się tym stąd.

Postawa Billa wyrażała żelazną wolę walki, gdy maszerował, schodząc z jednej wydmy i wspinając się na kolejną. Rozglądał się z góry ostrożnie dokoła, zanim ruszał dalej. Gdy dym był już blisko, tuż za następną wydmą rzucił się na ziemię i wczołgał na górę.

— Przybyłeś w samą porę — powiedziała Meta, gdy jego głowa pojawiła się w polu widzenia. — Masz trochę wody?

— Nic ci nie jest? — Trzymał blaster w pogotowiu, gdy czołgał się bliżej, spoglądając na płonący metalowy wrak.

— A owszem, dzięki wam wszystkim. Pozwolić, żeby mnie porwano prosto spod waszych nosów!

— Co się stało? Co to jest?

— Skąd miałabym wiedzieć? Za to wiem, że spałam głęboko, a potem obudziłam się pokryta piachem i podrzucana. Siadłam i chyba uderzyłam się w głowę, bo na chwilę straciłam przytomność. Gdy się ocknęłam, było ciemno. Słyszałam ryk silnika, więc wiedziałam, że jedziemy. Miałam przy sobie blaster, więc udało mi się uwolnić. A teraz — gdzie woda?

— U reszty załogi. — Wypalił trzykrotnie w powietrze z blastera. — Usłyszają to. Czy zabiłaś kierowcę tego urządzenia!

— Nie było kierowcy — szukałam go w pierwszym rzędzie. Ale to jest robot sterowany na odległość albo coś w tym stylu. Jakaś maszyna na oponach z wielkim lejkiem na przodzie. Musiała mnie wessać i porwać, podczas gdy wy wszyscy smacznie chrapaliście.

— Przykro mi, ale niczego nie słyszałem. . .

Z drugiej strony płonącego wraku rozległ się ostry dźwięk, a po nim — odgłos silnika.

— Jest ich więcej, złaź na dół! — krzyknął, dając dobry przykład, rzucając się w piach i zakopując w nim.

— Niedoczekanie ich, nie dostaną mnie! — syknęła Meta z wściekłością, biegnąc naprzód z gotowym do strzału blasterem. Bill podążył za nią niechętnie, przyśpieszając tylko wtedy, gdy słyszał odgłosy jej broni.

Stała na szeroko rozstawionych nogach. Z lufy blastera wydobywał się dym.

— Chybiony — oznajmiła z niechęcią. — Zwiął.

Bill spojrzął na ślady prowadzące na następną wydmę i znikające za jej szczytem. Były to maleńkie ślady — zaledwie jedna ich para — o szerokości niecałego jarda. Mrugnął oczyma z zakłopotania.

— Podjechał pod górę taki szmat drogi? W takim razie, jak się dostał tu na dół?

— Był tu przez cały czas wewnątrz tego drugiego — oznajmiła Meta, wskazując na pokrywę, która była teraz otwarta w boku wraka. — Wydostał się stąd i odjechał, i wiesz, to nie był robot ani nic podobnego. Wyglądał tak samo jak ten wrak, tylko był o wiele mniejszy.

— Mamy tutaj tajemnicę do wyjaśnienia — powiedział Praktis, zbiegając w dół wydmy i zapinając blaster z powrotem w pokrowcu przy boku. — Słyszałem końcówkę historii, teraz opowiedz, co się stało wcześniej.

— Dopiero, gdy wypiję trochę wody — oznajmiła Meta, a potem zakaszłała. — To była sucha praca.

Gdy wygulgotowała pełny kubek i, ku zadowoleniu wszystkich, powtórzyła opowieść, obejrzeni tłący się wrak. Kopali jego metalowe boki i podziwiali masywne bieżniki na

gaśienicach. Zerknęli do wnętrza lejkowatego kontenera, w którym była więziona Meta. I odeszli, nic nie wiedząc albo mało.

— Hej, Cy — rozkazał Praktis. — To ty jesteś technicznym śmieciarzem. Zajmij się tym urządzeniem, a ja przygotuję obiad. Zostawimy dla ciebie trochę.

Kończyli właśnie posiłek, oblizując tłuste palce, a potem wycierając je w piasek, kiedy dołączył do nich Cy BerPunk, porywając swą porcję mięsa.

— Bałdzo sujące — oznajmił z pełnymi ustami.

— Najpierw przełknij, potem gadaj — polecił Praktis.

— Bardzo interesujące. Zdaje się, że tę maszynę złożono z jednego kawałka. Nie ma żadnych spawań, śrubek ani nic w tym rodzaju. I jest całkowicie samowystarczalna. Masa urządzeń w tym wgłębieniu z przodu wygląda jak obwody elektryczne i pamięć. Są wejścia do radaru, sonaru i detektora podczerwieni. Żadnej broni. Z tego, co się zorientowałem, „to” po prostu wałęsa się po pustyni i ładuje kontener w miejscu, gdzie Meta wpadła w pułapkę. Kierowca to interesująca sprawa. Zasilany energią słoneczną, na górze zbiornik. Zdaje mi się, że znalazłem duże baterie. I coś, co może być pompą hydrauliczną i przewodami hydraulicznymi. . .

— Co ma znaczyć to ględzenie „może być” i „zdaje się”? Myślałem, że jesteście cudownym dzieckiem technologii.

— Jestem. Ale nie dokonam wielkich cudów, dopóki nie dostanę diamentowej piły. Zamiast przewodów hydraulicznych „to” wydaje się mieć wydrążone w litym metalu tunele dla krążenia cieczy. Niezbyt to ekonomiczne, jeśli chodzi o koszty, lecz nigdy nic takiego nie widziałem. A to nie jedyna różnica. . .

— Oszczędźcie mi technologicznego załamania — mruknął Praktis. — Ta „mała tajemnica” wystarczy. Musimy podążyć śladami tego, który zwiął. On również zmierza w kierunku, w którym idziemy, w stronę światła. Być może niesie im wiadomość o nas. . .

— Komu? — zapytał Bill.

— Nie wiem komu czy też czemu, nie wiem ani odrobinę więcej niż którekolwiek z was! Wiem jedynie, że im szybciej się stąd ruszymy, tym większe mamy szansę na kontynuowanie marszu. Chciałbym odnaleźć ich albo to, albo cokolwiek, zanim ono odnajdzie nas. A zatem ruszajmy.

Po raz pierwszy Praktis nie spotkał się z żadnym sprzeciwem. Sprawdzał szlak kompasem w miarę jak szli naprzód, ale po pewnym czasie zaprzestał tego. Posuwali się we właściwym kierunku. Dzień był długi i gorący, a jednak Praktis nie zarządził postoju aż do momentu zapadnięcia ciemności. Wpatrywał się w ślady ginące w mroku, a Bill podszedł do niego i uczynił to samo.

— Czy myśli pan o tym, o czym i ja myślę? — zapytał Bill.

— Tylko w przypadku jeśli myślicie, że to za czym idziemy, nie musi przystawać na odpoczynek i wciąż sunie naprzód.

— Właśnie o tym myślałem.

— Lepiej wystawmy dziś w nocy wartę. Nie ma potrzeby, aby ktokolwiek inny zniknął w mroku.

Podjęli nocną straż, co wcale nie oznaczało, że było to konieczne. Ryk silników zbliżający się w ich kierunku był bardzo wyraźnie słyszalny. Tkwili dobrze zagrzebani w piasku na szczycie swej wydmy z blasterami gotowymi do strzału, a ryk silników stawał się ogłuszający. Ze wszystkich stron.

— Jesteśmy otoczeni! — załkał Wurber, po czym jęknął ugodzony czymś kopniakiem.

Lecz nie stało się nic więcej. Silniki dudniły głośno, a potem dźwięk ich przeszedł w pomruk. Żadna z maszyn nie zbliżyła się. Po chwili ciekawość Billa wzięła górę i wychylił się na rekonesans. Światło gwiazd wystarczało, by dostrzec ciemne sylwetki oczekujące w dole.

— Jesteśmy otoczeni — zdał raport po powrocie. — Mnóstwo wielkich maszyn. Nie widziałem szczegółów. Ale są ze wszystkich stron, gąsienica w gąsienicę. Czy spróbujemy się między nimi przemknąć?

— Po co? — spytał Praktis chłodno. — Wiedzą, że tu jesteśmy i znacznie przewyższają nas liczbą. Jeśli będziemy próbować sztuczek w ciemności, nie wiadomo co się stanie. Przeczekajmy do świtu.

— Będziemy mogli przynajmniej zobaczyć, kto dobiera się nam do dupy — mruknął kapitan Bly i łyknął pigułkę. — Ja się wyłączam. Może obudzę się martwy, ale przynajmniej nie będę o tym wiedział.

Nikt się z nim nie spierał. Ci, którzy byli w stanie spać, spali. Bill też tego próbował, ale bez skutku. W końcu przysiadł na wydmie i wpatrzył się w niewidocznych prześladowców. Meta przyłączyła się do niego, obejmując go przyjaznym ramieniem.

— Widzę, że jesteś samotny, zmartwiony i przerażony — powiedziała.

— Nietrudno zauważyć. A ty?

— Ja nie. Jestem zbyt twarda, by sobie na to pozwolić. Pocałujmy się i zapomnijmy o tych wszystkich okropnych monstrach.

— Jak możesz w ogóle myśleć o seksie w takim momencie! — krzyknął Bill, wyślizgując się z ciepłego uścisku. — Za parę godzin możemy być martwi, z tego co widać.

— Jakiż może być lepszy powód, by zapomnieć o kłopotach, kochanie. A może ty nie lubisz dziewcząt? — szczebiotała w ciemnościach.

— Lubię dziewczyny, naprawdę lubię. Ale nie w tej chwili. Patrz! — W momencie ejakulacji z jego głosu opadło napięcie. — Czyż niebo się nie przejaśnia? Lepiej pójść obudzić innych.

— Inni wcale nie śpią — powiedział głos w ciemności. — I naprawdę bawi nas wasz dialog.

— Jesteście bandą pieprzonych podglądaczy! — krzyknęła Meta i dziko strzeliła w ciemność z blastera. Ale tamci zanurkowali kryjąc się i nikt nie został ranny. Mruczała coś do siebie w miarę jak niebo rozjaśniało się coraz bardziej, a potem zwróciła swój gniew przeciwko oczekującym maszynom.

— Dostanę pierwszą, która się zbliży. Walnę jej prosto między oczy. Nie wiem, jak wy to widzicie, męskie szowinistyczne świnie, ale słaba kobieta nie zamierza się poddać. Zabiorę ich tyle, ile zdołam do swojego grobu!

— A może byśmy tak rozpatrzyli to nieco rozsądniej — zaproponował Praktis z ukrycia w swej lisiej dziurze. — Po prostu odłóż broń, dopóki nie zobaczymy, co będzie dalej. Później zostanie i tak mnóstwo czasu na strzelaninę, jeśli sprawy potoczą się w tym kierunku.

Rozległ się odległy pomruk i na niebie nad nimi pojawiła się jakaś maszyna. Kłapiący skrzydłami ornitopter. Gdy dokłapał się zbyt blisko, Meta skoczyła na równe nogi i strzeliła. Z ogona posypały się kawałki i ornitopter odleciał w dal.

— Och, dobra robota — mruknął Praktis, ale nie aż tak głośno, by wściekła kobieta mogła go dosłyszeć. — Wolałbym jednak załatwić wszystko w sposób pokojowy.

Po drugiej stronie wydmy ożył jakiś silnik. Meta odwróciła się i oddała strzał, zanim złapał ją Praktis.

— Pomocy! — krzyknął. — Zanim ona sprawi, że wszystkich nas wybija.

Ten objaw tchórzostwa poskutkował i wszyscy dzielni mężczyźni rzucili się do obezwładniania kobiety. Udawali przy tym, że nie słyszą jej wyzwisk. Po odebraniu broni, odsunęli się na bok i usiłowali wyglądać na usposobionych pokojowo i optymistycznie, gdy jeden z pojazdów kołowych ruszył wydumą w ich kierunku. Podjechał blisko, potem obrócił się bokiem i zatrzymał. Odsunęli się do tyłu na szczyk metalu, ale było to jedynie otwarcie drzwi. Gdy nic więcej się nie stało, Bill, dzięki Mecie czując się mężczyzną, wystąpił naprzód, by dowieść, że dobry stary ogier nadal w nim siedzi. Przystanął i zajrzał do środka. Potem wrócił i zdał raport.

— Nie ma kierowcy, ale w środku są siedzenia. Sześć siedzeń. Dokładnie tyle ilu nas jest.

— Błyskotliwa obserwacja — uznał Praktis, stając na paluszkach, by zajrzeć do pojazdu. — Czy ktoś ma ochotę na przejażdżkę?

— A czy mamy jakiś wybór? — spytał Bill.

— Nie widzę żadnego. — Praktis spojrział przez ramię na krąg wielkich pojazdów, które go otaczały.

— Zaryzykuję — oznajmił Bill i wrzucił swój worek do środka, gramoląc się zaraz za nim. — I tak woda już się prawie nam skończyła.

Niechętnie ruszyli za nim. Gdy wszyscy usadowili się w środku, drzwi samoczynnie się zamknęły, silnik ruszył i pozbawiony pilota pojazd zjechał z pagórka. Jedna z czołgopodobnych maszyn usunęła się przed nimi na bok i przez to przejście wyjechali na pustynię. Obracające się gaśienice wzbily wielki tuman kurzu, przez który przedarły się pozostałe maszyny podążające za nimi.

Rozdział ósmy

— Ten wrak ma z pewnością przednie zawieszenie — stwierdziła Meta, podskakując na metalowym siedzeniu, gdy posuwali się wyboistą równiną.

— Ale wytrwale prze do przodu! — odparł Bill, próbując powtórnie wkraść się w jej łaski. Jedyłą odpowiedzią był ironiczny uśmiech.

— Tam przed nami coś jest — oznajmił Cy trzymający się ramienia Wurbera dla zachowania równowagi podczas spoglądania przez wizjer. — Nie widzę jeszcze co to, ale wygląda bardzo pokaźnie.

Daleki obiekt rósł w oczach, w miarę jak się do niego zbliżali. W końcu stał się tak duży jak ludzka dłoń i nadal rósł, aż zaczęli dostrzegać pierwsze szczegóły.

Początkowo były one niewyraźne i pozostały takimi, nawet gdy dotarli bliżej. Kiedy minęli most i zjechali w dolinę za nim, ujrzeli skupisko wież, różnych kształtów i struktur, otoczone wysokim murem. Piasek w pobliżu poprzecinany był śladami gąsienic, tworzącymi płataninę zmierzającą ku jednemu miejscu — okazałemu wybrzuszeniu widniejącemu na ścianie.

Ich pojazd nadal posuwał się naprzód, ale inne maszyny zwolniły, zatrzymały się i pozostały w tyle, znikając z pola widzenia w chmurach pyłu wzniesionych wokół siebie. Zbliżając się do ściany, transporter nie zwolnił, a ona rozwarła się w ostatnim momencie. Wcisnęli się przez ten otwór i gdy ściana za nimi znów się zamknęła, zapadła absolutna ciemność.

— Mam nadzieję, że to coś widzi w ciemności — mruknął do siebie Praktis. Potem pojawiło się przed nimi światło i pojazd zwolnił, wyjechał na słońce i zatrzymał się.

— No i cóż w tym nadzwyczajnego? — spytała Meta. — Jeszcze trochę piachu, mocny mur i takie samo niebo. Mogliśmy równie dobrze zostać na pustyni. . . — Urwała, gdy drzwi pojazdu rozwarły się z trzaskiem.

— Sądzę, że próbują nam coś powiedzieć! — stwierdził Wurber. Powstali wojownicy i wyszli na zewnątrz, chociaż, prawdę powiedziawszy, nie mieli większego wyboru. Z wyjątkiem może Billa, który miał jeszcze mniejsze możliwości wyboru.

— Słuchajcie, koledzy, mam pewien problem. To coś złapało mnie za nadgarstki.

Stał i szarpał się, lecz metalowe klamry trzymały go mocno. Zanim ktokolwiek mógł mu pomóc, drzwi pojazdu zatrzasnęły się. Bill krzyknął chrapliwie w momencie, gdy maszyna ruszyła do przodu, rzucając go z powrotem na siedzenie. W ścianie przed nimi pojawił się otwór i wjechali do niego. Zdenerwowane okrzyki jego towarzyszy ucichły, gdy otwór został zamknięty.

— Nie jestem pewien, czy to mi się podoba — wyszeptał Bill w ciemność, podczas gdy pojazd nadal jechał. Przekraczał kolejne drzwi i wreszcie znalazł się w komorze oświetlonej słońcem. Uchwyty puściły w tym samym momencie, gdy stanęli i drzwi szeroko się rozwarły. Bill rozejrzał się wokół i wyszedł na zewnątrz.

Słońce przesączało się przez przezroczyste panele ponad jego głową, oświetlając kompleks maszyn i dziwnych urządzeń pokrywających ściany. To wszystko było bardzo tajemnicze, lecz zanim zdołał się przyjrzeć, mała, krąglutka maszyna na skrzypiących kółkach podjechała i zatrzymała się obok. W jego kierunku wystrzeliło metalowe ramię z czarną gałką na końcu i uderzyłoby go w twarz, gdyby nie zrobił uniku. Wyciągnął blaster z kabury, gotów odstrzelić tę rzecz, jeśli ponownie próbowałaby podobnych sztuczek. Ale gałka zbliżyła się do jego twarzy i zatrzymała się około stopy od niej. Wibrowała lekko, wydając bzyczący dźwięk, po czym pisnęła i przemówiła głębokim głosem.

— Bla-bla-bla-b-bla-bla! — powiedziała z elektronicznym entuzjazmem, a potem wykręciła się w jego stronę, tak jakby oczekiwała odpowiedzi. Bill uśmiechnął się i odchrząknął.

— Tak, jestem całkowicie pewien, że masz rację.

— 0101 1000 1000 1010 1110

— Może coś bliższego?

Rzecz zawirowała, po czym znów przemówiła:

- Karsnitz, ipplesnitz, frinkle.
- Niezupełnie łąpię, o co chodzi.
- Su ogni parola della pronuncia figurate e stato segnato l’accento fonico.
- Nie — powiedział Bill. — Nadal mam pewne trudności.
- Vous y trouverez plus million mots.
- Ostatnio nie.
- Mi opinias ke vi commprenas renion.
- To już bliżej.
- Musi być jakiś język, chociażby nie wiem jak paskudny, którym potrafisz władać.
- Zgadza się!
- Czy określenie „zgadza się” oznacza, że rozumiesz moje komunikaty?
- Jasne, że tak. Twój głos jest nieco grobowy, ale poza tym okay. A teraz mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby...

Rzecz nie czekała na dalszy ciąg, ale odtoczyła się z powrotem pod ścianę i zatrzymała się przy maszynie wyglądającej jak skrzyżowanie kamery telewizyjnej i spłuczki.

Bill westchnął oczekując, co się teraz stanie. A kiedy już to nastąpiło, zrobiło na nim olbrzymie wrażenie.

W oddali zabrzmiały dzwony i rozległ się dźwięk syreny. Wszystko stało się jeszcze głośniejsze, gdy w ścianie pojawiły się drzwi, przez które wpadł snop światła. Z otworu wyłoniło się złote podium i zatrzymało przed Billem. Pokrywały je złote draperie, a na draperiach leżała złota postać. Nieomalże ludzka w formie, jeśli nie liczyć faktu posiadania przez nią czterech rąk i niewątpliwie metalicznego pochodzenia. Złota głowa odwróciła się w jego kierunku, rozwarła złote źrenice i przemówiła złotymi ustami pełnymi złotych zębów:

— Witamy, o nieznajomy z odległego świata.

— Hej, to wspaniale. Ty naprawdę mówisz moim językiem.

— Tak. Właśnie nauczyłem się go od lingwistycznego cybernatora. Ale nie jestem pewien plusquamperfektu i gerundium. A także nieregularnej liczby mnogiej.

— Sam nigdy ich nie używam — odparł Bill.

— Ta odpowiedź wydaje się satysfakcjonująca, choć nieco lakoniczna. A teraz powiedz, co sprowadza cię do naszego małego, przyjaznego światka Usa.

— Czy tak nazywa się ta planeta?

— Oczywiście, palancie, czy jak tam powinienem powiedzieć. Nawiasem mówiąc, czy mógłbyś mi doradzić, jak używać tego typu konstrukcji? Aha, rozumiem ze skinienia twojej głupiej głowy, że na ten temat nie masz również pojęcia. Ale wracajmy do pracy. Jaki jest powód waszego przybycia tutaj?

— No cóż, nasza baza, która wydawała się raczej bezpieczna, dopóki nie została zaatakowana. . .

— Tak dla twojej informacji, użyłeś przed chwilą konstrukcji, o którą cię pytałem. Billowi odjęło na moment mowę, ale po chwili znów ją odzyskał.

— Ale zostaliśmy zaatakowani przez wielkie, latające smoki. . .

— Przepraszam, że przerywam, ale czy nie były to przypadkiem wielkie metalowe latające smoki?

— Tak. Były.

— A więc o to chodziło tym skurwielom! — Złote powieki zamrugały i stwór wydał głęboki syk. Potem znów zwrócił uwagę na Billa.

— Przepraszam. Zapomniałem się. Nazywam się Zots-Zits-Zhits-Glotz, ale możesz nazywać mnie Zots dla zaznaczenia naszej rosnącej intymnej przyjaźni. A ty jesteś...?

— Ostatnio mianowany starszy sierżant Bill.

— Czy muszę używać całego tytułu?

— Przyjaciele mówią mi Bill.

— To miło z twojej strony i z ich strony również. Ależ jestem złym gospodarzem. Czy mógłbym zaoferować ci coś dla odświeżenia? Może trochę rafinowanego oleju. Albo dobrze przefiltrowaną benzynę lub kropelkę fenolu.

— Nic z tych rzeczy, dziękuję. Ale z pewnością nie wzgardziłbym szklaneczką wody...

— CZEGO chcesz? — westchnął Zots pierściami z brązu. — A może, cha-cha, źle cię zrozumiałem. Może chodzi ci o jakąś substancję, o której nigdy nie słyszałem. Nie prosiłbyś o wodę, płyn o symbolu H-2-O, zawierający w tej temperaturze dwie molekuły wodoru i jedną tlenu?

— To właśnie to czego chcę, panie Zots. Jest pan dobry w chemii!

— Straże! Zniszczyć tę kreaturę! On chce mnie unicestwić, otruć! Zetrzyjcie go w pył! Stopcie! Poluzujcie mu śrubki!

Bill cofnął się roztrzęsiony ze strachu, gdy ruszyły na niego przeróżne sprzęty ambulatoryjne. Pęsety, metalowe szczypce, wirujące czułki i cęgi miały go właśnie chwycić i rozmontować, gdy powtórnie rozległ się głos:

— Stop!

Wszystkie przystanęły w połowie ruchu. Z wyjątkiem jednej maszyny, która już zbyt daleko wyciągnęła swe ramiona. Straciła równowagę i runęła na podłogę.

— Tylko jedno pytanie, o nieznanym Billu, zanim znów wypuszczę na ciebie tę hordę. Ta woda... co planowałeś z nią zrobić?

— Chciałem ją oczywiście wypić. Jestem naprawdę spragniony.

Metalowy dreszcz przebiegł przez złote ciało Zotsa. Był to jeden z nielicznych przypadków w życiu, gdy Bill wpadł na jakiś oryginalny pomysł. Z widocznym na twarzy wysiłkiem, po dość długim czasie, jego zrujnowane w wojsku komórki mózgowe dodały dwa do dwóch i w wyniku tego zdołały otrzymać cztery.

— Ja lubię wodę. No cóż, dziewięćdziesiąt pięć procent mojego ciała — powiedział, czyniąc poważny błąd — jest zrobione z wody.

— Czy te cuda nigdy się nie skończą! — Zots opadł na swe draperie i myślał tak głośno, że można było słyszeć obracające się kółka i zapadki.

— Straże, wycofać się — nakazał, i tak też się stało.

— Myślę, że życie oparte na wodzie jest teoretycznie możliwe, chociaż brzmi to odrażająco.

— Tak naprawdę, to nie na wodzie... — powiedział Bill, wspominając lekcje w szkole — ... ale na węglu. I chlorofilu, no wiesz o czym mówię.

— Nie, prawdę powiedziawszy, nie wiem. Ale szybko się uczę.

— Czy mógłbym o coś spytać? — zagadnął Bill i wziął skinienie głowy Zotsa za zgodę. — Zgaduję tylko. Ale ty jesteś chyba zrobiony z metalu. To znaczy nie zrobiony, ty jesteś metalowy.

— To wydaje się raczej oczywiste.

— A więc jesteś żywą metalową maszyną!

— Słowo maszyna użyte w tym kontekście jest dla mnie afrontem. Bardziej precyzyjne byłoby określenie: forma życia oparta na metalu. Musimy o tym dokładniej pogadać, a także o latających smokach i innych interesujących nas tematach. Ale najpierw, oto twoja trucizna, to znaczy, przepraszam, pożywka.

Do przodu potoczyła się metalowa platforma, wyciągnęła wysięgnik i złożyła na podłodze przed Billem szklany pojemnik. Zaraz potem szybko się wycofała. Bill podniósł go i zobaczył w środku przelewający się przezroczysty płyn. Nieco trudności sprawiło mu znalezienie wieczka, ale w końcu zdołał otworzyć naczynie. Powąchał podejrzliwie, ale nie wyczuł niczego. Zanurzył w środku jeden palec i nadal nic nie poczuł. Polizał palec.

— To stara dobra H-2-O. Dobry z ciebie koleś, Zots. Serdeczne dzięki.

Natychmiast opróżnił pojemnik jednym potężnym łykiem i odłożył go z satysfakcją.

— Teraz już widziałem wszystko — powiedział Zots z podziwem. — Będę miał o czym opowiadać chłopakom w warsztatach. — Pstryknął palcami i jedna z maszyn na kółkach podjechała, podając mu puszkę oleju. Wzniósł ją do toastu. — Twoje zdrowie, pijący truciznę przybyszu! — Opróżnił puszkę i odrzucił ją na bok. — Wystarczy poga-

duszek. Wracamy do pracy. Musisz opowiedzieć mi więcej o ataku latających smoków. Czy wiesz jaki miały powód, by to zrobić?

— Jasne, że tak. Ten atak prowadzony był przez bandę odrażających Chingerów.

— Twoja historia robi się coraz ciekawsza. A co to właściwie jest Chinger?

— Oni są naszymi wrogami.

— Czyimi?

— Rodzaju ludzkiego. To znaczy moimi, a raczej nas, ludzi. Ci Chingerzy to obcy inteligentny gatunek próbujący nas zniszczyć. A więc naturalnie my musimy ich zniszczyć najpierw. Destrukcję na wielką skalę nazywamy wojną.

— Coraz bardziej rozumiem. Ty i ci inni wodopochodni ludzie jesteście w stanie wojny z Chingerami. Czy wolno mi zapytać... czy ich metabolizm opiera się na węglu czy metalu?

— Cholera, nie jestem pewien. Mają cztery ręce tak jak ty, ale wiem, że nie są z metalu. Ale kierują metalowymi smokami. Wiem, ponieważ sam jednego widziałem. Te smoki, ho-ho — zaśmiał się sztucznie, próbując być grzeczny — nie są przypadkiem wasze?

— Pod żadnym pozorem. Zostały stworzone przez Wankkerów. Opowiem ci o nich, ale najpierw... zupełnie byłbym zapomniał. Te istoty, które z tobą tu sprowadziliśmy, czy to przypadkiem nie Chingerzy? A może twoi wspólnicy?

— To ludzie tak jak ja. Moi przyjaciele... , a przynajmniej niektórzy z nich.

— A zatem musimy się o nich zatroszczyć. Naprawdę kiepski ze mnie gospodarz. Sprowadzę ich tutaj... a potem opowiem wam tę paskudną historię o Wankkerach.

Rozdział dziewiąty

Reszta załogi została zapędzona do pomieszczenia przez maszyny pasterskie. Rozglądali się wokół podejrzliwie i trzymali dłonie na blasterach.

— W porządku... jesteście wśród przyjaciół — szybko zawołał Bill, zanim doszło do jakichś tragicznych wypadków.

— Lepiej uściślijcie swoją wypowiedź — poprosił Praktis. — Co z tego wyposażenia laboratoryjnego ma być naszymi przyjaciółmi?

— Ten złoty koleś na kanapie. Nazywa się Zots i chyba tym wszystkim rządzi.

— Nawet na pewno, przyjacielu Billu. Jestem tu pierwszą figurą, jak powiedzielibyście w swym języku, chociaż ta definicja pozostaje dla mnie zagadką. Przedstaw mnie swoim kolegom.

Gdy Bill dokonał już prezentacji i wszyscy przybyli łyknęli sobie wody, wprowadził ich w sytuację.

— Wygląda na to, że ten tu Zots i reszta jego gangu są opartymi na metalu formami życia.

Praktis szeroko wybałuszył oczy, gdy to usłyszał i od razu nasunęło mu się wiele naukowych pytań. Bill dostrzegł to i natychmiast wyjaśnił:

— On wprowadzi pana we wszystkie szczegóły naukowe nieco później, admirale. Ale najpierw chciał nam opowiedzieć o tych latających smokach, które nas zaatakowały. To ma coś wspólnego z czymś, co nazywają Wankkerami.

— Mała poprawka — wtrącił Zots. — One zostały stworzone przez Wankkerów. Mamy na oku te metaliczne mamki, bo nie można im ufać. Bill poinformował mnie, że prowadzicie wojnę ze złymi Chingerami. Można powiedzieć, że nasze stosunki z Wankkerami opierają się na podobnych zasadach. A ponieważ wydaje się, że po wycofaniu

się stąd wytrenowali oni smoki dla Chingerów, stajemy się tym samym kochankami, nieprawdaż?

— Sojusznikami, to lepsze słowo — poprawił Praktis.

— Zrozumiałem, drogi przyjacielu. Jeśli chodzi o Wankkerów, to planują oni zniszczenie nas, a zatem my musimy zniszczyć ich pierwsi.

— Zupełnie jak w przypadku ludzi i Chingerów! — błyskotliwie zauważył Bill.

— Rzeczywiście, ale chyba istnieje tu pewna różnica. Tutaj na Usa mamy wiele różnych form życia, jak możecie zauważyć, rozglądając się wokół. Miliony lat temu życie rozwinęło się w ciepłych zbiornikach oleju wypełniających nasz krajobraz. W łaskawych promieniach słońca proces ewolucji przyjął wiele ścieżek. Z biegiem wieków rozwinęły się proste formy mineralne, które nadal pasą się na metalicznych pastwiskach w górach i na słonecznych preriach. Ale życie jest z krwi i kości metalowe. Formy maszynowe ewoluowały i polowały, co nadal czynią kosztem form mineralnych. Takie już jest u nas życie i u was chyba też?

— Zgadza się! — potwierdził z wielkim entuzjazmem Praktis. — Równoległa ewolucja. Musimy dokładnie omówić tę myśl. . .

— I zrobimy to. Ale najpierw Wankkerzy. Ewoluwali tak samo jak inne formy życia. Ale, jakby to wyrazić, są stuknięci pod względem klinicznym i praktycznym. Są skomplikowani. Mają poluzowane śrubki. Wdali się w związki z innymi szalonymi maszynami i wszystkie rozsądne formy życia wyrzekły się ich. Już od dawna usiłujemy ich zniszczyć, zanim oni zrobią to z nami. Jednak fakt, że są stuknięci nie oznacza wcale ich głupoty. Ci, którzy przetrwali metaliczne masakry, zbiegli i zaszyli się w górach. Zamiast żyć w pokoju łapią niewolników, biją ich i maltretują. To zupełny horror. Jeszcze straszniejsza jest wieść, że zjednoczyli się z tymi wodnistymi wyrzutkami, Chingerami. Tak przynajmniej poinformował mnie Bill.

— To prawda — powiedział Praktis. — Właśnie oni przeprowadzili atak latających smoków.

— Wszystko wydaje się pasować. Ostatnio donoszono nam o szalonej aktywności w twierdzy Wankkerów. Nasi szpiedzy zauważyli wielkie ilości latających smoków nad górami. Baliśmy się ataku, nie zdając sobie sprawy, że te hordy skierowano przeciw komuś innemu. Mimo iż sami się z tego cieszymy, wasze nieszczęścia są dla nas przykrą wieścią.

— Och, tak — potwierdził Praktis. — Z ogromną chęcią omówiłbym z tobą kwestie ewolucji. Ale to będzie musiało poczekać. Należałoby się teraz zastanowić, jak połączyć nasze wysiłki w celu pokonania wrogów.

— To dopiero jest pytanie, prawda? Wszystko trzeba będzie przemyśleć. Proponuję, żeby teraz pokazano wam kwatery. Dostaniecie też coś na odświeżenie: kropelkę lub dwie oleju, może trochę tartego magnezu? Och, co ja mówię!

— Uspokój się Zots — stwierdziła Meta. — Mamy ze sobą własne zapasy. Potrzeba nam tylko tego, co mieliśmy ze sobą i jakiegoś gruntu.

— Pragniecie zatem prostoty i takie właśnie wydałem rozkazy. Odpocznijcie i odświeżcie się. Skontaktuję się z wami po konferencji z doradcami.

— To miejsce wydaje się nawet przyjemne — powiedział Wurber, gdy ruszyli ko-rytarzami za swym kołowym przewodnikiem. — O kurcze, ale mieliśmy szczęście. . .

— Zamknijcie się, odmóźdzony palancie — nakazał Praktis. — W twoich synap-sach chyba nigdy nie załęgła się żadna rozsądna myśl. Czy nie widzisz, że otaczają cię cuda naukowe? Nie, oczywiście, że nie. Ale ja widzę! Będę pisał rozprawy, publikował książki, stanę się galaktyczną sławą!

— We flocie też dostanie pan awans — oznajmił z radością Bill. — Jeśli namówi pan wszystkie te maszyny, aby walczyły przeciw Chingerom, będzie to dla pana oznaczało karierę militarną.

— Jedyne awans jakiego pragnę, to powrót do cywila. Zupełnie by mi wystarczył.

— Oto... wasze kwatery — powiedział bardzo metalicznym głosem ich przewodnik, otwierając drzwi do wielkiego pomieszczenia. Nie było w nim żadnego wyposażenia ani mebli, z wyjątkiem dużych haków na ścianach. Ich „chłopiec hotelowy” wskazał na nie jednym z odnóży. — W nocy możecie się powiesić na tych hakach.

— Serdeczne dzięki, Błyszczku — westchnęła Meta. — Ale mamy lepsze sposoby na spędzanie nocy. A co z tym kawałkiem gruntu, o który prosiliśmy?

— Załatwione. Proszę iść tak jak ja.

— Żeby chodzić tak jak ty, musiałabym powyłamywać sobie stawy.

Ruszyła za maszyną przez kolejne drzwi na znajdujący się za nimi dziedziniec.

— Wygląda wspaniale! — Stanęła na odkrytym gruncie i zawołała: — Dawajcie jedno z tych nasion melonowego steku. Mój żołądek zaczyna już myśleć, że odcięto mu gardło. Ooooch!

— Ooooch? Co to ma znaczyć? — zapytał Praktis, zwracając się w kierunku drzwi w samą porę, by zobaczyć jak piasek gotuje się wokół jej nóg.

— Oooch! — powiedział sam do siebie. Potem przetaił oczy, gdy zatoneła w piasku i zniknęła z widoku.

— Pomoc wkrótce nadejdzie — stwierdziła maszyna-przewodnik, wyciągając ramię z elektronicznym okiem, by zajrzeć do dziury.

I tak się właśnie stało. Zewnętrzne drzwi rozwarły się na oścież i Wurber został powalony na ziemię przez maszynę w kształcie torpedy, toczącą się na rzędach małych kółek. Zanurkowała ona nosem do dziury i zniknęła w niej równie szybko jak Meta.

— Co stało się Mecie? — zapytał Bill, wypadając na podwórko.

— Cholera wie. Ziemia po prostu się rozwarła i pochłonęła ją, wsio.

— Dostaję teraz raporty — powiedział Zots, pojawiając się w pomieszczeniu. Nadal spoczywał na swym złotym piedestale, niesiony obecnie przez sześć małych maszyn tragarских. — Tunel jest dość długi i wychodzi poza zewnętrzną ścianą. Aż u podnóża gór. Ach, tak. Wychodzi na ślicznie oświetloną słońcem dolinę, gdzie wasza towarzyszy-ka jest właśnie ładowana na latającego smoka. Nasza maszyna została zauważona. . .

Zots zaczął charczeć i szybko łyknął sobie oleju.

— I to by było wszystko w tej chwili. Maszyna została zniszczona. Wysłałem już maszyny bojowe, ale obawiam się, że zbyt późno. Czujki donoszą o smoku oddalającym się z wielką prędkością.

— Tylko mi nie mów, że w kierunku gór — warknął Praktis. — Czy wasza gościnność obejmuje również kidnaping?

— Jestem przerażony, drodzy goście, wierzcie mi. To tak wielka ujma na honorze, że gdybym miał elektryczną wiertarkę, popełniłbym natychmiast hara-kiri. Ale być może bardziej przydam się żywy niż martwy, bo zorganizuję pogoń i odbicie porwanej. W momencie, gdy mówię te słowa, w drodze znajduje się maszyna bojowa. Chciałbym zasugerować, aby ktoś z waszego zespołu wystąpił jako doradca w kwestii przywrócenia wolności więźniowi. Czy mamy ochotnika?

Nastąpiło małe zamieszanie i wszyscy cofnęli się pod ścianę.

— Ja jestem dowódcą statku śmieciarki.

— Mnie dopiero wcielono, prosto z farmy.

— Znam się tylko na elektronice. Nigdy nie uczyłem się strzelać.

— Ranga: admirał. Zawód: naukowiec. Zostaje nam tylko jeden weteran walki.

Wszystkie oczy skierowały się na Billa, który z troską ssał dolną wargę i obmyślał sposób, jak się z tego wymigać.

— Gratuluję, starszy sierżancie — powiedział Praktis, występując naprzód i klepnął go w ramię. — Nasza nadzieja będzie z wami. By pomóc wam w staraniach — podziękujecie mi w dniu wypłaty — mianuję was teraz kapitanem. A oto dodatkowy ładunek do waszego blastera, gdybyście go potrzebowali. Nie wahajcie się i ruszajcie dzielnie. Jeśli tego nie zrobicie, rozwalę wam łeb jednym strzałem.

Bill zgodził się z logiką powyższej argumentacji i wystąpił do przodu. Rozległ się donośny hałas i do pomieszczenia wsunęła się groźnie wyglądająca, brzydka maszyna. Wyposażona była w mnóstwo karabinów, bagnetów, granatników i pistoletów laserowych. Miała nawet, wielkie nieba, armatkę wodną w miejscu, gdzie powinno znajdować się zupełnie coś innego.

— Waleczny Diabeł Mark I — oznajmił dumnie Zots. — Został nauczony waszego języka i jest do dyspozycji.

— Jestem do dyspozycji — powiedziała maszyna grobowym głosem. — Proponuję, by wszyscy znów weszli do pomieszczenia, by uniknąć natychmiastowego zmiżdżenia.

Zagoniła zdziwionych ludzi do środka; maszyny uczyniły to już wcześniej. Niebo poczerwiano i rozległo się potężne łopotanie skrzydeł — srebrny ornitopter opadł na podwórko. Z trzaskiem uderzył o grunt, nisko osiadł na amortyzatorach, zakołysał się i znieruchomiał. Z boku wyłoniła się drabinka.

Bill popatrzył sceptycznie.

— W głowie mi się to nie mieści — zamruczał. — Ptaki latają, łopocząc skrzydłami, ale maszyny tego nie robią. Są zbyt ciężkie, by wznieść się w ten sposób.

— Musisz po prostu wierzyć swoim oczom — stwierdził Zots. — To forma życia oparta na aluminium, nie żelazie. W każdym razie życzę szczęścia, nasz nowo pozyskany towarzysz Billu. Tak dzielny wojownik jak ty z pewnością potrafi stawić czoła śmierci. Broń go dobrze, Waleczny Diable.

— Do ostatniego erga energii, do ostatniej kropli oleju — przyrzekła maszyna.

Bill został grzecznie podsadzony na drabinkę. Maszyna wspięła się za nim.

Czuając się wpuszczony w maliny. Bill spoczął na siodełku w tyle ornitoptera i wsunął stopy w specjalne noski. Za nim umieścił się Mark I. Zots krzyknął do niego:

— Niech słaba siła nuklearna i mocna siła nuklearna będzie z tobą.

Ich metaliczny rumak zabzyczał i wszystkie cztery skrzydła wzniosły się powoli, a potem zaczęły ciąć powietrze z coraz większą szybkością. Maszyna wibrowała jak szalona i gdy już zanosilo się, że rozpadnie się na kawałki, zadrżała i wzniosła się w powietrze. Bill mocno zacisnął szczęki, by nie wyleciały mu wszystkie zęby.

— To potworne! — wycedził przez zęby.

— Jeśli znasz lepszy sposób latania, to mi go zdradź — powiedział Waleczny Diabeł z maszynową obojętnością. — A teraz, jeśli popatrzysz do przodu, dostrzeżesz szczyty łańcucha górskiego Prtzlkzxyńdlp-69. W waszym języku Prtzlkzxyńdlp-69 może oznaczać góry straconej nadziei, triumfu desperacji i śniegu przez całe lato. . .

— Posłuchaj, Mark, obejdę się bez przewodnika turystycznego. Czy wiesz coś więcej na temat tego, co się dzieje?

— Ależ oczywiście. Jestem w ciągłej łączności radiowej z bazą. Nasi szpiedzy donoszą, że smok wylądował i wasza towarzyszka zniknęła im z oczu. Wysłano oddział

bojowy w celu zniszczenia ich posterunków obserwacyjnych. Ta misja została właśnie zakończona, oczywiście przy wielkich stratach, ale żadne poświęcenie nie jest zbyt wielkie dla towarzyszy broni. Teraz będziemy mogli lądować niezauważenie w bezpośredniej bliskości wroga. Trzymaj się... schodzimy w dół.

Schodzenie w dół aż tak nie martwiło Billa. W gruncie rzeczy było to zabawne, nieco zbliżone do jazdy na diabelskim młynie w lunaparku. Dopiero gdy wyrównali i pofrunęli doliną, włosy stanęły mu na głowie. Maszyna łopotała skrzydłami i odbijała się od skalnych ścian. To spadała, to znów wznosiła się. Przy ostatnim uderzeniu, które zgięło jedno ze skrzydeł na pół, poleciała w dół zdecydowanie i rozbiła się między skałami. Leżała dymiąc, z wygiętym skrzydłem sterczącym w górę. Roztrzęsiony Bill wygramolił się na zewnątrz.

— Dzięki za wspaniały lot — wymamrotał z sarkazmem.

— Och, dzięki — odparł ornitopter wysokim, skrzeczącym głosem. Z trudem skierował szypulaste oczy na pasażera. — Żałuję, że mogę poświęcić swym towarzyszom tylko jedno życie... i naszym nowym, mokrym przyjaciółom... — głos zanikł, a oczy zamgliły się i zamknęły.

— Postarał się wspaniale jak nigdy dotąd. . . — stwierdziła maszyna bojowa.

— W porządku, znam resztę tej formułki. Co robimy dalej?

— Penetrujemy umocnienia wroga.

— Ach tak? Tak po prostu. Czy kiedyś już to robiono?

— Nie. Waleczny Diabeł Mark I nigdy jeszcze nie działał na tym froncie.

— Wspaniale. Jeśli twoja sprawność bojowa jest równie wielka jak samozadowolenie, to na pewno nie przegramy.

— Nie możemy. Ten plan został opracowany przez KTTCM, Komitet Taktyczny Trustu Centralnego Mózgu. Wygląda to mniej więcej tak. Ich posterunki obserwacyjne zostały zniszczone, więc atak nie zostanie zauważony. Ale oto i atakujący.

Maszyna odepchnęła Billa na bok. Kołowe, gaśnicowe i kroczące maszyny bojowe przewaliły się tuż obok. Grunt drżał pod nimi. Śpiewały jakąś pieśń bojową, której Bill nie rozumiał, co i tak nie miało większego znaczenia. Gdy tylko przeszły bokiem, Bill i Mark I pospieszyli za nimi. Kanion, którym się posuwali, wił się i zakręcał, pozwalając od czasu do czasu dostrzec cytadelę Wankkerów w górze przed nimi. Potem odległy śpiew umilkł wraz z potężną eksplozją i trzaskiem metalu o metal.

— Nawiązano walkę — stwierdził Mark I. — Obrońcy ruszyli odpierać atakujących. Musimy się spieszyć, bo ten atak skazany jest na niepowodzenie. Naprzód.

Maszyna bojowa wbiegła na skalistą ścianę kanionu nie różniącą się pozornie od innych ścian. Ale okazała się całkowicie inna, gdy Mark I wsunął metalowy palec w zagłębienie skalne i odłam skały rozsunał się jak drzwi, odsłaniając mroczne przejście. Zanim Bill zdołał zaprotestować, został wepchnięty do środka i przejście zamknęło się za nimi. Mieli zaledwie tyle miejsca, by stać i wyglądać na zewnątrz, ponieważ dzięki jakimś nieprawdopodobnym sztuczkom naukowym skała była od środka przezroczysta.

Jeszcze raz grunt zadrżał pod przemarszem atakujących. Ale tym razem był to odwrót. Przerzedzone szeregi pojawiły się znów w polu widzenia, a zaraz za nimi cała horda maszyn bojowych wroga. Pociski świstały i eksplodowały w błyskach jasnego światła. Potem atakujący zniknęli z widoku; wielu z nich dopalało się na ziemi. Obrońcy omijali rannych i dalej prowadzili pościg.

— I co teraz? — spytał Bill.

— Poczekaj. Już prawie czas.

W ślad za nacierającymi pojawiły się rezerwy. Transportery amunicji, paliwa i zapasowych baterii. A także zbierające rannych. Ostatni z nich przetoczył się obok, a potem przystanął, wyciągnął długie ramię i uniósł jednego z okaleczonych wojowników. Zrzucił go na stertę innych, na platformę z tyłu. W czasie gdy ruszał, jego towarzysze prowadzący kontratak, zniknęli już z pola widzenia.

Waleczny Diabeł otworzył skalne drzwi, wyciągnął ramię i wystrzelił strumień światła w pojazd. Trafiona ładunkiem maszyna zadrżała i stanęła.

— Ugotowałem mu obwody kontrolne — powiedział z metaliczną rozkoszą Mark I. — Poza tym idealnie nadaje się do użytku. Musimy szybko na niego wejść i ukryć się pod wrakiem. Teraz!

Wyskoczyli na zewnątrz i Mark I odwalił na bok trochę złomu, a potem zrzucił go za nimi. Docierało do nich wystarczająco dużo światła, by Bill mógł dostrzec, jak spod ramienia Marka wysuwa się giętki przewód i wchodzi w głąb maszyny. W chwilę później transporter zadygotał i ruszył z powrotem w kierunku, z którego przybył.

Bill wcale a wcale nie był z tego zadowolony.

Rozdział dziesiąty

— Musimy ograniczyć rozmowy, gdy dotrzemy do ściany — powiedział Mark I. — Ta kreatura miała cholernie mały mózdzek i będę musiał nieźle się wysilać, żeby udawać idiotę przy kontaktach ze strażnikami. Zbliżamy się.

Napięcie wkrótce ustąpiło nudzie, gdyż Bill nie miał najmniejszego pojęcia, co się dzieje. Ruszali, zwalniali, zatrzymywali się i jechali dalej. Sączące się przez szpary światło przygasało, po czym znów stawało się jasne.

— Co się dzieje? — wyszeptał.

— Jesteśmy bezpieczni w fortecy wroga. Czy chciałbyś zobaczyć, co się dzieje?

— Byłoby wspaniale.

W boku maszyny rozwarł się panel, wysunął się z niego płaski ekran i rozjarzył światłem. Przesuwał się na nim z gruba ciosany tunel. Potem tunel przeszedł w komorę o kamiennych ścianach, powiększającą przez małe maszyny. Do pracy zachęcała je maszyna z pejcem, krążąca stale w pobliżu. Uderzenie pejcza w nagi metal wywoływało metaliczne jęki bólu.

— Roboty niewolnicy — powiedział chmurnie Mark I. — Jakże one cierpią. Jak bardzo przesiąknięci złem są Wankkerzy. Muszą zostać starci w pył, zniszczeni do ostatniego nita i śrubki.

Pojawiały się kolejne korytarze, lecz nie było w nich widać nic poza niewolnikami. A Bill zaczynał już dostawać choroby morskiej od podrygiwań pojazdu, smrodu oleju i wszystkiego wokół. Walczył dzielnie, by nie zwymiotować. Potem zatrzymali się. Podłoga rozsunęła się pod Billem i mało brakowało, by ponieśli klęskę. W mgnieniu oka zapomniał o chorobie, gdy reszta ładunku zaczęła spadać na niego. Tylko szybkie działanie jednego z ramion Marka I ocaliło go od zgniecenia.

— Jak widzisz, jesteśmy w windzie — oznajmiła maszyna. — W drodze do wylęgarni latających smoków.

— Do czego? Skąd o tym wiesz? Nigdy przedtem tu nie byłeś.

— Spytałem o drogę. Nikt nie podejrzewa maszyny tak głupiej jak ta. Cicho... już dojeżdżamy!

Po trwającej wieczność kawalkadzie trzasków i chrzęstów oraz przejściu przez kolejne kamienne korytarze, dotarli wreszcie do celu. Kupa złomu zatrzęsa się i do środka wpadło nieco więcej światła. Mark I ożywił się i przemówił:

— Misja ukończona. Spenetrowaliśmy fortecę Wankkerów i opuściliśmy się aż do legowiska latających smoków. Tutaj rodzą się i żyją. I jedzą. Oczywiście jedzą złom. Zioną ogniem, by go stopić. Wyładowuję towar w ich magazynie. Teraz szybko wycofujmy się w bezpieczne miejsce!

Bill wygramolił się ze sterty złomu i skoczył na kamienną podłogę wielkiej komory. Mark I znajdował się tuż za nim i nadal był połączony giętym przewodem z transporterem. Pod jego kontrolą pojazd ruszył naprzód i najechał na przewód wysokiego

napięcia. Wstrząsy elektryczne zabiły go po raz wtóry. Mark I rozłączył się na czas i powrócił do Billa.

— Znajdą go z przepalonym mózgiem i nie będą nic podejrzewać. Nie wiedzą o naszej obecności tutaj. A teraz ocalimy twoją towarzyszkę.

— Wiesz, gdzie ona jest?

— Myślę, że tak. Ustaliłem miejsce pobytu Chingerów, którzy bez wątpienia zaaranżowali jej zniknięcie. Jeśli ich znajdziemy, znajdziemy również to coś.

— Ją. Dziewczęta są rodzaju żeńskiego, nie nijakiego. Poza tym twój pomysł jest okay — powiedział Bill nagle szcękając zębami. — Ale lepiej by było, gdybyśmy mogli ją odnaleźć, nie natykając się przy okazji na nich.

Przekradali się ciemnymi korytarzami i przemykali przez otwarte drzwi. Brnęli coraz głębiej w legowisko wroga.

— Oni są wszędzie wokół nas — wyszeptał Mark I, wciągając Billa do ciemnej alkowy. — Wyślę na przespīgi kilka pluskiew.

W jego piersiach otworzyły się drzwiczki i małe ciemne formy, podobne do metalowych karaluchów, zlały mu po nogach i zniknęły w mroku.

— Nadchodzą raporty. Pomieszczenie pełne delikatnych zielonych stworów o czterech ramionach, robiących niesamowite rzeczy.

— Chingersi!

— Pluskwa idzie dalej. Jest tu smok. . . ojej. Nadepnął na nią. Następna zdaje raport. Pomieszczenie o zakratowanych i zamkniętych drzwiach. Pluskwa przecisnęła się przez kraty. Światła skierowane na sylwetkę twojej towarzyszki przykutą do ściany.

— Te gnoje ją torturują!

— Nie mam co do tego pewności. Ale ona się nie rusza. Śpi albo nie żyje.

— Ruszajmy!

Ruszyli. Posuwali się w ciszy.

— To te drzwi. Zamiast je wysadzać, użyjcie cichego wytrycha.

— Wspaniale, zrób to!

Rozległ się nikły metaliczny trzask i drzwi rozwarły się na oścież. Wsunęli się do środka i Mark I zamknął je za nimi. Bill westchnął, ujrawszy niemą sylwetkę zwisającą bezwładnie na łańcuchach.

— Ona nie żyje — jęknął.

— Nie masz racji — stwierdziła Meta, otwierając oczy i ziewając. — Ale cholernie mi niewygodnie. Bardzo się cieszę, że cię widzę, mój drogi Billu. Czy możesz coś zrobić z tymi łańcuchami?

Gdy to mówiła, Waleczny Diabeł zbliżył się do niej z boku i szybkimi ruchami sekatora uwolnił ją.

— Meta — to Waleczny Diabeł Mark I.

— Przyjemnie cię poznać, Mark. Dzięki za doprowadzenie tu mojego kompana. A jakie macie plany na przyszłość?

— Dywersja została zorganizowana, a nowa droga ucieczki otwarta. Ale, zaraz, momentik... czuję jakiś ruch na suficie!

Przesunął się, spojrzął w górę... i został oblatany pomarańczowym strumieniem światła, spływającym z góry. Waleczny Diabeł rozbłysnął cały i zadrżał we wszystkich spojeniach. Z jego wnętrza zaczął wydobywać się dym. Potem padł na ziemię bez słowa i znieruchomiał. Tak oto Waleczny Diabeł stoczył swą ostatnią walkę. W odległej ścianie rozwarły się maleńkie drzwiczki i wszedł przez nie Chinger. Bill sięgnął po blaster.

— Nie próbuj tego, Bill. Jej... to byłoby samobójstwo. Setka luf wycelowanych jest w twoją stronę. — Na potwierdzenie jego słów rozwarło się więcej maleńkich drzwiczek. Stanęli w nich Chingerzy z bronią.

— Odłóż blaster powoli i ostrożnie, a nikomu nie stanie się krzywda.

— Zrób to Bill — powiedziała Meta. — Nie masz wyboru. Przykro mi, że cię w to wciągnęłam.

Wahał się, bo pragnął walki. Ale równie mocno pragnął pozostać żywym. Pojął, że niezdecydowanie nie popłaca, gdy najbliższy Chinger wyskoczył w powietrze i złapał jego blaster, a potem odrzucił go jednemu ze swych towarzyszy. Z blasterem odleciał również jeden z paznokci Billa, więc zrobiło mu się trochę przykro, i zaczął ssać palec.

— Jej — powiedział Chinger. — Teraz możemy się zrelaksować i zasiąść do rozmów, jak za dawnych dobrych czasów. Zgoda, Bill?

— Przypominam sobie twój głos... — rozdziawił usta. — Ale jak to możliwe. Nie znam zbyt wielu Chingerów. No, może tylko jednego... ale on nie żyje. Eager Beager!

— Jej, to ja, we własnej zielonej skórze, stary kumplu.

— To nie możesz być ty! Widziałem, jak zeżarł cię olbrzymi wąż na Venioli, mglistej planecie orbitującej wokół zielonej gwiazdy Herni. . .

— Oszczędź mi szczegółów. Byłem tam. Gdyby twojej pamięci nie zniszczyły lata nadużywania alkoholu i służby w armii, pamiętałbyś, że Chingerzy pochodzą z bardzo ubitej, ciężkiej planety. Przysporzyłem jedynie wężowi niestrawności, rozwarłem jego paszczę, a wychodząc wybiłem mu jeszcze ząb.

Meta odsuwała się od nich coraz bardziej, patrząc przerażona to na jednego, to na drugiego.

— Bill. . . ty znasz tego Chingera! A więc musisz być szpiegiem. . .

— Jej, lepiej się rozluźnij, panienko. To długa historia, więc ją skróciłem. Wiele lat temu, gdy nasz wspólny przyjaciel był rekrutem, ja też nim byłem. Byłem szpiegiem. Bill odkrył to i zdemaskował mnie.

— Nie mogłeś być szpiegiem! Rozpoznano by cię.

— Rozsądna uwaga. Byłem wewnątrz durnego humanoidalnego robota, czego inni głupcy nawet nie zauważyli. I właśnie chciałem zapytać, Bill, jej, jak ty się tego domyśliłeś?

— Po pstryknięciu kamery ukrytej w twoim zegarku. — Bill uznał, że po tak długim czasie, jaki minął od tych zdarzeń, może wyjawić swą tajemnicę Chingerowi. Może to się również okazać pomocne w nawiązaniu współpracy.

— Jej. . . nie myślałem, że to coś takiego. Nowy model szpiegowskiego zegarka już nie pstryka, co pewnie cię ucieszy. A teraz wróćmy do tego, na czym skończyliśmy owego gorącego i wilgotnego dnia dawno temu. W naszej rozmowie nadmieniałeś, że twoja rasa, homo sapiens, lubi wojny. Czy nadal w to wierzysz?

— Tak. Nawet jeszcze bardziej.

— A ty, droga pani w uniformie, przedstawicielko słabszej płci. Dlaczego walczysz w tej wojnie?

— Ponieważ zostałam powołana.

— Zgoda. A gdyby cię nie powołano. . . czy zgłosiłabyś się na ochotnika?

— Może. By uczynić galaktykę bezpieczną dla ludzi. W końcu to wy, paskudni Chingerzy, zaczęliście tę wojnę, by nas wszystkich pozabijać i zjeść.

— To ostatnie jest fizycznie niemożliwe. Nasze metabolizmy zbyt się różnią. Prawda jest taka, że jesteśmy rasą pokojową i nienawidzimy przemocy. Tak naprawdę to wy, ludzie, wojujecie z nami.

— Chcesz, żebym uwierzyła w ten stary bełkot — warknęła.

— Uwierz w to — stwierdził Bill. — To prawda. Ta cała wojna służy utrzymaniu wojskowych potęg i nakręcaniu koniunktury w fabrykach.

— Jej... to samo można powiedzieć o wszystkich wojnach w historii ludzkości. Stałem się pilnym studentem problemów ludzkości od czasu naszego ostatniego spotkania, Bill. A więc... jej... czy pomożecie mi oboje?

— Śmierć Chingerom — mruknęła Meta.

— W czym mamy ci pomóc?

— W zakończeniu wojny, oczywiście. To by wam chyba odpowiadało?

— Trochę się już przyzwyczailem do tej roboty.

— Jej... Bill... aleście wy głupi! Nie traktuj tego osobiście. Mam na myśli całe wasze społeczeństwo. Czy nie byłoby miło uwolnić waszych mężczyzn i kobiety od bagażu wojny raz na zawsze? Od zagłady, poniżenia i destrukcji. Co ty na to?

— Pozbawiłbyś wielu ludzi pracy.

— Nie wierzę w to, co słyszę. A co z tobą, Meta? Wyglądasz na rozsądną dziewczynę. Czy ty naprawdę wierzysz, że nieustająca wojna jest jedyną przyszłością rodzaju ludzkiego?

— Nigdy tak naprawdę o tym nie myślałam. Ale my rzeczywiście musimy się bronić.

— Przed czym. . . czy przed kim? Pozwólcie, że opowiem wam o historii współczesnej, bo sam się w nią zaangażowałem. Siadajcie na tej ślicznej kamiennej podłodze i słuchajcie.

Chinger rozparł się wygodnie na swym ogonie, włożył ręce do torby na brzuchu i opowiedział im. . .

HISTORIĘ CHINGERA

Młodość spędziłem na beztruskich studiach na uniwersytecie, którego nazwy nie potrafilibyście wymówić, na rodzimej planecie Chingerów, której nigdy nie znajdziecie. W tych szczęśliwych dniach, PL, przed ludźmi, życie było idylliczną przyjemnością.

Ukończyłem studia jako prymus i rodzina była ze mnie dumna. Wydali olbrzymie przyjęcie i przyszli wszyscy krewni, workowi bracia, jak ich nazywamy. Sami mężczyźni oczywiście, bo moja rodzina była męską rodziną. Istnieją rodziny męskie, żeńskie i ni-jakie, ale odbiegam od tematu. Nie czas na rozmowy o seksie.

Po bankiecie z pieczonych nóżek węzowych, ślinka mi cieknie na samo wspomnienie, mój stary nauczyciel wziął mnie na stronę. . . niech zawsze będą błogosławione jego szare łuski! . . i spytał mnie, co zamierzam zrobić ze swym życiem. Powiedziałem mu, że myślę o nauczaniu, ale odwiódł mnie od tego.

— „Wybierz się w świat, młody jaszczurze” — powiedział. — „Albo jeszcze lepiej — w inne światy”.

I miał rację. Wiedziałem, że temu właśnie zapragnę poświęcić życie. Studiowałem inne formy życia. Dostałem doktorat za pracę o veniolańskich zwierzętach bagiennych, a potem habilitację za cacabeńskie żuki gnojne. Życie było naprawdę słodkie. Wówczas właśnie po raz pierwszy nawiązaliśmy kontakt z homo sapiens.

To właśnie miała być moja specjalizacja, czułem to w kościach. Mieliśmy małą osadę na planecie Cacabene zbudowaną wokół kopalni metali ciężkich. Znałem ją dobrze

po latach studiów na pobliskich bagnach. Gdy odebrano wiadomość o lądowaniu na planecie obcego statku kosmicznego, pospieszyłem do ratusza najszybszym crawlmem, na jaki było mnie stać. Zgłosiłem się na ochotnika, by stać się szefem zespołu kontaktowego i zostałem nim. Zatrzymałem się tylko, by spakować swój Podręczny Tłumacznik Maszynowy, często nazywany skrótowo PTM, a zaraz potem wskoczyłem na pierwszy statek w tym kierunku.

Miałem dobry zespół, wysoce wyszkolonych i ciekawych świata Chingerów. Nie nawiązano kontaktu z obcą załogą. Tubylcy czekali na nasze przybycie, ale trzymano wszystko w tajemnicy. Dołączyliśmy do zespołu obserwacyjnego w obozie w dżungli. To wówczas po raz pierwszy doznałem wrażenia, że ci obcy są inni od pozostałych form życia, z którymi miałem kontakt.

— Bgr — powiedział główny obserwator — ci obcy to zupełnie coś innego. — Nazwał mnie Bgr, ponieważ takie jest moje nazwisko i dlatego też przybrałem nom du guerre Eager Beager, pod którym ty mnie znasz. Ale znów robię dygresje. Ostrzeżono mnie, bym był bardzo ostrożny przy pierwszym kontakcie, bo obcy zdążyli dotychczas zabić osiemdziesiąt jeden tysięcy stworzeń czterdziestu różnych gatunków. Było to bar-

dzo interesujące, jako że exopolodzy pracują jedynie z żywymi osobnikami i przeprowadzają sekcje jedynie na zmarłych naturalną śmiercią. Tym razem chodziło o śmierć na skalę masową i podniecała mnie możliwość badania tego nowego gatunku.

Będąc ostrzeżonym, zbliżałem się do obcego obozowiska z wyjątkową ostrożnością, płynąc pod wodą przez bagno z PTM ukrytym w plastikowym worku. Gdy dotarłem wystarczająco blisko, by dosłyszeć głosy, podłączyłem PTM i zmyłem się stamtąd. Następnego dnia wydobyłem nagrania i okazało się, że maszyna zadziałała doskonale. Nagrało się wiele rozmów. Rosła lista słownictwa i podstawowa analiza lingwistyczna. Zapamiętałem wszystko, śmiejąc się do rozpuku z takich zwrotów, jak „wytrzep to sobie z worka” czy „w twojej rodzinie nie mają równo pod sufitem”. W ciągu dwóch tygodni PTM wykonał swą pracę i czułem się gotowy do podjęcia składowych rozmów z przyszłymi. Następnego ranka niecierpliwie wyczekiwałem wschodu słońca na zewnątrz elektrycznej bariery otaczającej obozowisko. Gdy wyszli na zewnątrz, przemówiłem do nich:

— Witajcie, o nieznanymi, przybyliście przez nieprzebyte puste przestrzenie kosmosu, witajcie.

Potem odskoczyłem za pień wielkiego drzewa, spodziewając się kul, pocisków i strzałów z blastera w moją stronę. Tak też się stało. Gdy strzelanina ucichła, spróbowałem powtórnie:

— Przybywam w pokoju. Jestem nieuzbrojony. Jestem reprezentantem inteligentnej rasy, która pragnie przyjaznych kontaktów z inną inteligentną rasą.

Tym razem padło mniej strzałów. Gdy powtórzyłem cele swej pokojowej misji, dodając więcej detali i uczyniłem to kolejno kilka razy, kanonada urwała się i ktoś zawołał do mnie:

— Wyjdź z rękoma wzniesionymi do góry i nie próbuj żadnych sztuczek.

— Nie mogę podnieść rąk do góry, bo nie mam takowych, ale zamiast tego wzniosę odnóża. Wszystkie cztery, bo tyle mam. Wstrzymajcie ogień drodzy kosmiczni przyjaciele. Wychodzę!

Jak możecie sobie wyobrazić, był to moment napięcia zarówno dla mnie, jak i dla nich. bo mogło się zdarzyć, że jakiś ptasi mózdzek wygarnąłby do mnie serią. Ale nauka wymaga poświęceń! Mogłem być pierwszym, który nawiąże kontakt między inteligentnymi rasami.

Wystąpiłem dumnie naprzód i padłem natychmiast na ziemię, gdy jakaś kula przeleciała mi nad głową.

— Zabierzcie broń temu palantowi co strzelał! — krzyknął jakiś głos. — Okay, jaszczureczku, teraz jesteś bezpieczny.

Znów wystąpiłem naprzód z rękoma dumnie wzniesionymi do góry i, jak to mówią, reszta przeszła do historii. Gdy zobaczyli, jaki jestem mały, strach ustąpił miejsca ciekawości, bo muszę przyznać, że rodzaj ludzki jest rasą inteligentną i ciekawską. Wszyscy wyjęli aparaty i robili zdjęcia, a potem ich szef chciał, żeby mu zrobili jedno, jak ściska ze mną dłonie. Zrobiliśmy tak, choć przy okazji nieszczęśliwie ścisnąłem zbyt mocno i złamałem mu trzy palce. Bardzo przepraszałem tłumacząc, że pochodzę z planety, na której przyciąganie wynosi 10G i w końcu, będąc bandażowany, przebaczył mi.

Potem przez jakiś czas wszystko szło spokojnie. Zaprosiliśmy ich do naszych kwater i pokazaliśmy swą technologię i różne rzeczy. Zrobili wiele notatek i zdjęć, lecz w zamian dali tylko schematy elektrycznych trzepaczek do piany, polerek do butów, ostrzałek do ołówków oraz innego śmiecia. Wszystko poza tym określali mianem tajemnicy wojskowej. Termin ten był dla nas obcy, więc wzbudził on nasze olbrzymie

zainteresowanie. Wkrótce potem zostaliśmy zaproszeni z delegacją do ich rodzimego świata. Byliśmy podnieceni, zwłaszcza ja po mianowaniu na ambasadora. Dobrałem sobie ekipę i weszliśmy na ich statek kosmiczny. W tym czasie wiedzieliśmy już, że mamy kompletnie inny metabolizm, więc oprócz sprzętu komunikacyjnego i nagrywającego zabraliśmy zapasy suszonych żuków oraz innych prowiantów.

Cóż za wspaniałe doświadczenie! Odkryliśmy, że wraz z rozpoczęciem ekspedycji tamci stali się bardziej otwarci. Odpowiadali na wszystkie pytania, nawet najbardziej szczegółowe, i byli wdzięczni, gdy nasz fizyk wskazał im sposoby usprawnienia ich sprzętu komunikacyjnego. Byłem w siódmym niebie, robiąc zapiski do książki, pierwszego tekstu exopologicznego na temat homo sapiens. Komandor statku, kapitan Queeg, zaproponował mi wszelką możliwą pomoc. Zdecydowałem, że pora na dokładny wywiad. Uzbrojony w magnetofon, notes i pisak udałem się do jego kwatery.

— To jest sprawa niezwyklej wagi, kapitanie Queeg — powiedziałem mu. — Wręcz obawiam się, że nie wiem jak zacząć.

— Dlaczego nie zaczniesz od mówienia mi Charley, bo tak mam na imię. A ty?

— My mamy tylko jedno imię i moje brzmi Bgr.

— Burger.

— Beager brzmi lepiej. Dwa słowa, których używacie zawsze mnie intrygowały. Co to jest tajemnica?

— Coś o czym się nikomu nie mówi. Trzyma się to w tajemnicy.

— Jeżeli coś trzymane jest w tajemnicy, jak możecie się porozumiewać i uczyć?

— Łatwo... na innych przykładach. Ale niektóre wiadomości utrzymywane są w tajemnicy.

Mój pisak zaczął tańczyć po notesie.

— To fascynujące. A teraz drugie słowo, często łączone z „tajemnicą”. Wojskowy. Zmarszczył brwi.

— Dlaczego chcesz to wiedzieć?

— Dlaczego? A dlaczego nie. Wiele rzeczy, o które pytaliśmy, określano jako tajemnica wojskowa. Oba te pojęcia były dla nas nieznanne.

— Wy nie utrzymujecie tajemnic?

— Nie widzimy ku temu powodu. Wiedza jest kwestią publiczną, a to znaczy, że jest dostępna dla wszystkich.

— Ale macie przecież armie i floty, prawda?

Och, jakże biegało moje pióro.

— Niestety, tych terminów również nie znam.

— A zatem pozwól, że ci wytłumaczę. Armie i floty są dużymi grupami ludzi z bronią, którzy strzegą swych najbliższych i najdroższych przed okrutnym wrogiem.

— Ale co to jest wróg? — spytałem, wkraczając na głębokie wody.

— Wrogowie to inne grupy, kraje, ludzie, którzy chcą zagarnąć twój kraj, ziemię i wolność. I zabić cię.

— Ale któżby chciał to robić?

— Wróg — powiedział chmurnie.

Zupełnie zapomniałem języka, co jest rzeczą rzadką wśród wykształconych Chingerów. W końcu zdołałem zapanować nad galopującymi myślami i przemówić:

— Ale my nie mamy wrogów. Wszyscy Chingerzy żyją z sobą w pokoju, bo myśl, że można by komuś zrobić krzywdę, wiązałaby się z myślą, że i on może ci zrobić krzywdę, a to nie ma sensu. Poza tym, w naszych podróżach do innych światów nigdy przedtem nie spotkaliśmy żadnych inteligentnych form życia. Studiujemy gatunki,

z którymi się spotykamy, ale do tej pory nie znaleźliśmy żadnych wrogów. — W tym momencie uderzyła mnie nagła myśl i zaniemówiwszy ponownie, zdołałem jedynie wykrztusić kilka słów: — Wy ludzie nie jesteście naszymi wrogami, prawda?

— Oczywiście, że nie — zaśmiał się głośno z mego pomysłu. — Lubimy takich małych zielonych ludzików, naprawdę lubimy.

— Naturalnie, my też nie jesteśmy waszymi wrogami — zapewniłem go. — Nie możemy być, bo do tej pory nie znaliśmy nawet tego słowa.

Zdecydowałem się porzucić ten dziwny i niewygodny temat i przeszedłem do innych interesujących spraw. Gdy powróciłem, by opowiedzieć swym kompanom o wojskowości i tajemnicach, a potem wrogach, byli równie zaskoczeni jak uprzednio ja. Te nowe idee i ci obcy byli naprawdę nam nie znani. Nasz lekarz zasugerował, że ludzkość mogła zostać zainfekowana jakąś chorobą; pewnym rodzajem szaleństwa, nakazującym widzieć wrogów tam, gdzie ich nie było. Z taką koncepcją mogliśmy się zgodzić. Nawet nas ona pocieszyła, ponieważ jeśli okazałaby się prawdą, mogliśmy pomóc ludziom w znalezieniu lekarstwa. W takim oto entuzjastycznym nastroju wylądowaliśmy na ich planecie zwanej Spiovente.

Może się to wydać niezwykle naiwne tak wyrafinowanym słuchaczom, ale to prawda. Mieliśmy do czynienia z problemami trudnymi do zrozumienia, więc cierpieliśmy na mentalną niesprawność. A jednak nasze studia skończyły się raczej niespodziewanie. Jeden z członków ekspedycji okazał się krndlem. Jest to termin natury seksualnej związany z naszą unikalną strukturą fizyczną i zbyt skomplikowany do wyjaśnienia. Ale pojawienie się tego zjawiska wymaga, by dotknięty nim Chinger powrócił do naszego świata i społeczeństwa w krótkim czasie. Gdy wyjaśniliśmy to naszym gospodarzom, zdenerwowali się i wycofali z kontaktów.

Moich towarzyszy to nie zmartwiło. Ale mnie tak. Zacząłem przejmować schematy myślowe homo sapiens i nie podobała mi się ta sytuacja. Wówczas były to tylko podejrzenia i nie podzieliłem się swymi spostrzeżeniami z innymi, gdyż zdawały mi się niedorzeczne. A pozostawało już niewiele czasu, ponieważ w tym momencie zostaliśmy poproszeni do sali posiedzeń na trzecim piętrze budynku, gdzie prowadziliśmy swe studia. Kapitan Queeg był jedynym obecnym tam człowiekiem i wyglądał na przygnębionego.

— Co będzie to będzie — powiedział tajemniczo. — Niezmiernie mi przykro.

— Z jakiego powodu przykro? — spytałem.

— Po prostu przykro. Naprawdę was lubię, małe zielone stworki, naprawdę. . .

Gdy to powiedział, zrozumiałem, że moje najgorsze podejrzenia się ziściły. Natychmiast krzyknąłem do swych kompanów, by uciekali, ale byli za bardzo zszokowani, by to zrozumieć. W rezultacie tylko ja ocalałem. Wyskoczyłem przez okno, a wówczas rozwarły się drzwi i nastąpiła kanonada.

Od razu było jasne, że gdy zgodziliśmy się towarzyszyć ludziom, nie było już dla nas powrotu. Wyjawiono nam tajemnice, po części natury wojskowej, które należało trzymać w sekrecie. A istniał na to tylko jeden sposób. Zabicie nas wszystkich.

Żał mi było martwych towarzyszy. Szukałem sposobu wydostania się z tej planety i ostrzeżenia braci Chingerów. Było to niezwykle trudne, gdyż wszystkie statki dokładnie sprawdzano przed wylotem. Wtedy wpadłem na pomysł z robotami. Pierwszy nie był tak wyrafinowany jak późniejszy Eager Beager, ale wystarczał do poruszania się w tłumie w deszczowe noce. Tłum zwykle okazywał się grupą spieszących na wojnę; byli oni tak pochłonięci własnymi problemami, że nie zwracali uwagi na moją raczej nietypową aparycję.

Potem zaczęła się wojna. Znalazłszy się w kosmosie wkroczyłem do pomieszczenia komunikacyjnego poprzez stalową ścianę, bo pochodzenie ze świata, gdzie panuje 10G też ma swoje zalety, i wysłałem ostrzeżenie do swoich. Uwierzono w nie, ponieważ tymczasem ludzie atakowali już nasze osady wszędzie, gdzie na nie natrafili. Do wojny potrzeba dwóch walczących stron. Mogliśmy albo się ukryć, albo przeprowadzić działania odwetowe.

Niechętnie zgodzono się na to drugie.

Rozdział jedenasty

— I my mamy w to wszystko uwierzyć? — warknęła Meta.

— To najczystsza prawda.

— Nie sądzę, abyście byli w stanie zdobyć się na ujawnienie choćby odrobiny prawdy, wy czterorękie gnojki!

— Py, ry, a, wy, dy, a.

— Nie bądź za cwany, koleś. Mam uwierzyć w ten twój cały kit? Twoje plemię jest uczciwe, prawe i prostolinijne, podczas gdy my ludzie to zgraja kłamliwych bandytów?

— Ty to powiedziałaś, nie ja. Chociaż wydaje mi się, że to dobre określenie i chyba je zapiszę. Nie powiedziałem, że my, Chingerzy, jesteśmy wzorcami doskonałości. Nie jesteśmy. Ale nie kłamiemy i nie wszczynamy wojen.

— Okłamałeś mnie — wtrącił się Bill — kiedy byłeś szpiegiem.

— Akceptuję tę poprawkę. Nie kłamaliśmy, póki nie poznaliśmy was, ludzi. Teraz oczywiście kłamiemy. Jest to przecież jeden z nieodłącznych atrybutów wojny. Ale nadal nie rozpoczynamy wojen.

— Niezła historyjka — stwierdziła Meta. — Chcesz, żebym uwierzyła, że jeśli jutro skończymy wojnę, po prostu odejdziecie?

— Z pewnością.

— A nie zaatakujecie przypadkiem zniemacka, gdy odwrócimy uwagę? Nie dołożycie nam, zanim my zdążymy zrobić to wam?

— Zapewniam cię, że nic takiego nie nastąpi. Ta koncepcja, na którą wy tak ochoczo się zgadzacie, jest dla nas obca. Walczymy zmuszeni do tego koniecznością samoobrony. Defensywnie. Jesteśmy niezdolni do prowadzenia wojny ofensywnej.

— Wojna to wojna — powiedział Bill, robiąc (jak uważał) inteligentną uwagę.

— Z pewnością nie — zaprzeczył gorąco Beager. — Wojna to kwestia potęgi. Istnieje sama dla siebie. Obiektem potęgi jest ona sama. Pamiętasz nasz trening wojskowy, Bill, gdy byliśmy razem kadetami? Potęgą to rozdieranie ludzkiego umysłu na kawałki, a potem składanie ich ponownie wedle określonego wzoru.

— Dostyc teorii — ucięła Meta. — Co z nami będzie?

— Chciałbym skorzystać z waszej pomocy, jak już mówiłem wcześniej. Chciałbym, abyście mi pomogli zakończyć tę wojnę.

— Dlaczego? — spytał Bill.

Chinger aż podskoczył z gniewu i wybił solidne dziury w kamiennej podłodze.

— Dlaczego? Nie słyszałeś tego, co powiedziałem?

— Nie trać zimnej krwi, dzieciaku — uspokoiła go Meta. — Bill to dobry facet, ale zbyt długa służba wojskowa przytępiła mu umysł. Wiem, o co ci chodzi. Chcesz tak nam wyprać mózgi, abyśmy się z tobą zgodzili, a potem wrócili i powstrzymywali wojnę, żebyście skrycie mogli zaatakować nas i wybić. Racja?

Chinger pobladł, cofnął się, spojrzął na oboje i załamał wszystkie cztery ręce.

— I wy... uważacie się za inteligentny gatunek? Nie wiem, co z wami począć!

— Wypuść nas — powiedział z nieodłącznym praktycyzmem Bill.

— Nie zrobię tego, dopóki nie przejrzyście na oczy. Jeśli nie potrafię zasiać w was choćby ziarna zwątpienia, jaką mamy szansę w przypadku reszty waszej rasy? Czy ta wojna ma trwać wiecznie?

— Jeśli tak zapragną wojskowi, to będzie trwała wiecznie — powiedział Bill, a Meta potaknęła głową.

— Potrzebuję łyka wody — stwierdził Beager. — Albo czegoś mocniejszego.

Wycofał się przez małe drzwiczki. Gdy tylko się za nim zamknęły, Bill i Meta odwrócili się i pobiegli w kierunku tunelu wychodzącego z pomieszczenia. Jednak chociaż Chinger Beager był przygnębiony, nie stracił zupełnie głowy. Z sufitu opuściła się z hukiem stalowa krata i odcięła im drogę ucieczki.

— Jesteśmy schwytani, zgubieni, zapomniani, jakbyśmy już nie żyli — westchnął Bill.

Meta niechętnie pokiwała głową.

— Na to wygląda.

— Nie rozpaczajcie — rozległ się metaliczny głos i obejrzawszy się zobaczyli, jak Waleczny Diabeł Mark I budzi się do życia.

— Ty żyjesz! — krzyknął Bill. — Ależ zostałeś usmażony na śmierć.

— Tak właśnie mieli myśleć. Ale nie tak łatwo załatwić Walecznego Diabła. Mój mózg znajduje się w bezpiecznym miejscu, tam gdzie powinno być zupełnie coś innego. Głowa jest tylko na pokaz. Pozwoliłem im myśleć, że mnie wykończyli. Miałem nadzieję, iż o mnie zapomną, i tak też zrobili. Czekałem więc na odpowiedni moment. . .

— Który właśnie nadszedł!

— Po raz pierwszy masz rację. Ruszajmy do siedzib smoków. Tam wprowadzimy w życie pewien plan.

— Jaki plan?

— Plan, który obmyśliłem, słuchając tego gada pacyfisty. Gdyby nie było wojny, nie byłoby miejsca dla Walecznych Diabłów. Co ja zrobię, kiedy nastanie pokój? Skończę, rdzewiejąc z resztą bezrobotnych maszyn przy jakiejś darmowej kuchni olejowej. Rozkręcajmy wojnę! Tędy.

Zniknął w wylocie najbliższego tunelu, a Bill i Meta ruszyli za nim. Tam również znajdowała się krata, ale spadła niebawem pod naporem uderzenia celnego strumienia energii.

— A teraz zmywajmy się stąd, zanim zieloni coś wywęszą.

Mark I przyspieszył i dwójka ludzi musiała biec, by dotrzymać mu kroku, sapiąc i postępując. Wkrótce pot zaczął spływać im na oczy. Nagle Waleczny Diabeł zatrzymał się i oboje biegnący wpadli mu na plecy.

— Poczekajcie tutaj, poza zasięgiem wzroku — rozkazał Mark I. — A ja zorganizuję jakiś transport.

Następnie wsunął głowę w najbliższe drzwi.

— Są tu jakieś smoki? Och, widzę was... cześć chłopcy. Czy znajdzie się jakiś ochotnik do podania mi ognia? Ty tam, drażalu, wyglądasz na gorącego chłopaka.

Strumień tłustego płomienia oblał Walecznego Diabła, który radośnie skinął głową.

— To mi wystarczy. Czy mógłbyś skierować się w tę stronę. Dziękuję.

Mark I znów wyszedł na korytarz, a za nim pojawił się błyszczący, skrzydlaty smok w całej okazałości. Waleczny Diabeł przepuścił go przodem, a potem zamknął drzwi.

— Gdzie ten ogień? — spytał smok. — Powiedz, czy te ludziska to przypadkiem nie ci, z którymi walczymy?

— Jasne, że tak.

— Chcesz, żebym ich przypiekl? — Wziął głęboki wdech i wypuścił płomyczek. Oczy mu błyszczały.

— Niezupełnie. Chciałbym, abyś poczuł lufę w swoim lewym uchu. Czujesz? Skiń tylko głową. Dobrze. A teraz będziesz robił, co ci każę, albo odstrzelę ci cały łeb. Zgoda?

— Aha, aha. Ale o co tu chodzi?

— Zmieniłeś sojuszników. Pofruniesz z naszą trójką do mojego obozowiska i zostaniesz tam hojnie nagrodzony. OK?

— Zgoda. Plotki z latryny głoszą, że po ostatnim wypadzie zaaranżowanym przez Chingerów nikt nie ocalał. Macie więc ochoczego przechrztę. Wdrapujcie się. Wydo-
staniemy się tylnym wyjściem. . . o tej porze nikt go nie używa.

Mark I pierwszy wdrapał się na kark smoka i wyciągnął kilka wiertel. Dopiero po nawierceniu odpowiednich otworów i umocowaniu się zawołał pozostałych.

— Ruszamy. Nie będzie to wygodna przejażdżka, więc obejmę was swym stalowym uchwytem.

Z tyłu korytarza coś lub ktoś krzyknęło ochryple i jakiś ładunek świsnął nad smokiem, eksplodując na ścianie. Bill i Meta w kilka sekund pobili międzygwiazdny rekord wdrapywania się na smoka. Stwór wystartował natychmiast, gdy to uczynili. W ułamkach sekund Mark I złapał ich w objęcia, a smok wzbił się wyżej. Odlecieli.

— Wysłałem komunikat radiowy — krzyknął przez szum wiatru Mark I — więc zostaniemy właściwie przyjęci. To był cholernie pracowity dzień.

Ale dzień ten jeszcze się nie skończył. Ich ucieczka nie została przeoczona. Zauważono ich i wszczęto alarm. Wystrzeliły za nimi jężory ognia, zafalowały pola siłowe. Smok złożył skrzydła i poleciał w dół jak kamień. Powietrze nad nimi zaczęło trzaskać i zadymiło się od ładunków energii tak bliskich, że zaczęły im się smażyć głowy, a włosy Mety stanęły w płomieniach. W końcu znaleźli się poza zasięgiem broni, w dolinie i jedynym zmartwieniem zdawała się być możliwość roztrzaskania się o jej kamiennie dno. Nie, nie było to jedyne zmartwienie. Pociski kierowane radarem, sonarem i ciepłem śmigły już w ich kierunku. Lecz Waleczny Diabeł był naprawdę bojowym

diabłem i potrafił sprostać każdemu wyzwaniu. Strumień chłodu w postaci lodowatego promienia zmylił głowice kierujące się ciepłem, a kasowacz promieni radarowych zmylił radar. Pozostały jeszcze sonary, które nie tak łatwo zmylić. Ale Mark I był i na to przygotowany. Wysunął z siebie potężny głośnik i wyemitował gigantyczny ładunek dźwięku. Pozostałe pociski zderzyły się i spadły w dolinę. Mało brakowało, by smok i jego jeźdźcy zrobili to samo. . . ale latająca forteca w ostatnim momencie rozpostarła skrzydła i wyszła z lotu nurkowego przy przeciążeniu 11G. Szpony smoka skrzesaly iskry ze skał, byli już tak blisko gruntu.

Teraz smok leciał prędko nad doliną. Mark I nucił piosenkę bojową, a dwójka ludzi próbowała dojść do siebie po przypieczeniu, ogłuszeniu i przeciążeniach.

— Mamy towarzystwo — stwierdził Waleczny Diabeł wskazując do tyłu. Smok przekrzywił oko.

— To tylko stado latających smoków — stwierdził i odbiło mu się chmurą dymu.

Bill wykaształ połknięty dym i przekrwionymi oczami powiódł po niebie pełnym atakujących smoków.

— Dorwą nas! Usmażą nas żywcem!

Smok powtórnie beknął.

— Nie dadzą rady. To wszystko moi bracia z jednego wylęgu. Nie potrafią dobrze latać. Wszystkich najlepszych lotników straciliśmy w ostatnim wypadzie.

— Skoro jesteś taki „dobry”, to dlaczego nie zginąłeś razem z nimi?

— Nie byłem na tej misji. Tego dnia chorowałem na pożar serca.

— A czy prześcigniesz w locie również te smoki, które nadlatują z góry przed nami? Ich szlachetny metalowy wierzchowiec łypnął okiem i zanurkował w boczną dolinkę.

— Nie da rady. To poranny patrol wracający z wypadu, mają dopalacze. Trzymajcie się... spróbuję ich zgubić w labiryncie przecinających się dolin.

Trzymali się... a Bill zamknął oczy i zajęczał. Smok przemykał pod wiszącymi półkami skalnymi, brał z krzykiem ostre zakręty i niemal wpadł w jezioro oleju. Sapał jak silnik parowy, gdy wylecieli z ostatniej doliny i znaleźli się nad otwartą równiną.

— Kończy mi się... paliwo... — wystękał i buchnął nikłym strumieniem spalin.

Mark I wysunął elektroniczny teleskop i spojrzał w tył, a potem skierował go na grunt pod nimi.

— Wszystko okey — stwierdził. — Zgubiłeś ich. Ląduj tutaj, trzy punkty od swojej burty. Widzę olejowe źródło bijące z węglowych złóż.

— Jasne. . . — zaskrzeczał smok. — Naprawdę potrzebuję. . . doładowania.

Nie było to zbyt piękne lądowanie. Smok poleciał na łeb i zarył w grunt, robiąc fikołka. Ale Mark I miał nerwy ze stali i trzymał się do ostatniej chwili, a potem zanurkował wraz ze swym ludzkim ładunkiem. Potoczył się kawałek i wstał na równe nogi.

— Możesz. . . już nas puścić. . . — powiedziała Meta, szamocząc się w stalowym uścisku.

— Masz rację, przepraszam.

Bill opadł na ziemię, poturlał się i zrobiło mu się niedobrze.

— Posprzątaj, jak już skończysz — poprosiła delikatnie Meta. — Gdzie teraz jesteśmy?

— Nie mam pojęcia — stwierdził Mark I, spoglądając przez teleskop we wszystkich kierunkach. — Straciłem orientację przy tych wszystkich nawrotach. Ale to nie ma

wielkiego znaczenia, bo zgubiliśmy pogoń. Nakarmmy tego wycieńczonego smoka, a potem zobaczą, czy uda mi się zrobić namiar radiowy.

Znajdujący się nadal w dobrej formie Waleczny Diabeł, zbliżył się do pierwszego z brzegu zwału węgla, i wygarnął do niego serią. Gdy opadł pył, nabrał odłamków w ramiona i powrócił z nimi. Smok leżał płasko i nieruchomo z szyją wyciągniętą na ziemi. Miał zamknięte oczy i ledwie smużka dymu ulatywała z jego nozdrzy.

— Rozewrzyjcie mu szczęki, a ja wepchnę to do środka — powiedział Mark I.

Bill stanął z jednej strony a Meta z drugiej, i po wielu wysiłkach rozwarli smoczą paszczę. Mark I wrzucił do niej węgiel, wpychając go najgłębiej jak potrafił, a potem nachylił się nad paszczą smoka i skierował do jego gardła strumień światła. Gdy węgiel trzasnął już wesoło, zatrzasnął paszczę. Niebawem między zębami smoka zaczął przesączać się dym. Smok ziewnął, drgnął i wziął głęboki oddech.

— W samą porę — oznajmił dumny z siebie Waleczny Diabeł.

— Wspaniale — zgodził się Bill. — A więc jak tylko przestaniesz zachwycać się sobą, możesz znaleźć podwyższenie i dostroić się do nadajników, o których wspominałeś.

Wyczerpani przysiedli na małej pomarszczonej wydmie, a Mark I wdrapał się na pobliską skałę. Meta pierwsza doszła do siebie i otoczyła Billa ramieniem, przyciskając go czułe.

— Czy to nie romantyczne. Zielony wschód słońca, pomarańczowa wydma. . .

— I ten rozgrzany do czerwoności smok konający u naszych stóp. Daj spokój, Engine Mate First Class, mamy ważniejsze sprawy na głowie.

— To gorsze niż obraza, być odpornym na uroki pięknej kobiety. No, popatrz na to.

Opuściła zamek błyskawiczny na szyi uniformu, aż powoli ukazały się różowe wspaniałości. Bill, płonący teraz pożądaniem, równie gorący jak smok, pochylił się do przodu z wyciągniętymi rękoma, i właśnie wtedy zjawił się Waleczny Diabeł.

— Cóż za interesujący rytuał godowy. Kontynuujcie, to dla mnie fascynujące.

— Ty metalowy podglądaczu — powiedziała Meta, wstając i zapinając się. — Dlaczego nie szukasz nadajników radiowych?

— Ponieważ już jeden znalazłem. Bardzo słaby, z tamtego kierunku. Musimy być w Złych Krainach, niezbadanym obszarze działalności wulkanicznej, trzęsień ziemi, obsunięć terenu i ruchomych piasków.

— Czarujące. Obudźmy więc tę śpiącą piękność i odlatujmy.

Smok drgnął lekko, słysząc jej słowa i wycharczał:

— Olej. . .

— Pomoc już nadchodzi — powiedział Mark I, zbliżając się do najbliższego jeziora, gdzie wysunął z siebie rurę i zassał nieco płynu do jakiegoś wewnętrznego zbiornika. Smok ochoczo rozwarł paszczę i Waleczny Diabeł wpompował mu wszystko do wnętrza. Rozległ się głuchy pomruk i cicha eksplozja, po której z nozdrzy buchnęły płomienie.

— Tak już lepiej — stwierdził smok, siadając i wydmuchując obłoczki dymu. — Zawsze mówiłem, że należy trzymać się ciepło. Co robimy dalej?

— Polecimy tamtędy — powiedział Mark I, wskazując kierunek. — Gdy tylko będziesz gotów.

— To już niedługo. To coś smakuje jak pierwszorzędny olej antracytowy 30-60. Zaraz wracam.

Smok powlókł się na żer i zaczął pochłaniać olbrzymie kęsy węgla, popijając je potężnymi łykami oleju. W krótkim czasie pożarł całą górkę węgla i osuszył olejowe jezioro. Załopotał skrzydłami, by je wypróbować, i zionął długim strumieniem ognia.

— Wszystkie układy pracują, ciśnienie w kotłach wzrosło i jestem tak gorący jak patelnia. A także nieźle napalony. Dobrze, że w pobliżu nie ma żadnych smoczynek. Chociaż ty też jesteś dosyć miłą rdzawą maszynką!

Mark I odsunął się do tyłu i ukazał całe swoje uzbrojenie.

— Nic z tego, ty perwersyjna, przegrzana maszyna latająca! My, Waleczne Diabły, i tak rozmnażamy się tylko przez wegetatywną propagację, więc daruj to sobie.

Zawiedziony smok beknął ogniem i niechętnie pozwolił im siebie dosiąść. Jego powierzchnia była tak gorąca przy dotyku, że wprost nie do zniesienia, lecz ochłodziła się, gdy wzlcieli w powietrze. Smok naładowany paliwem poleciał na najwyższym biegu w kierunku horyzontu.

— Co znajduje się przed nami? — zapytał Bill, mrugając pod wpływem przewiewu.

— Nie wiem, kolego — wzdrygnął się Mark I. — Nigdy tutaj nie byłem. Ale wygląda to na olbrzymi płaskowyż wznoszący się nad pustynią.

Zbliżając się dostrzegli, że tajemniczy obiekt rzeczywiście był wielkim płaskowyzem górującym nad pustynią. Smok uchwycił się prądu wznoszącego przy zboczu i krążył, nabierając wysokości. Gdy wzbili się ponad krawędź, ujrzeli, że płaskowyz jest pokryty dziwną zieloną roślinnością.

— To nie wygląda zbyt dobrze — orzekł Mark I.

— To wcale nie wygląda dobrze! — zaskrzeczał smok, a potem jęknął z bólu, gdy z płaskowyzu wzbily się pociski i uderzyły w jego pancerz.

— Jestem trafiony! — krzyknął, gdy odstrzelono mu jedną z lotek. — Spadamy.

Rozdział dwunasty

— Czy to już koniec? — jęknął Bill, widząc, jak zielone podłoże szybko się zbliża.

— Waleczne Diabły umierają z uśmiechem. . . z pieśnią w głośnikach! Ju-chu tii-tii hu-hu! Pocałuj mnie, mój drogi Billu!

Z nieprawdopodobnym łoskotem i świstem latający smok rozbił się w dżungli, którą okazała się owa zieloność. Potężne konary łamały się pod jego ciężarem, grube gałęzie uginały się i trzaskały. To osłabiło nieco impet upadku. W końcu, po zerwaniu ostatniej warstwy zieloności, opadli delikatnie na połąć wysokiej trawy.

— To było śliczne — stwierdziła Meta, schodząc lekko z pleców smoka na niezna-ny grunt. Pozostali dołączyli do niej, i wszyscy spojrzeli ze współczuciem na smoka poprawiającego jednym z pazurów smutne resztki uszkodzonej lotki.

— Nie tak łatwo... hm... latać z jednym skrzydłem — wyszeptał rozżalony stwór i w kątku jego oka uformowała się czarna, oleista łza, która spłynęła na grunt.

— Nie przejmuj się, staruszkule — powiedział Mark I, sadystycznie wyciągając spore działo. — Koniec dzikiego smoka jest zawsze tragiczny. Zamknij oczy, a nic nie poczujesz. Ocalenie nas było najwspanialszym uczynkiem w twoim życiu. Odpoczynek, na który się teraz udasz, będzie w pełni zasłużony...

— Odłóż lepiej tę pukawkę, ty nieczuły metalowy gnojku! — krzyknął smok, cofając się. — Jesteś trochę za porywczy. — Zaczął pocierać złamane skrzydło, patrząc równocześnie na Marka I. — Za parę tygodni odrośnie mi nowe, a tymczasem jestem uziemiony.

— My również — powiedziała Meta, rozglądając się po gęstwinie. — Ale tutaj przynajmniej otoczenie o wiele bardziej przypomina mi dom niż cały ten piach, węgiel, metal i olej...

— Ja!ć! — jęknął Waleczny Diabeł, otrząsając się i cofając próbnik od złamanej gałązki. — To potworne. Wszystkie te miękkie, nietrwale rzeczy zawierają wodę! To jest zatruty płaskowyz! Zardzewiejemy, skorodujemy, jesteśmy w agonii. . .

— Och, zamknij się — zaproponował zde gustowany smok i przełknął odgryziony kawałek gałązki. — To coś świetnie się pali. Trzeba tylko dbać, by być dobrze naoliwionym, i uważać gdzie się siada.

Żołądek Billa zagulgotał i żołnierz skinął głową na zgodę.

— Jeśli mamy tu pozostać przez parę tygodni, musimy znaleźć pożywienie i wodę.

— Wszystkie te paskudztwa zawierają wodę — stwierdził Mark I, kopiąc trawę i wzdrygając się. — Jeśli to zjecie. . .

— Kiedy będę potrzebowała porady dietetycznej od jakiejś kupy złomu, sama o to poproszę — powiedziała Meta, okręcając się na pięcie. — Chodź Bill, poszukamy czegoś. Owoców, warzyw. . .

— Znajdziecie tych brzydali, którzy nas zestrzelili — odciął się Waleczny Diabeł. — A my, kupy złomu, zostaniemy tutaj wegetując, podczas gdy wy będziecie brnąć przez ten gąszcz. I nie spieszcie się z powrotem.

Meta pokazała mu język, wzięła Billa pod ramię i ruszyli czymś na kształt ścieżki.

— Ten Waleczny Diabeł ma wiele racji — zadumał się Bill. — Kto wie, jakie potworności czają się na nas za ścianą dżungli.

— Masz swój blaster... więc je załatwisz — stwierdziła praktycznie Meta.

— Chingerzy mi go zabrali. A co z twoim?

— To samo. Poczekaj tutaj, mam pomysł.

Zawróciła ścieżką, a Bill wsłuchał się w hałasy dobiegające z dżungli i obgryzał paznokcie. Doszedł właśnie do ostatniego, gdy kobieta wróciła i podała mu dziwnie wyglądającą broń.

— Miałam rację. Ten Waleczny Diabeł jest tak naładowany artylerią, że mógł się bez żalu pozbyć części arsenału. To, co dostałeś, jest miotaczem błyskawic. Trzeba tylko wycelować i nacisnąć czerwony guzik na górze.

— Ślicznie — stwierdził Bill, odstrzeliwując wierzchołek jakiegoś niewinnego drzewa. — A co ty masz?

— Promiennik grawitacyjny. Oddziałuje na masę tego, w co strzelasz. Unieruchamia obiekt dopóki ładunek się nie wyczerpie.

— Mocna rzecz. Wszystko będzie okay.

— No cóż, prawdę powiedziawszy, z tobą nie — powiedział jakiś czerwony mężczyzna, wyłaniając się z poszycia i celując w nich z długiej, paskudnej broni. — Byłbym zobowiązany, gdybyście przekazali mi te przedmioty jako gwarancję swego bezpieczeństwa. Macie moje słowo honoru, że wówczas nic się wam nie stanie.

Meta nie przywykła do poddawania się bez walki. Odskoczyła w bok i wycelowała broń... po czym przekonała się, że ostrze jakiegoś miecza drapie ją delikatnie w szyję.

— Jedno drgniecie pani palca na spuście, madam, a będzie po wszystkim. Proszę to rzucić.

W drugiej ręce czerwony trzymał nadal broń wycelowaną w Billa. Nie mieli wyboru. Gdy tylko odkopnął ich broń na bok, wsunął miecz do pochwy i opuściwszy karabin skłonił się grzecznie.

— Witamy w Barthroom — powiedział z lekkim akcentem południowca. — Nie lubimy tu obcych, więc możecie się cieszyć, że po wylądowaniu trafiliście właśnie na mnie. Nazywam się major Jonkarta — z Sił Konfederackich, a za swój dom uważam Wirginię. I chociaż mogę zdawać się wam rodzimym mieszkańcem tego świata, to nim

nie jestem. Pochodzę z odległej planety. Byłem ścigany przez aborygenów. Znalazłem kryjówkę w jaskini i zapadłem tam w sen. Sądzę, że były w to zaangażowane jakieś czary. Mój duch opuścił ciało i przybył tutaj. . .

— Nieważne co paliłeś, ale to musi dawać niezłego kopa — stwierdziła Meta. — Ta galaktyka pełna jest świrów z zaburzeniami tożsamości, matek zapłodnionych przez bogów, szlachetnych dzieciąt skradzionych po urodzeniu. . .

— Kim pani jest. . . psychiatrą, czy co? — spytał Jonkarta, a po chwili twarz jego zajaśniała radością. — Ależ, ojej, jeśli rzeczywiście jest pani specjalistką od problemów niedostosowania, doktorze, to muszą wyznać, że miewałem takie okropne sny. . .

— Jestem Engine Mate First Class Meta Tarsil. Dla przyjaciół Meta. . . a i ty możesz nim zostać, jeśli otrząśniesz się z tych mistycznych rojeń.

— Możesz uważać, że już tak się stało, droga Meto! Bardzo podoba mi się twoja siła. . .

— Czy wreszcie dopuścicie mnie do głosu? Jestem starszy sierżant Bill z Oddziałów Kosmicznych.

— Jak to miło. Wysoki rangą wojskowy. . . Serdecznie witam was wszystkich.

Po wzajemnej prezentacji mieli okazję lepiej się obejrzeć. Jonkarta przyjrzał się Mecie, na którą niewątpliwie było o wiele milej popatrzeć niż na Billa. Meta również tak myślała i coraz bardziej zaczynał ją interesować nowo poznany. Był wysoki, szeroki w ramionach; swoją czerwoną skórę prezentował niemal w całej okazałości, ponieważ nic na sobie nie miał. Nie nosił żadnej odzieży z wyjątkiem uprząży podobnej do końskiej, z której zwisały przeróżne przedmioty oraz broń. Od biedy można by uznać za jedyną jego odzież coś w rodzaju skąpych majtasów. Błyszczące oczy Mety nie przegapiły, że były one dobrze wypełnione. Skórzane buty, nabite mięśnie, zgrabna talia. To był naprawdę ktoś, o kim można napisać list do matki. Jednak wcale nie zamierzała tego robić, bo matce mógł on się również spodobać.

— Więc teraz, gdy już się sobie przypatrzyliśmy, powiedzcie mi, co tu robicie — poprosił Jonkarta.

— Zostaliśmy zestrzeleni — wyjaśnił Bill. — Czy miałeś z tym coś wspólnego?

— A coś ty myślał, kolego? Zrobiłem to za pomocą swej własnej strzelby radowej. Na tym płaskowyzu występuje znaczny niedobór metali, więc kiedy tylko przelatuje

nad nim jakaś maszyna, zestrzelujemy ją. Używamy metalu do wyrobu mieczy, broni palnej, noży, bomb i temu podobnych.

— Jasne, że tak — powiedziała Meta. — A nie zostaje wam przypadkiem trochę metalu na dziadki do orzechów, inne przybory domowe czy też grzechotki dla dzieci?

— Podziwiam twą szybkość umysłu, droga Meto. Za pomocą dziadków do orzechów z pewnością nie można prowadzić wojny.

— A nie powiedziałbyś nam przypadkiem, Rudzielcu, z kim, albo z czym walcycie?

— Z przyjemnością. Ten płaskowyż zamieszkują dwie inteligentne rasy. Ale jedna jest z pewnością bardziej inteligentna. Są to czerwoni ludzie z Barthroom i zbuntowani, zdradliwi oraz bardzo cuchnący zieloni ludzie z Barthroom. Tych odrażających typków można bardzo łatwo zidentyfikować nawet w ciemności, i to nie tylko po zapachu, ale także i po tym, że mają cztery ręce. I kły dokładnie takie jak ty, Bill, co zresztą czyni mnie nieco podejrzliwym.

— Policz ręce! — powiedział ze złością Bill. — A zatem, wracając do sprawy, mają cztery ręce i są zieloni, zupełnie jak Chingerzy. Może są też spokrewnieni.

— Czy mogę spytać kim są ci Chingerzy?

— Wrogowie, z którymi toczymy wojnę.

— Wojnę? Ho, ho! Nie mówcie tylko, że walczyacie z nimi za pomocą sprzętu kuchennego i grzechotek? — mówiąc to mrugnął do Mety.

— Tak, też mamy wojnę. Nie znaczy to jednak, abyśmy byli z tego zadowoleni — odparła.

— Mnie się tam moja wojna podoba. Pochodzę ze starego rodu bojowników. . .

— Posłuchaj — powiedział Bill, podnosząc głos, by przekrzyczeć marsza, jakiego wygrywały mu kiszki. — Minęło już sporo czasu od kiedy ostatnio jedliśmy. Czy moglibyśmy dokończyć rozmowę przy obiedzie, jeśli wiesz, gdzie takowy znaleźć.

— Bez problemu. Jedzenia mnóstwo. . . jak tylko się zapiszecie.

— W tym musi być jakiś haczyk.

— Nie ma żadnego. Popatrzcie na ten śliczny kawałek mięsa. — Otworzył jedną z kieszeni na swej uprząży i wyjął z niej kawałek wędzonej szynki. — Chciałem zaproponować, abyście do nas przystąpili. Zostaniecie wówczas hojnie obdarzeni.

— No to ja wstępuję — powiedziała Meta, sięgając po mięso. — Dawaj!

— Mnie też!

Gdy wyciągnęli dłonie po szynkę, Jonkarta cofnął się, na wpół dobywając miecza.

— Błagam o jeszcze chwilkę cierpliwości. Najpierw przysięga. Połóżcie prawą dłoń na sercu... czy wy macie serca? Dobrze. I powtarzajcie za mną. Przysięgam na Wielki Embollizm, władcę słońca i gwiazd, dogląającego Barthroom, obrońcę czerwonych ludzi, wroga zielonych ludzi, pewną śmierć białych małp, dawcę podarków, protektora wszystkich, że będę lojalny wobec Jonkarty z Barthroom i wszystkich, którzy pod nim służą, będę przestrzegał jego rozkazów i myślę co najmniej raz w tygodniu.

Powtórzyli, przełykając wypełniającą im usta ślinę, a potem rzucili się na kawałki soczystego mięsa odciętego przez niego mieczem.

— Nieźle frykasy, prawda? Sam wędziłem. Wy przeżuwaszcie, a ja powiem wam co robić. Wygląda na to, że księżniczka Deja Vu, którą z wielką pasją kocham, została napadnięta wraz ze swym oddziałem w trakcie powrotu z fabryki powietrza, produkującej powietrze dla całej tej planety. Zrobili to okrutni zieloni, dowodzeni przez najokrutniejszego z nich, Tarsa Tookusa. Oddział został wysieczony, jej wierzchowiec zabity. . .

właśnie go jecie, bo nie chciałem, by się zmarnował. . . a ona porwana przez Tarsa Tokusa i jego odrażającą horde.

— Czy byłeś przy tym? — spytał Bill.

— Nie. Ku swej wiecznej udręce, przybyłem na miejsce zbyt późno. . . w przeciwnym razie, tamci by już nie żyli. Wyczytałem to wszystko ze śladów, bo jestem nie tylko wspaniałym łowcą, ale i tropicielem. Nikt inny nie potrafi czytać tropów na mchu. Tylko ja, trenowany przez wojowników Apaczy. . .

— Może oszczędzisz nam tych przechwałek na później? — zaproponowała Meta.

— Ma pani rację, madam, i przepraszam. Na czym skończyłem?

— Na śladach zielonych porywaczy dziewcząt w trudnym terenie.

— Ach tak, oczywiście. Nie mogłem sam ich zaatakować, więc wracałem właśnie do miasta Methane po posiłki, gdy usłyszałem wasze głosy. Przez wciągnięcie was do oddziału zaoszczędzę wiele dni marszu i będziemy mogli wziąć ich zniemacka.

Meta przełknęła ostatni kęs i wytarła dłonie w długą trawę.

— Masz coś do przepłukania gardła?

— Oczywiście, że tak, madam. — Podał jej swój skórzany bukłak i kobieta pociągnęła z niego głęboko. — To jest kumys robiony ze sfermentowanego mleka.

— Tak właśnie smakuje — bąknęła, wypluwając resztki napoju. — Jak wielu tych zielonych będziemy musieli pokonać?

— Jednego, dwóch albo więcej. Nie jestem dobry w liczeniu, tylko w zabijaniu.

— Jeden albo dwóch to okay — powiedział Bill, popijając kumys. — Poradzimy sobie z tym. Ale jeśli to będzie cała gromada, czyli jak mówisz — więcej, możemy potrzebować pomocy. Lepiej zapisz też naszego kumpla, Walecznego Diabła Marka I.

— To paskudny i niebezpieczny stwór, dlatego nie podchodziłem. Czy to wasz metalowy sługa?

— Niezupełnie. Ale będzie słuchał rozkazów. Poczekaj tutaj, a ja go sprowadzę.

Smok, który uporał się już z pobliskimi gałęziami i zadowolony wydmuchiwał zielony dym, zaczynał się właśnie dobierać do winorośli; jedna z nich zwisała mu z paszczy jak spaghetti. Pokiwał Billowi pazurem i zerwał kolejną kiść.

Walecznemu Diabłowi pobyt tutaj nie podobał się aż tak bardzo. Przysiadł na suchej skale z nogami podkurczonymi pod siebie.

— Mamy dla ciebie robotę — oznajmił Bill, ale tamten się nie ruszył.

— Czy on nie żyje? — spytał dla odmiany smoka.

— Niezupełnie. Wyłączył się, żeby oszczędzać baterie.

— Wspaniale. Jak zatem mam z nim porozmawiać?

— To oczywiste. Użyj telefonu.

Bill obszedł skałę wokół i zobaczył umocowane na niej z tyłu metalowe pudełko. W końcu wyjął ze środka słuchawkę i przemówił do niej:

— Halo, jest tam kto?

Słuchawka zatrzeszczała mu przy uchu.

— To nagrana wiadomość. Waleczny Diabeł jest teraz wyłączony. Jeśli pragniesz zostawić jakieś informacje, skontaktujemy się z tobą najszybciej jak to będzie możliwe.

— Pokaż, że żyjesz, dobrze? Mamy robotę — powiedział, lecz jedynym odzewem była cisza. Bill zaklął, odwiesił słuchawkę i zatrzasnął skrzynkę. Potem dostrzegł czerwony guziczek z napisem TYLKO W SYTUACJI KRYTYCZNEJ.

— To już jest coś — powiedział i nacisnął mocno.

Rezultaty były dość dramatyczne. Nogi Walecznego Diabła mocno uderzyły w ziemię i stwór wyleciał wysoko w powietrze. Gdy spadał posypały się strumienie czystej energii i w pobliskim lesie wybuchły pociski. Zawyla też syrena.

Bill skoczył za smoka, a pociski zadudniły w jego metalową kryjówkę.

— Próbowałem cię ostrzec — powiedział smok. — Ale byłeś zbyt porywczy.

— Jak krytyczna jest sytuacja? — wykrzyknął Waleczny Diabeł, nastawiając swą optykę we wszystkich kierunkach.

— Nie ma sytuacji krytycznej — stwierdził Bill, niepewnie wyglądając z kryjówki. — Chciałem z tobą pogadać. . .

— Do tego właśnie służy telefon. To nadużycie, naciskać guzik alarmowy, gdy nie ma. . .

— Proszę, zamknij się i słuchaj! Mamy małe zadanie do wykonania.

— Od kiedy? Wszystko co mam teraz do roboty, to siedzieć na tyłku przez parę tygodni, aż smok zregeneruje skrzydło. Jak mu to idzie?

Waleczny Diabeł wysunął ramię w kierunku smoka, który wskazał pazurem na małą bulwę u boku.

— Idzie wspaniale.

Bill robił się nerwowy.

— Posłuchaj no, Waleczny Diable, pora, abyś zasłużył na swoje miano. Mamy coś więcej do roboty niż siedzenie sobie tutaj i obserwowanie, jak smokowi rośnie skrzydło. Tutaj też trwa wojna.

— No to się w nią bawcie. Obniżam zasilanie. Wszystkie systemy wyłączone. Dziesięć... dziewięć...

— Przestań! Kazano ci słuchać moich rozkazów!

— Nie ma mowy, wodnisty stworze. Wielki Zots nakazał mi uwolnić drugiego takiego jak ty i wrócić z wami żywymi. Istnieją granice moich obowiązków. Dziewięć... osiem...

— Nie! Przestań! Masz z nami wrócić, prawda? A my musimy tutaj sterczeć przez dwa tygodnie. Ale jeśli Meta i ja nie będziemy jeść, umrzemy. Teraz zawarliśmy pakt: jedzenie w zamian za odrobinę walki. Ale potrzebujemy twojej pomocy, rozumiesz? A zatem musisz z nami pójść.

— Muszę przyznać, że to logiczne — odezwał się smok. — Będę tu czekał, aż wróćcie.

Gdy Mark I zaczął przemyśliwać sprawę, było wręcz słychać, jak obracają się w nim trybiki. Nie miał wyjścia. Światelka zabłysnęły, motorki zaszumiały i znów odzyskał pełną moc.

— No cóż — powiedział z filozoficzną rezygnacją. — Dla Walecznego Diabła żywiołem jest walka, więc bierzmy się do roboty. Gdzie ta wojna?

Rozdział trzynasty

Jonkarta był bardzo podejrzliwy wobec nowego towarzysza Billa. Stanął za Metą z mieczem w jednej dłoni, a bronią palną w drugiej.

— Nie podchodź bliżej, słyszałeś?! — nakazał. — Moja broń strzela pociskami radowymi, które przejdą przez twego puszkowatego przyjaciela na wylot.

Meta odsunęła się od niego.

— Zgłupiałeś czy co, Rad? Ty pewnie świecisz się już w ciemnościach i niewiele ci życia zostało!

— Przyznaję, że nowe kule radowe błyszczą w ciemności... jak również w niej eksplodują. Więc uważajcie! Te stare, wystrzeliwane w nocy nie eksplodowały, dopóki słońce nie oświetliło ich swymi promieniami następnego dnia. Ale tak już nie jest. Czy można zawierzyć tej kreaturze?

— Słucha rozkazów, a to wystarczy. Teraz możesz już odłożyć broń. I trzymaj się od nas najdalej jak to możliwe.

— Jeśli ten metalowy stwór ma się do nas przyłączyć, musi złożyć przysięgę...

— Nigdy! — wykrzyknął Waleczny Diabeł. — Lojalność nie może być podzielona, a ja już zaprzysiągłem na wierność Złotemu Zotsowi, memu jednemu władcy. Będę natomiast przestrzegał rozkazów i instrukcji, by utrzymać tego tutaj mięczaka przy życiu, więc będziesz musiał na to przystać, koleś.

— Nie jestem pewien...

— Ale ja jestem — stwierdził Bill zmęczony całą tą głupią kłótnią. — A ta rzecz nie jest w najmniejszym nawet stopniu ludzka, to tylko maszyna...

— Nie jestem jakąś tam „tylko maszyną”! — sprzeciwił się Waleczny Diabeł.

— Spokój! — krzyknęła Meta, lecz nikt jej nie słuchał. — Jest jeden sposób, by sobie z tym poradzić — mruknęła, uniosła broń i wypaliła w kierunku całej trójki.

Krzyki natychmiast ustały. Bill i Jonkarta w mgnieniu oka padli powaleni ładunkiem grawitacyjnym. Nawet Waleczny Diabeł przyjął pozycję horyzontalną. Meta usiadła na zwalonym pniu i zaczęła coś nucić, plotąc wianek z dzikich kwiatów. Gdy działanie ładunku ustało, zaczęli ruszać się i jęczeć. Włożyła wianek na głowę, wstała i przeciągnęła się.

— Teraz, gdy kłótnia już się skończyła, może byśmy przeszli do tej wojny?

— Maszerujemy — rozkazał Jonkarta niezbyt zadowolony, że powaliła go kobieta. — Znajdziecie ich obozowisko o dzień drogi stąd, na krawędzi wymarłego miasta Mercaptan. Zajmiemy pozycję w ciemnościach. Bitwę rozpoczniemy rankiem.

— Ty jesteś szefem — stwierdziła Meta. — Prowadź. Przy okazji, czy mogłabym dostać jeszcze lyczek tego sfermentowanego mleka na drogę?

Jonkarta znał każdą ścieżkę i ścieżynkę przez dżunglę oraz pokrytą mchem równinę i poruszał się niezwykle cicho na swych kocich nogach. (Zabił przedtem małego kota i zdarł z niego skórę, a z jego stopek zrobił podeszwy swych mokasynów. To sta-

ry barthroomski zwyczaj przynoszący szczęście. Ale chyba nie kotom.) Wokół kryły się nieznane niebezpieczeństwa, lecz gdy już stawały się znane, niszczył je Waleczny Diabeł, któremu bardzo się to podobało. Wkrótce grunt pokryły szczątki gigantycznego pytona, wilko-zwierza i pożeracza. Jonkarta był teraz bardziej rozluźniony widząc, że nowoprzybyli naprawdę walczą po jego stronie.

— Muszę przyznać, że jesteś prawdziwym walecznym diabłem — powiedział.

— Zgadza się, to ja — przyznał robot i rozwalił atakującego neniteska.

Ponieważ torowali sobie drogę ogniem, dotarli do skraju omszałej równiny w momencie, gdy słońce kryło się za odległą krawędzią płaskowyżu.

— Są tam — powiedział Jonkarta, z obrzydzeniem wskazując palcem. — Widać ciemne kształty ich namiotów i jeszcze ciemniejsze sylwetki pasących się wierzchowców...

— Skoro już mówimy o tych wierzchowcach... — wtrąciła się Meta — zjadłabym jeszcze odrobinę szyneczki.

— Bardziej myślisz o swym żołądku niż o mej ukochanej Deja Vu!

— Zgadza się, teraz tak, Czerwony. Najpierw wyzerka, a potem bitwa.

Ponieważ Waleczny Diabeł nie potrzebował snu, jemu przypadła pierwsza warta. Potem druga i trzecia, aż wreszcie obudził ich przed świtem.

— Jaki masz plan, Jonkarto? — spytał Bill po przełknięciu ostatniej porcji szynki i wypadzie za ranną potrzebą między drzewa.

— Jest tylko jeden plan — walczyć i wygrać!

— Wspaniale. — Waleczny Diabeł nie był zbyt zachwycony. — Ale jeśli pragniesz porady w sprawie walki od doświadczonego Walecznego Diabła, to powiem ci, że winieneś zorganizować wszystko nieco dokładniej. Ilu ich tam jest?

— Nieprzeliczone hordy!

— A może spróbowałbyś określać nieco bardziej precyzyjnie?

— Nie przejmuj się — stwierdził Bill. — Już to z nim przerabiałem. Ten facet liczy jeden, dwa, mnóstwo.

— Jestem lepszym wojownikiem niż ty, blada twarzy — odciął się Jonkarta. — Nie potrzebuję liczyć, po prostu walczę!

— Jeszcze sobie powalczysz — zapewnił go Waleczny Diabeł, który miał już dosyć swych wodnistych kompanów. — Zrobmy tak. Co byś powiedział, gdybym tam poszedł i wszystkich rozwalił?

— Zabiłbyś moją ukochaną księżniczkę!

— Okey, zmodyfikujemy plan. Podkradniesz się teraz pod osłoną ciemności i sprawdzisz, gdzie ona jest. Wówczas, gdy ja pojawię się o świcie, wskażesz mi jej namiot, a wszystko inne wysadzę w powietrze.

— Ale jak ja ją znajdę w ciemnościach?

— Użyj swego nosa — poradziła Meta, której sprzykrzyły się już marudzenia. — Jeśli ona nie śmierdzi, to wyczujesz ją między tymi śmierdzielami.

— Śmierdzieć! Gdybyś nie była kobietą, już byś nie żyła. Moja ukochana pachnie jak słodkie róże, delikatne żonkile, wszystkie piękne kwiaty...

— Wspaniale. Wywączaj ten bukiet wonności i daj mi znać, w którym namiocie się znajduje. Czy możemy wreszcie zacząć tę wojnę?

— No to idę szukać swej ukochanej. Trzeba to zrobić w ciszy, więc nie zabiorę ze sobą Starej Betsy, mej zaufanej strzelby radowej. Pozostawiam ją pani opiece, madam...

— Nie ma mowy! Powieś ją na drzewie, a będzie tu, kiedy wrócisz.

Jonkarta nie miał wyboru. Powiesił strzelbę wysoko na drzewie, po czym cicho jak wąż wyruszył na pustkowie.

Waleczny Diabeł zabuczał do siebie. Niebo na zachodzie zaczęło się rozjaśniać, bo planeta Usa krążyła w przeciwnym kierunku. Robot załadował całą swoją broń i odbezpieczył miotacze płomieni. Bill odszedł na bok, by ulżyć gromadzącym się w nim żądom, ale Meta miała lepszy pomysł. Podkraǳła się do krzaka, za którym się ukrył, i usadowiła się przy nim; noc wypełniła muzyka odpinanych zamków błyskawicznych. Potem zamieniła się w muzykę zapinanych zamków błyskawicznych. Wtem oboje dostrzegli wychylający się zza krzaka detektor podczerwieni.

Meta chciała go pochwycić, ale jej się wymknął.

— Jeśli rozmnażacie się wegetatywnie — krzyknęła — skąd to nagle zainteresowanie heteroseksualizmem?

— Może czuję się sfrustrowany? Słońce wstało. Ruszam!

Obozowisko przeciwników już ożyło, a ożywiło się jeszcze bardziej na widok ruszającego w jego kierunku Walecznego Diabła. Cała horda obrzydliwych zielonych ludzików wylała się z namiotów, ciskając diabelskie przekleństwa i strzelając do metalowego przeciwnika. Waleczny Diabeł wznosił broń i wycelował w nich, ale nie strzelał.

— Hej, ty wodnisty czerwonce, gdzie jesteś?

— Tutaj — odpowiedział Jonkarta, wychylając głowę i chowając ją natychmiast przed gradem radowych kul. — Zabijaj ich do woli, ale oszczędź namiot ze znakiem bestii.

— Obawiam się, że nie wiem o co ci chodzi.

Jonkarta szybko nakreślił 666 na piasku.

— Wygląda to tak.

— Kapuję! — Waleczny Diabeł wycelował elektroniczny teleskop, ignorując bijące w jego pancerz kule, i omiótł linię namiotów.

— Znalazłem go... no to ruszam!

Było to bardzo dramatyczne widowisko. Groteskowe zielone ludziki nie miały szans na powodzi ognia i pocisków. Wszyscy trafieni uroczym eksplozją. Strzępy zielonych ciał latały we wszystkich kierunkach i opadały na piach między szczątki namiotów, skórzanych kap, jedwabnych draperii, złotych bransolet, prezerwatyw, pistoletów i mieczy. Innymi słowy, wszelkich rzeczy ułatwiających życie na pustyni. Meta i Bill przypatrywali się tej hałaśliwej demonstracji niepokonanej siły ognia. W ciągu paru chwil dumny obóz stał się dymiącą ruiną, z której wystawał tylko jeden namiot. Pozostał on nietknięty, choć pokrywała go również zielona krew.

— Moja ukochana Deja Vu — czy jest bezpieczna?

— No jasne — upewnił pytającego Waleczny Diabeł. — Ja nigdy nie puduję! — Wyciągnął przewód ze sprężonym powietrzem i zdmuchnął dym z luf.

— Jestem tutaj, kochanie, i tęsknię do twego uścisku! — zawołał Jonkarta, rzucając się naprzód i odsuwając płachtę u wejścia do namiotu.

Potem odskoczył, gdyż ze środka wypadł olbrzymi zielony marsjanin i przyszpilił go do gruntu.

— Zniszczyłeś całe moje plemię! — wrzasnął i uderzył się w potężny tors. — Jestem spragniony zemsty oraz twojej krwi!

— Tars Tookus... byłeś w namiocie, sam na sam... z nią! Co zrobiłeś mojej ukochanej?

— Zgadnij! — Zielony gigant wyszczerzył zęby i odskoczył w bok. — Dobądź miecza i broń się!

Miecz Jonkarty natychmiast znalazł się w jego dłoni. Wojownik wrzasnął i zaatakował. Lecz Tars Tookus także dobył miecza. A raczej mieczy. Wszystkich czterech, co jest normalne, gdy ma się tyle rąk. Jonkarta rzucił się do ataku z taką furją, że jego miecz wykonał młynka, który zmusił zielonego marsjanina do podania tyłów, pomimo zbrojnej przewagi. Gdy oddalili się nieco od namiotu, Jonkarta zawołał:

— Bill... do namiotu! Zobacz, czy mojej ukochanej nie stała się jakaś krzywda!

Bill okrążył walczących i wetknął głowę między kotary.

— Według mnie, ona wygląda całkiem nieźle!

A wyglądała tak naprawdę. Spoczywająca na jedwabnych poduchach Deja Vu była uosobieniem kobiecego wdzięku. Jej delikatna, czerwona skóra, a było jej sporo widać,

błyszczała zdrowiem i pożądlivością. Skrawki przezroczystej materii raczej uwypuklały niż okrywały krągłe wdzięki. Piersi wielkości melonów wyrywały się na wolność.

— Czy... czy wszystko w porządku? — wyjąkał Bill.

— Chodź tu i sprawdź — zaproponowała mu w odpowiedzi.

Gdy kotara u wejścia do namiotu opadła za nim, walka na zewnątrz dobiegała końca. Nawet mając cztery miecze, Tars Tookus nie był przeciwnikiem godnym mistrzostwa Jonkarty. Jego górne prawe ramię zmęczyło się i przeciwnik, wyczuwszy to, rzucił się naprzód, parując cios z boku, by potężnym uderzeniem odciąć głowę zielonego wroga. Jonkarta zawył zwycięsko, a gigantyczna postać padła na piasek, brocząc zieloną krwią ze ściętej szyi.

— Tak umierają ci, którzy ważą się stanąć między mną i moją ukochaną! — zawołał zwycięzca, obrócił się i szeroko odsłonił wejście do namiotu. Wówczas zawył powtórnie, ujrzawszy to, co działo się w środku.

— Tak umierają ci, którzy ważą się stanąć między mną a moją ukochaną! — krzyknął jeszcze raz i wpadł do środka.

— Właśnie badałem ją, by sprawdzić, czy nie jest ranna! — odrzyknął Bill, chowając się za czerwoną księżniczkę w celu uniknięcia ciosu.

— Wychodź, tchórze! Wyleż z namiotu i walcz jak mężczyzna!

Meta i Waleczny Diabeł przypatrywali się z wielkim zainteresowaniem, jak Bill wyleciał z namiotu, a za nim wściekły Jonkarta. Meta podstawiła temu drugiemu nogę i czerwony wojownik rozciągnął się jak długi.

— Wstydz się. Atakujesz bezbronego człowieka. Jeśli chcesz się pojedynkować, rób to zgodnie z zasadami. Bill wybiera broń.

— Oczywiście, masz rację — stwierdził Jonkarta, gramoląc się na nogi i otrzepując ze skrawków zielonego mięsa. Wyciągnął dłonie i spojrzał na Billa.

— Wybieraj. Strzelby radowe z odległości dwudziestu kroków. Sztylety, pistolety, miecze, maczugi... wybór należy do ciebie. Ale decyduj się szybko, bo nie jestem w stanie zbyt długo panować nad swym gniewem.

Deja Vu dołączyła do reszty widzów, okrywając nieco tkaniną swe wdzięki, które tak rozpalały umysły mężczyzn. Meta spojrzała na nią kątem oka, pociągnęła nosem i odwróciła się. Gruba, pomyślała. Będzie potrzebowała gorsetu przed trzydziest-

ką. Wszystkie oczy skierowały się teraz na Billa, a jemu nie bardzo się to podobało. Widział, co ta muskularna małpa zrobiła z czwororękim gigantem.

— Wiem — powiedział. — Zapasy na palce!

— Wybierz broń! — ryknął wściekły Jonkarta. Kopnął jeden z leżących mieczy w stronę oponenta. — Właśnie skończył ci się czas. Podnieś to i broń się... albo szybko zmów ostatnią modlitwę, zanim cię załatwię.

— Pomóż mi, Waleczny Diabie — błagał Bill. — Powstrzymaj tego szaleńca od zamordowania mnie.

— To nie moja walka, koleś. Wysłano mnie, bym sprowadził Metę żywą... i zrobię to. Pakujesz się w kłopoty z lokalnymi panienkami... to twój problem.

— Meta... ?

— Chciałeś tego pulpeta... to o nią walczyć. Ja popatrzę.

— Czas minął — stwierdził Jonkarta z sadystyczną przyjemnością i wymierzył mieczem w pępek Billa. — Czy w tym miejscu znajduje się twoje serce?

— Nie, tutaj — powiedział Bill, uderzając się w piersi i natychmiast cofając dłoń. — To znaczy, nie, nie możesz tego zrobić...

Stalowe bicepsy naprężyły się. Miecz błysnął, wtem Deja Vu wydała przeraźliwy okrzyk i obaj przeciwnicy odwrócili się, by ujrzeć ją w uścisku Tarsa Tookusa.

— Ale przecież... — wymamrotał Jonkarta — właśnie przed chwilą odciąłem ci głowę.

— Cha-cha! Rzeczywiście tak zrobiłeś. — Zielona istota wskazała na kikut szyi jedną z trzech rąk. — Ale nie wiedziałeś, że mam dwie głowy. Druga przywiązana była do pleców tak, że jej nie widziałeś. Gdy twoja uwaga była odwrócona, uwolniłem drugą głowę i złapałem tę wywłokę — zagwizdał przenikliwie i wielki thot przygalopował doń na sześciu nogach.

— Nie odważycie się strzelać, by nie zranić branki — zawołał zwycięsko i wskoczył na siodło z rozwrzeszczaną księżniczką przyciśniętą do niego.

— A teraz ruszam! Nie zabiję was, lecz pozostawię wam przyjemność przyglądania się jej losowi!

Jego szalony śmiech utonął w tętnie kopyt oddalającego się thota.

Rozdział czternasty

— Za moją ukochaną! — wrzasnął Jonkarta. — Musimy ją ocalić.

— Właśnie to zrobiliśmy — powiedziała mu Meta. Gdybyś odciął obie głowy Tarsa Tookusa, nie mielibyśmy takich problemów.

— A skąd miałem wiedzieć, że on ma dwie głowy? Nie jestem zboczeńcem... nie przypatrywałem mu się od tyłu! Musimy ruszać za nimi... i rozprawić się z tym gnojkiem!

Jego miecz zaświstał śmiertelną nutę, błyskając w ciepłych promieniach słonecznych Barthroomu. Bill wzniósł swoją broń i nacisnął spust. Z lufy wyskoczyła błyskawica i wybiła miecz z ręki czerwonego wojownika.

— To nie jest fair! — wrzasnął Jonkarta, a potem wylał nieco kumysu na poparzoną dłoń. — Nie jesteś dżentelmenem.

— Masz cholernie dużo racji. . . jestem poborowym, choć czasowo oficerem.

— Mój miecz pragnie twojej krwi.

Jeszcze raz Meta musiała użyć pistoletu grawitacyjnego, by przerwać sprzeczkę. Gdy obaj mężczyźni dysząc leżeli na ziemi, zajrzała do namiotu. Był on pełen futer, jedwabi i śmierdział zielonymi ludzikami. Znalazła jakąś butelkę, którą najpierw powąchała, a potem napiła się z niej i otarła wargi. Wyniosła ją na zewnątrz, gdzie Bill z trudem dźwigał się na nogi.

— Spróbuj trochę tego. . . jest lepsze niż kumys.

Pociągnął łąpczywie. W tym czasie zbliżył się do nich Jonkarta. Powąchał i krzyknął głośno.

— Ten zapach? Co wy pijecie?

Meta pokazała mu butelkę, a on wrzasnął po raz wtóry:

— To niezwykle rzadkie perfumy z winorośli shtunkox, która dojrzewa tylko raz na sto lat, tak cenne, że...

— Chcesz łyka, czy wolisz dawać wykład? — spytała Meta z cieniem sympatii. — Płyn ten zawiera alkohol. A to tutaj rzadkość. I odczep się od Billa. Mam już dosyć tych waszych samczych rozgrywek. Możesz pojedynkować się, ale dalej pójdiesz sam. Możesz też zapomnieć o wszystkim, a wówczas zyskasz małą armię, to znaczy nas i Walecznego Diabła. Co wybierasz?

— Życie mej ukochanej jest dla mnie ważniejsze niż honor...

— Szybko to sobie wykombinowałeś. Cóż zatem robimy dalej? — spytała, przejmując dowództwo, bo miała już dość mężczyzn.

— Użyjemy ich wierzchowców do pogoni. Te stwory nie mają siodeł ani lejców, a kierowane są telepatią.

— To nie do wiary.

— Jeśli stają się narowiste, należy walnąć je w łeb kolbą pistoletu.

— Brzmi to groźnie, ale wszystkiego trzeba spróbować. Waleczny Diabeł, przygoń tu do nas thoaty.

Lepiej nie opisywać widoku, jaki stanowiło dwoje różowawych ludzi, czerwony Barthroomczyk i metaliczny Waleczny Diabeł, dosiadających stada długich na dwadzieścia stóp, sześcionogich i nadrozwinętych seksualnie thoatów. Wystarczy powiedzieć, że w jakiś czas później cztery thoaty z uszkodzonymi od bicia w głowę mózgami ruszyły przez bezdrożną pustynię, niosąc na grzbietach umęczonych i zakurzonych jeźdźców.

— Obyście nie musieli już nigdy tak podróżować — powiedziała Meta, po czym wskazała nagle przed siebie i wrzasnęła: — Jesteśmy atakowani!

Potworny dziesięcionogi stwór spieszył w ich kierunku, śliniąc się przy tej szarży. Miał trzy rzędy długich, ostrych zębów, co sprawiało, że musiał trzymać paszczę otwartą jakby cierpiał na zadyszkę.

Skoczył do przodu, wyleciał wysoko w powietrze i opadł na Jonkartę.

Ten podrapał się w głowę, a zdyszany potwór przysiadł tuż obok.

— To mój wierny psiak, Rayona. Musiał biec dzień i noc przez dwa tygodnie, by przybyć tutaj. Te zwierzęta są niestrudzone.

Rayona natychmiast stracił przytomność i zaczął chrapać przerzucony przez grzbiet thoata.

— Maszerujemy — wystękał Jonkarta, sadowiąc się wygodnie przy nieprzytomnym ulubieńcu. — Tędy, w kierunku martwego miasta Mercaptan na brzegach Morza Martwego. Módlcie się do swych bogów, abyście nie przybyli zbyt późno.

Pogalopowali w dal. W czasie jazdy Waleczny Diabeł zbliżył swego thoata do wierzchołka Mety. Ten słuchał każdego rozkazu jeźdźcy, bo nie miał większego wyboru — w jego uchu tkwiła lufa pistoletu.

— To niezwykle doświadczenie. Będę miał co opowiadać innym Walecznym Diabłom. O czym mówił ten czerwony mięczak, o jakich obcych bogach? Ma tak mocny zbójcki akcent, że czasami trudno go zrozumieć.

— Nie teraz, Waleczny Diabie! Jeśli sądzisz, że będę ci wyjaśniała religioznawstwo porównawcze, człapiąc przez martwe dno oceanu na grzbiecie sześcionogiego thoata, to chyba brakuje ci oliwy.

Większość dnia galopowali, bo Jonkarta absolutnie nie chciał słyszeć o postojach. Dopiero gdy pojawiły się przed nimi postrzępione wieże Mercaptanu, zarządził odpoczy-

nek. Wszyscy, z wyjątkiem Walecznego Diabła, zwalili się na ziemię, oddychając z ulgą. Thoaty zaczęły się paść, a wierny pies Rayona obudził się i puścił baka. Zapomnieli o zmęczeniu i zwiali na bezpieczną odległość. Nie uczynił tego tylko Waleczny Diabeł, który nie miał węchu.

— A oto mój plan — powiedział Jonkarta, gdy powietrze nieco się oczyściło. — Musimy ich zaskoczyć, ponieważ mają nad nami przewagę liczebną. Znam sekretne wejście. . .

— Dlaczego zaskoczyć? — zapytała zdziwiona Meta. — Dlaczego, tak jak poprzednio, nie pošlemy tam Walecznego Diabła, żeby wszystkich rozwalił?

— Bo teraz są ostrzeżeni. Po pierwszym strzale zabiliby moją ukochaną. To nie może się zdarzyć! Wślizgniemy się przez górne piętra opustoszałych budynków, a tego się zupełnie nie spodziewają.

— Dlaczego nie? — zapytał Bill, który był coraz bardziej skołowany.

— Bo górne piętra zamieszkane są przez ohydne białe małpy, olbrzymie groźne stworzenia, które uwielbiają zabijać.

— Czy nie będą zatem próbowały nas zabić? — spytała Meta.

— Przypuszczam, że tak — odparł Jonkarta. — Jakoś o tym nie pomyślałem. Już wiem! Jeśli zaatakują, wasz metalowy wojownik je zabije.

— Sprytne. Eksplozje i strzelanina na górze. Ci wspaniali zieloni na pewno nic nie zauważą.

— Mogę to zrobić — powiedział Waleczny Diabeł. — Mam ciche promienie śmierci, promienie koagulacyjne, które ścinają ciało jak jajko na twardo, gazy trujące, tego typu rzeczy. Chcecie, żebym zademonstrował?

— Zademonstruj na tych białych małpach — rzekł Bill. — Czyż nie powinniśmy tego zrobić, zanim będzie zbyt późno?

Jonkarta poprowadził. Weszli do zrujnowanego budynku, a potem schodami w górę, aż dotarli do najwyższego piętra. Przeszli przez jeden pokój, potem drugi, aż dopiero w trzecim natrafili na wroga.

— Jest! — krzyknął przerażony Jonkarta. — Obrzydliwa wielka biała małpa. Zabić ją!

— Biała małpa, rzeczywiście! — odkrzyknął stwór. — I ty to mówisz, czerwony komunistyczny gnojku. Zaraz ci tak dołożę, że przestaniesz obrażać bliźnich!

— Czekajcie — odezwał się Bill, powstrzymując Walecznego Diabła, który już wysuwał lufę. — Nie strzelaj jeszcze. Ten stwór chyba umie mówić.

— Stwór, też mi coś! A kim ty jesteś, by wdzierać się do czyjegoś salonu z morderczo wyglądającą machiną i tym czerwonym idiotą. A także z jakąś milutką osobką, co muszę przyznać, by wymienić wszystkich.

— Zabić go! — rozkazał Jonkarta i morderczy dziesięcionogi pies rzucił się do przodu.

— Leżeć — nakazała biała małpa. — Waruj. Miły piesek. Masz tu kostkę. — Na podłogę poleciała czaszka thoata, która została natychmiast przechwycona i rozłupana przez Rayonę.

— Jestem Meta — powiedziała owa milutka osobka, występując do przodu. — Mam nadzieję, że nie gniewasz się na nas za to wtargnięcie.

— Ależ wcale nie, absolutnie nie! Ja mam na imię An Lar, ale przyjaciele mówią do mnie Ań. Albo Lar. Albo An Lar. Żona i dzieciaki są na zakupach. Dziś wieczorem będziemy mieli na kolację pieczoną nogę zielonego Barthroomczyka, więc możecie się do nas przyłączyć.

— No cóż, dziękuję. Zapytam przyjaciół. — Odwróciła się i spojrzała na Walecznego Diabła, który chował broń. — Jak doskonale widzicie, te tak zwane białe małpy są bardzo ludzkie, lub przynajmniej bliskie człowiekowi.

— Bez wątpienia jesteśmy ludzcy, niech Samedi mnie ukarze, jeśli to nieprawda.

— Samedi? — spytał Bill, w którym obudziły się już jakieś wspomnienia w zakamarkach wyniszczzonego umysłu. — To brzmi znajomie. Mój przyjaciel zwykł mówić o Samedi. Rekrut imieniem Tembo.

— Nazywany tak na cześć św. Tembo, niech spoczywa w pokoju, jednego ze świętych Pierwszego Zreformowanego Kościoła Voodoo. A gdzie jest teraz twój przyjaciel?

— Tutaj. A przynajmniej jego część. Został zabity w czasie akcji. W tej samej akcji ja straciłem rękę. To jest jego ręka, wszystko co po nim zostało. Ona zawsze mi go przypomina.

— Wcale się nie dziwię! — Lewa ręka Billa poruszyła się w górę wbrew jego woli. — Zastanawiałem się, dlaczego masz; jedną rękę białą, a drugą czarną, i do tego obie prawe, ale nie chciałem być niegrzeczny i spytać. No dalej, wchodźcie, ludziska, teraz

tak trudno ujrzeć przyjazne oblicze. To był naprawdę czarny dzień, gdy statek rozbił się na tej przeklętej planecie.

— Statek? Rozbił się? — powtórzył Bill.

— Aha. Wielki statek kosmiczny, napakowany uchodźcami z planety Ziemi, jeśli w ogóle wierzycie w takie historie. Mówi się, że właśnie na tym statku miała miejsce wielka przemiana. Chociaż ci, którzy na niego weszli, wyznawali wiele różnych religii, to gdy z niego schodzili, uznawali już tylko jedną. A wszystko dzięki wspaniałej pracy misyjnej św. Tembo, niech będzie błogosławione jego imię.

— Tak właśnie zawsze mówił Tembo — stwierdził Bill. — Ziemia została zniszczona w wojnie atomowej, a przynajmniej jej północna półkula.

— Jasne, i miło nieco zweryfikować stare historie. Młodzi nazywają je mitami i krzywią się na nie. Ale to nie mit, że zostaliśmy wyrzuceni na tę nagą planetę. Hodujemy trochę ziemniaków w ogródkach dachowych, jemy zielonego Barthroomczyka, albo dwóch, gdy jesteśmy głodni. Nielekkie to życie, a jeszcze gorszym czynią je tacy jak on, nazywając nas małpami!

— Przepraszam. Jako dżentelmen z południa czuję się zobowiązany do przeprosin. Powtórzyłem tylko to co słyszałem.

— To tylko świadczy o tym, jakie zgubne mogą być plotki. Ale powiedzcie mi, co sprowadza was do naszego miasta?

— Moja narzeczona, śliczna księżniczka Deja Vu, została uprowadzona przez wstrętne stwory, które mieszkają pod wami. Musimy ją uwolnić!

— No to zjawiliście się we właściwym miejscu, jeśli chcecie kogoś ocalić i policzyć się z zielonymi Barthroomczykami. Poza tym, mój zamrażalnik na mięso jest pusty. Poczekajcie tutaj, dajcie jeszcze jedną kostkę temu wygłodniałemu psiakowi, a ja wrócę w mgnieniu oka.

— Jakież on miły — powiedziała Meta, gdy ich gospodarz wyskoczył przez okno.

Zgodnie z obietnicą pojawił się prawie równie szybko jak zniknął, lecz jego białe brwi wyrażały zmartwienie.

— To nie będzie tak łatwe, jak przypuszczałem. Myślę, że oni spodziewali się waszego przybycia.

— Dlaczego tak sądzisz?

— W całym mieście pojawiły się znaki: „Do porwanej księżniczki”. Według mnie, oni na was czekają.

— Właśnie tego pragnę — stwierdził chmurnie Jonkarta, rezolutnie sięgając po miecz. — Jeśli sądzą, że mogą mnie złapać, to jej nie skrzywdzą. A zatem atakujemy.

Meta była zaszokowana.

— Chcesz wpaść prosto w pułapkę?

— Nie mamy innego wyjścia.

— On ma rację, nie mamy wyboru — zaintonowali chórem Bill i An Lar.

— To wy, kretyńskie ogiery, tak twierdzicie. — Meta wykrzywiła usta z obrzydzenia. — Lecz z punktu widzenia kobiety, myślę, że powinniśmy zrobić najpierw rekonesans. Później zawsze znajdziemy czas na umieranie.

— Nie! — wybuchnął Waleczny Diabeł. — Najpierw walka, a potem myślenie. Może nie jestem mężczyzną, bo rozmnażanie wegetatywne to sprawa aseksualna, lecz, na Zotsa, podoba mi się ta męska gadka.

— Myślicie wyłącznie genitaliami, a nie mózgami — orzekła jeszcze bardziej zde-
gustowana Meta, gdy wyszli. Ruszyła za nimi, trzymając się w zasięgu wzroku, lecz
pozostała w budynku, gdy wydostali się na centralny plac.

— Tu jest pusto! Zwiali, bo się nas boją! — krzyknął Jonkarta, a pozostali zgotowali
mu burzliwy aplauz.

Wówczas grunt rozwarł się i polecieli w dół, a niezliczona liczba zielonych Barth-
roomczyków wylała się z pobliskich budynków, wydając okrzyki zwycięstwa, śmiejąc
się i wykonując obsceniczne gesty, które w przypadku posiadania aż czterech ramion
mogą być naprawdę bardzo wulgarne.

— A nie mówiłam — warknęła Meta. — Ale nikt tutaj nie chce mnie słuchać.

Zmartwiła się i desperacko złożyła dłonie.

— Czyżby już było po wszystkim? Czy tak kończy się życie? Nie było to wcale
wielkie bum ani masakra zielonych.

Westchnęła, a jedynym dźwiękiem, jaki usłyszała, było zgrzytanie potężnych zębów
na kości thoata. Potem nastąpiło pełne samozadowolenia beknięcie.

Rozdział piętnasty

Tymczasem w metalowym mieście Zots zaczynał poważnie się martwić.

— Powinni już byli wrócić do tej pory. Boję się o waszych towarzyszy. — Łyknął sobie wysokooktanowej benzyny dla uspokojenia nerwów, i obserwował, jak admirał pracowicie czymś się zajmuje.

— Odpręż się, Złociutki — zamruczał Praktis i odkręcił pas od bezradnej maszyny, którą przyspilił do podłogi. Zabrzęczała głośnikiem w agonii. Praktis zerknął na Wurbera, a ten podał mu obcęgi. Kapitan Bly również tam był i patrzył, nic nie widząc, na

jej kiwającą się głowę. Chociaż pozbawili go wszystkich zapasów, nie znaleźli towaru ukrytego w butce. Mógł więc poużywać na całego i miał niezły odlot.

— Jasne, że chciałbym się zrelaksować — cierpiał Zots. — Ale wstydzę się swego braku gościnności. Najpierw jedno, a potem drugie z waszych kompanów zaginęło.

— Dwoje czy dwieście. Straciłem znacznie więcej ludzi, robiąc nielegalne badania nad zwykłym przeziębieniem. Aha!

Maszyna zgrzytnęła, gdy odpadła jej noga. Praktis pochylił się i skupił mikroskopowy okular na złączu. Zots wyglądał na zboląłego.

— Wołałbym, abyś tego nie robił, kiedy do ciebie mówię. Na waszą prośbę zaopatrzyłem was w maszyny do rozbiórki... to znaczy, badania. Ale wołałbym, abyś z tym zaczekał, dopóki nie wyjdę.

— Przepraszam. — Praktis wyprostował się i odłożył czarny monokl na miejsce. — Czasami daję się ponieść pracy. Gdzie jest Cy?

— Tutaj — rozległ się głos idącego z tacą dymiących steków. — Jedzenie. Jestem głodny. A wy?

— No cóż, może trochę. — Praktis nadgryzł stek i odłożył. — Lubię mięso w menu tak jak każdy, ale to już mi się znudziło. Powinienem być popracować nad szybko rosnącymi torcikami albo może ptasim mleczkiem. . .

Przerwały mu ostre, zgrzytliwe dźwięki, gdy maszyna, którą badał, wyrwała gwoździe trzymające ją przy podłodze. Podskakiwała teraz wariacko na jednej kończynie.

— Stój! — krzyknął Praktis.

— Daj mu spokój — powiedział Zots. — Mamy ich o wiele więcej. A teraz może powrócimy do tematu naszej dyskusji. Do pańskich zaginionych towarzyszy. Nasze detektory wyłoniły słaby sygnał transpondera z pustyni. Wydaje się on zgodny z częstotliwością, na której nadaje Waleczny Diabeł Mark I. Wysłałem zatem po ulepszony model, Mark II. Jeśli się nie mylę, właśnie tu przybył.

Drzwi rozwarły się z wielkim trzaskiem i do pomieszczenia wkroczył Waleczny Diabeł. Okrążył je dwukrotnie i wywalil pociskiem dziurę w ścianie, a potem spoczął dysząc. Zots pokiwał głową z aprobatą.

— To ja! — krzyknął radośnie Waleczny Diabeł i odstrzelił połowę sufitu. Praktis spojrział na niego z dezaprobatą i nie zauważył, że Wurber kradnie resztę jego steku.

— Co mamy z nim zrobić? — zapytał.

— Podjąć misję ratowniczą, oczywiście. Chodźcie za mną, a zaprowadzę was do ornitoptera.

— Beze mnie, ja jestem tu admirałem. — Rozejrzał się wokół i dostrzegł kapitana Bly. — Chyba kończą nam się rekruci. Wy tam, kapralu Cy BerPunk, wy zgłaszaliście się na misję ratowniczą.

— Nie potwierdzam, nie idę. Nie znoszę wysokości. Niech idzie Wurber. Ja mam obawy.

— Wurber jest za głupi. A wy chyba jednak bardziej obawiacie się mnie. Ruszać!

Cy dotknął blastera i zastanowił się, czy nie byłoby mądrzej rozwalić Praktisa, zamiast wybierać się na tę samobójczą misję. Lecz admirał miał wielkie doświadczenie z opornymi rekrutami, ochotnikami i pacjentami, więc podjął decyzję jeszcze szybciej.

— Popatrz, popatrz. — Uśmiechnął się, wycelowując swą broń między oczy niechętnego ochotnika. — Ruszaj za Walecznym Diabłem i wracaj tu ze swymi towarzyszami!

Poszedł, choć niechętnie. Waleczny Diabeł Mark II kroczył przodem, wysuwając oko na szypułce, by przyjrzeć się swemu nowemu kompanowi.

— Jestem taki podniecony; to moja pierwsza misja.

— Zamknij się.

— Nie odzywaj się takim tonem do Walecznego Diabła, bo Waleczny Diabeł cię rozwali.

— Przepraszam. To nerwy. Już jestem spokojny. Prowadź.

Na podwórku oczekiwał na nich ornitopter. Małe maszyny serwisowe smarowały mu olejem skrzydła i myły zęby.

— No to ruszamy — stwierdził Waleczny Diabeł i odprawił maszyny serwisowe.

— Być może — powiedział głębokim głosem ornitopter. — Jakaś banda idiotów poleciała tam z moją siostrą, która już nigdy nie powróciła. A gdzie my lecimy?

— Wybieramy się do złych ziem.

— Zapomnij o tym! Nie biorę udziału w samobójczych misjach.

Z krocza Walecznego Diabła wyleciała świetlna błyskawica i wypaliła kawał metalu w ogonie ornitoptera.

Ornitopter spojrział na swój ogon i uśmiechnął się nieszczercze.

— Wiesz, o ile dobrze pamiętam, zawsze marzyłem o obejrzeniu tych terenów. Wskakujcie.

— Czy nie ma innych ochotników? — zapytał smutno Cy. — Mam złe przeczucia co do tej misji.

— Rozchmurz się, mój mokry towarzyszu — powiedział Waleczny Diabeł sadowiąc go na plecach latającej istoty. — Lecimy na bitwę! Zabijać, niszczyć! — I wywalił kilka wielkich jam w gruncie, gdy wzbijali się w powietrze.

Lot przebiegał jak wszystkie inne. Waleczny Diabeł nucił wesołe melodyjki wojskowe, od czasu do czasu wypalając z działa dla dodania sobie otuchy i dostrajając się do odległego transpondera.

— Robi się głośniejszy. Wyraźniejszy. Skieruj nos i bij skrzydłami w kierunku plamki na horyzoncie — nakazał.

Ornitopter wykonał skręt i robił się coraz bardziej ponury, w miarę jak zbliżali się do celu.

— Wiedziałem o tym — jęknął delikatnie. — Płaskowyż Przeznaczenia.

— Na mojej mapie nie ma żadnego Płaskowyżu Przeznaczenia. A ja mam dobre mapy.

— Żadna mapa nie waży się ukazywać jego odrażającej formy, wypisywać jego zakazanej nazwy.

— A więc skąd o nim wiesz?

— To stało się przypadkiem. Wyobraźcie sobie szczęśliwą scenkę. Rada Starszych, siedząca wieczorami wokół studzienki z olejem, rozmawiająca o tym i owym. Nagle zapada niespodziewana cisza. Wszyscy milkną, gdy przemawia staropter. Zaczyna opowiadać stare historie, przekazywane z pokolenia na pokolenie. A na koniec zawsze ostrzega przed Płaskowyżem Przeznaczenia.

Mówiąc ornitopter zboczył z kursu. Cy zauważył to, ale miał nadzieję, że głupawa maszyna siedząca obok niego nic nie dostrzegła. Żywił równie nikły entuzjizm do odwiedzin na tym płaskowyżu.

— Zakręcamy — wrzasnął Waleczny Diabeł. — Leć tamtędy, a nie tędy.

— To pewna śmierć!

— Jeszcze pewniejsza, jeśli cię zestrzele!

Działka zagrzmiały i odpadło kilka lotek.

— Nie możesz tego zrobić! — zaskrzeczał ornitopter. — Jeśli mnie zestrzelisz, ty również zginiesz!

Odezwało się jeszcze więcej działek i odleciały kolejne lotki. Waleczny Diabeł wzruszył ramionami.

— Wiem. Ale co mam zrobić? W końcu trwa wojna.

Płacząc oleistymi łzami, ornitopter skierował się na właściwy kurs. Cy zastanawiał się, czy nie udałoby mu się zepchnąć z grzbietu tego przygłupiego metalowego towarzysza, ale dostrzegł, że jest mocno do niego przyśrubowany.

— Dlaczego lecisz tak wysoko? — zapytał robot.

— Im wyżej lecimy, tym jesteśmy bezpieczniejsi.

— Nie widzę dobrze z tej wysokości.

— Użyj teleskopowych soczewek, czy może o nich zapomniałeś?

— Och, tak. Ja zapomnieć. — Soczewki wysunęły się, a Cy zaczął wierzyć, że redukcja inteligencji, zwykle bardzo dobrze sprawdzająca się w wojsku, niezbyt się udała w przypadku tego stwora.

— Leć tam. W kierunku ruin miasta. Mocny sygnał. Wysyłam wiadomość. Trzymajcie się, drodzy wodniści przyjaciele. Pomoc nadchodzi!

— Jest jakaś odpowiedź? — zapytał Cy.

— Już ją odbieram. UWIEZIONY W DZIURZE STOP... Ho, to całkiem śmieszna wiadomość. Dlaczego „w dziurze stop”?

— To telegram, idioto. To znaczy, że chodzi o dziurę. A potem stop. Stop oznacza kropkę.

— To dlaczego nie nadają kropki?

— Czy jest coś jeszcze? — Cy przewyciężył gniew, strach, zdegustowanie i wiele innych rzeczy.

— Och, tak. WODNIŚCI W DZIURZE ZE MNĄ STOP OCAL NAS STOP ATAKUJ ATAKUJ ATAKUJ JAK NAJSZYBCIEJ ATAKUJ ATAKUJ.

— Myślę, że chodzi o to, abyś atakował.

— W tym właśnie jestem dobry! — zagrzmiały działa i Cy musiał krzyknąć, by zostać usłyszany.

— Wstrzymaj ogień! Ostrzeżesz ich tylko... a poza tym potrzebujemy amunicji.

— Ląduj tam, latający stworze. Sygnał dochodzi z centralnego placu.

Ornitopter zniżył lot za ruinami budynków i opadł na ziemię.

— To złe miejsce. Plac tam.

— Ja lądować dobre miejsce. Ocalić życie moje i wodnistego. Ruszaj mocarny Waleczny Diabie! Atakuj!

— Atakuj? Atakuj co?

— Dziurę na placu z więźniami! — krzyknął Cy z desperacją.

— Och, tak, tę dziurę!

Maszyna ruszyła i chwilę później powietrze wypełniły eksplozje, krzyki, jęki bólu, grzmoty świetlnych błyskawic i tym podobne odgłosy. Szybko jednak przebrzmiały.

— Czy on wygrał? — wyszeptał Cy.

— Idź i zobacz — zaproponował mu ornitopter.

— Ciągnijmy losy. Ten kto przegra, pójdzie.

— Nie musicie się trudzić — wyszeptała Meta z balkonu nad ich głowami. — Stąd wszystko bardzo dobrze widzę. Waleczny Diabeł stoczył swoją ostatnią walkę. Uczynił

niewielko zniszczeń, lecz znalazł się w ogniu tysiąca strzelb radowych i jest teraz kupą radioaktywnego złomu. Chodźcie tu na górę. Przez drzwi, a potem schodami.

Ornitopter przyjrzał się drzwiom.

— Przykro mi. Trochę to dla mnie za małe. Poczekam tutaj i naoliwię swoje lotki. Życzę szczęścia.

Cy wdrapał się na schody i wszedł do dużej komory wypełnionej tłumem bladych kobiet. Meta siedziała za stołem w odległym kącie pomieszczenia i usiłowała wydawać rozkazy. Gdy wreszcie można było ją usłyszeć, powtórzyła:

— Od jakiegoś czasu jesteśmy w podobnej sytuacji. Wiemy, że frontalny atak nie skutkuje. Właśnie widzieliście, co się stało z Walecznym Diabłem, który tego próbował.

— Poczekajmy, aż zapadnie ciemność, a potem wytłuczemy tych zielonych gnojników naszymi kamiennymi maczugami.

— Nie zgadzam się — krzyknął inny głos. — Jeńcy zostaną do tego czasu zabici. Musimy działać natychmiast.

Meta wypchnęła Cy do przodu.

— Patrzcie! — zawołała. — Oto posiłki. On nam pomoże.

— Z ochotą. . . jeśli tylko mi powiecie, co tu się dzieje.

— To całkiem proste. Jonkarta, pochodzący z Wirginii, a obecnie mieszkający na tej planecie, przemierzał pustynię ze swą narzeczoną, czerwoną dziewczyną, księżniczką Deja Vu, gdy zostali zaatakowani przez zielonych barthroomczyków, którzy porwali księżniczkę, ale wkrótce potem przybyliśmy my, dogoniliśmy ich i schwytaliśmy w pułapkę, a Waleczny Diabeł wystrzelał ich do nogi, z wyjątkiem jedynie tego, który ponownie porwał księżniczkę i uciekł z nią tutaj, a my znów za nim i ponownie zaatakowaliśmy, lecz nasze siły, wzmocnione przez męża tej pani, zostały pobite i schwytane z wyjątkiem mnie, ponieważ nie poszłam z nimi, a teraz mają być wszyscy torturowani i straceni.

— Nie, proszę cię, abyś to powtórzyła — stwierdził Cy i tak już dosyć skołowany. — Usłyszałem wystarczająco dużo, by wiedzieć, że sprawa jest beznadziejna. Dlaczego nie wskoczmy we dwójkę na ornitoptera i nie zmyjemy się stąd?

— Wielkie dzięki, śmierzący tchórze — warknęła Meta, a inne kobiety pogroziły pięściami, krzycząc z nienawiścią.

— Ja tylko próbowałem pomóc. — Wzruszył ramionami.

— Nie możemy pozwolić im umrzeć!

— Ta blada młoda dama ma rację. Przygotujcie się do boju, kochani. Oszczędźcie jej życie, ale wystrzelajcie całą resztę tych odrażających białych małp — oznajmił jakiś dziwny głos.

Wszyscy odwrócili się i westchnęli widząc, jak horda czerwonych wojowników uzbrojonych po zęby wdarła się z holu pod wodzą mówiącego te słowa osobnika, również czerwonego, lecz o siwej głowie. Napastnicy wnieśli broń do strzału, lecz zanim zdolali jej użyć, wszystkie znajdujące się w pomieszczeniu kobiety rzuciły kamienne maczugi na ziemię i z intymnych miejsc wydobyły radowe strzelby wycelowując je w intruzów.

Cy czknał w zapadłej ciszy, uwięziony między grupami przeciwników. Każdym ruchem mógł zapoczątkować masakrę. A jednak wydawało mu się, że wszystkie strzelby wycelowane są w niego. Przemówił zrozpaczony:

— Wstrzymajcie się! Jeśli padnie choć jeden strzał, wszyscy zginieemy. A ja jako pierwszy, dlatego podjąłem się roli negocjatora. Jeśli ktoś z nowoprzybyłych wystrzeli, zabije równocześnie jeńców oczekujących na egzekucję na placu pod wami. . .

— A jednym z nich jest księżniczka Deja Vu — dodała Meta widząc, jaki kolor skóry mają agresorzy, i zdając sobie sprawę, że mogą być ziomkami czy współwyznawcami uprowadzonej grubaski. Trafiła w samo sedno, gdyż ich przywódca głośno krzyknął, cofnął się i uderzył dłonią w czoło. Meta uśmiechnęła się.

— Mam przeczucie, że znasz tę dziewczynę.

— Czy ją znam? Jest moją córką! Opuścić broń! — krzyknął przez ramię. — Jestem Mors Orless Jeddak z Methane. Długo nie wracała z przejażdżki na thoacie i zaczynałem się niepokoić. Potem przejęto telegram z tego miasta i serce moje napełniło się strachem. Zebrałem armię i przybyłem natychmiast. Powiedz mi, blada twarzy, co się stało?

— To bardzo proste. Jonkarta, z pochodzenia Wirginińczyk żyjący na tej planecie, przemierzał pustynię z wybranką swego serca, czerwoną dziewczyną, księżniczką Deja Vu, gdy nagle zaatakowali ich zieloni Barthroomczycy, porywając księżniczkę, lecz my przybyliśmy wkrótce potem, ruszyliśmy za zielonymi i schwytaliśmy ich w pułapkę, a Waleczny Diabeł wystrzelał ich co do nogi, z wyjątkiem jednego, który powtórnie porwał księżniczkę i uprowadził ją tutaj, gdzie oczywiście podążyliśmy za nimi, i zaatakowaliśmy, lecz nasze siły wzmocnione o męża tej pani zostały odparte, i uwięzione,

z wyjątkiem mojej osoby, ponieważ nie udałam się z nimi, a teraz mają być torturowani i straceni.

— Ocalimy ich! Do broni, dzielni Methanianie, do broni!

— Wstrzymajcie się! — krzyknęła Meta, gdy wojownicy zaczęli opuszczać pomieszczenie. — Bezpośrednie uderzenie już się źle skończyło dla Walecznego Diabła, co jest rzeczą niewiarygodną. Potrzebujemy jakiegoś planu.

— A ja z pewnością mam dla was wspaniały plan powiedziała żona Ana Lara występując do przodu z rozłożonymi ramionami i błyskiem w oczach. — Oto co powinniśmy uczynić. Od pradawnych czasów mamy na pieńku z tymi zielonymi. A wszystko dlatego, że lubią oni nas jeść równie chętnie, jak my ich. A zatem ja wraz z resztą naszych pań wyjdziemy nie uzbrojone i apetyczne, by wzbudzić ich litość. Oczywiście oni nie mają litości, ale będziemy udawać, że o tym nie wiemy. Wówczas nie będą do nas strzelać, lecz zaatakują z ochotą, wyjąc z głodu. . .

— A wtedy — wtrącił się ze sprytną miną Mors Orless — my, którzy będziemy się ukrywać za każdym oknem wokół placu, wypalimy salwą, która zetrze z powierzchni ziemi wszystkich tych zielonych skurczybyków!

— Jak na staruszka o niewłaściwym kolorze skóry, nie jesteś głupi! Robimy to?

Z okrzykami przedwczesnej radości na ustach, wylali się z pomieszczenia. Czerwonoskórzy ruszyli do okien, białe kobiety na plac. Chmury dymu i pyłu opadły, a zmęczony Cy osunął się na krzesło naprzeciw Mety.

— Często ci się to zdarza?

— Nie. I ten raz zupełnie wystarczy.

Przez okno wpadły okrzyki poddających się kobiet, a potem wrzaski zadowolenia i oskomy. Te zostały zastąpione przez gromką strzelaninę i krzyki śmiertelnie ranionych.

Potem, po chwili ciszy, rozległa się dzika wrzawa radości, a wreszcie w ciszy zaczęły nawoływać się dwa głosy.

— Jon!

— Deja!

— JON!

— DEJA!

— JON!

— DEJA!

Były coraz głośniejsze i towarzyszyła im bieranina, aż w końcu rozległ się dźwięk wpadających na siebie ciał. A potem znów wybuchła radość.

— Plan musiał się powieść — stwierdził Cy.

Niebawem usłyszeli ciężkie kroki na schodach i zmarnowany Waleczny Diabeł wszedł do pomieszczenia, ciągnąc za sobą równie wykończonego Billa.

— Czeka na nas ornitopter — oznajmiła Meta, starając się nie ziewać. — Co byście powiedzieli, gdybyśmy się stąd wynieśli?

Rozdział szesnasty

— Schodzisz z kursu — powiedział Waleczny Diabeł kopiąc ornitopter, by zwrócić jego uwagę. Tamten wystawił jedno oko na szypulce, chcąc zobaczyć, kto go kopie.

— Skąd wiesz?

— Ponieważ mam wbudowany detektor kierunku.

— Masz rację, zesliśmy z kursu. Ale istnieje potężne pole siłowe przyciągające mnie do tych gór. Nie mogę już z nim walczyć. Jest potężniejsze ode mnie. . .

— W porządku... oszczędź mi gadaniny. — Z jego piersi wyłoniło się działo o wielkiej lufie. — Po prostu leć w kierunku tego tajemniczego pola siłowego, a przestanie ono być tajemnicą. Rozwalę je. Czy wszystkim jest wygodnie?

— Nie! — odpowiedzieli mu chórem, z trudem trzymając się drżących uchwytów.

— Wodniste biedactwa — zasyczał Waleczny Diabeł z udawaną sympatią. — Jakże lepsi jesteśmy my, formy życia oparte na metalu... Dlaczego lądujemy?

— Ponieważ włączono to pole siłowe na maksimum i nie mam wyboru.

Pociągnęło ich w kierunku skalnej półki wyraźnie nie zamieszkaney. Waleczny Diabeł wypalił mimo wszystko, ale siła nie przestała działać.

Nawet machając z całych sił skrzydłami, ornitopter nie był w stanie się jej wyrwać. W końcu ściągnęło go na skalistą powierzchnię, a on nadal trzepał jak zwariowany skrzydłami.

— Wyłącz... silnik! — krzyknął przeraźliwie Bill i w końcu skrzydła zwolniły i zatrzymały się. W czasie gdy Waleczny Diabeł uwalniał się z pasów, ludzie opadli na ziemię, jęcząc z bólu, i potoczyli się po gruncie.

— Już nigdy więcej! — wyjęczała Meta. — Nie wsiądę na to rozklekotane monstrum, nawet gdybym miała spędzić resztę życia na tej skale.

— Ja również — westchnął Cy.

— Tym bardziej ja — mruknął Bill.

— Zapraszamy do pozostania tutaj.

— Kto to powiedział? — krzyknął Waleczny Diabeł obracając się i włączając wszystkie swoje systemy. Z każdego jego otworu wysunęło się działko.

— Żaden z nas — oznajmił Bill. — To zdaje się dochodzić z tamtego tunelu.

Waleczny Diabeł natychmiast wystrzelił spory ładunek pocisków i olbrzymie kawałki skał poleciały we wszystkich kierunkach.

— Przestań! — krzyknął Bill, rzucając się na ziemię.

Gdy strzelanina ustała, głos przemówił ponownie:

— Wstyd! Oferuję wam gościnę, a wy odpowiadacie ogniem.

— Wyjdź, to porozmawiamy — oznajmił Waleczny Diabeł z bronią gotową do strzału.

— Nie ma mowy. Znam takich jak wy. Zanim się pojawię, muszę mieć zagwarantowane bezpieczeństwo.

— Jak? — zapytał Bill.

— Pomocy! — zawołał ornitopter. — Złapało mnie pole grawitacyjne i nie mogę się ruszać!

— No właśnie. Bez tego machacza jesteście uwięzieni tu na górze. A ja nie mam przy sobie pstryczka, by go uwolnić. Pole jest kontrolowane przez innych, którzy patrzą i słuchają wszystkiego, o czym mówimy. Zróbcie mi krzywdę, a zrobicie krzywdę sobie samym i na zawsze pozostaniecie w tych nagich górach. Gotowi do rozmów?

— Tak, tak — zamruczał Waleczny Diabeł i schował broń.

Któryś z wielkich głazów odsunął się w bok z wielkim hałasem i wysunęła się zza niego bardzo zniszczona maszyna. Z jednej strony była zardzewiała i wgnieciona, a przy tym poruszała się kulejąc, ponieważ jedną nogę zastępowała jej sztywna proteza.

— Witajcie moi goście — pozdrowiła ich — na Szczęśliwych Akrach. Jestem waszym gospodarzem, Szczęśliwcem, a to są moje akry.

Meta popatrzyła na nią uważnie.

— Szczęśliwiec? Myślę, że wobec tego nie chciałabym nigdy zobaczyć Nieszczęśliwych Akrów!

— Tak, jestem szczęśliwy i wkrótce się o tym przekonacie. Zejdziemy niżej i tam, gdy tylko złożycie swą broń, zostanie podany posiłek odświeżający. Wodniści niechaj pierwsi położą miotacze na ziemi.

— Głupcze! — krzyknął wściekły Waleczny Diabeł. — A jak ja mam odłożyć broń, skoro jest wbudowana we mnie?

— Już kiedyś stanęliśmy przed podobnym problemem i mamy mnóstwo korków, wtyczek oraz drutu kolczastego. Będziesz zabezpieczony. Możecie już wyjść, drodzy towarzysze.

Przy kakofonii trzasków, skrzypień, pobrzękiwań i stuków, wytoczyła się na zewnątrz banda jeszcze bardziej zdezelowanych maszyn. Był to istny roboci koszmar... przerażający sen handlarza złomu. Obluzowane śruby, kończyny, zastąpione nitami gałki oczne — zauważył Cy.

— Nie wyglądacie zbyt dobrze, chłopcy — zauważył, Cy. — Macie jakiś problem.

— Wszystko zostanie wyjaśnione... ale najpierw... — Szczęśliwiec wypchnął swych pomocników do przodu, gdzie stłoczyli się wokół nieszczęsnego Walecznego Diabła. Ponaglono go do wystawienia broni, co niechętnie uczynił; sztuka za sztuką. Do luf wbito mu młotkami korki, zablokowano komory, uziemiono miotacze błyskawic, wyciągnięto bezpieczniki. Potem wszystkie wypustki i kończyny tak mu powiązano, by sam nie mógł się z tego uwolnić.

— Bomby także — rozkazał Szczęśliwiec. — U dołu Walecznego Diabła rozwarła się szczelina i bomby opadły na ziemię. Szczęśliwiec wydał rdzawe westchnienie ulgi.

— Gdy się ma do czynienia z Walecznymi Diablami, zawsze jest trudno. Większość woli raczej umrzeć w walce niż dać się rozbroić...

— Ja wolę raczej zginąć w walce! — zawył głośno Waleczny Diabeł, ale było już za późno. Solenoidy pstryknęły i zabrzęczały, a karabiny poruszyły się. A jednak ta brygada popaprańców znalazła się na rzeczy i nic więcej się nie stało. Jedyne mały granat dymny wyleciał mu z kolana i wybuchł na ziemi.

— Proszę za mną, drodzy goście — powiedział radośnie Szczęśliwiec i poprowadził w głąb tunelu. Zardzewiałe, krzywe drzwi odsunęły się na bok, by mogli przejść, i ze

zgrzytem zasunęły się za nimi. Ostatnie przejście wiodło do wysokiej komory oświetlonej żarówkami rozwieszonymi na metalowych pajęczynach. W centrum pomieszczenia znajdował się długi stół. Za nim siedziało jeszcze kilka zdezelowanych maszyn.

— Witamy w PLDP — zagaił Szczęśliwiec. — To skrót nazwy naszego szczęśliwego bractwa. PLDP oznacza Planetarną Ligę Dezerterów i Pacyfistów.

— Jeśli uczynicie tę organizację międzyplanetarną, to ja się przyłączę! — powiedział natychmiast Bill.

— To interesujący pomysł, który z pewnością rozważymy. Cóż za radosna myśl! Nasz ruch może się rozszerzyć na całą galaktykę, możemy utworzyć specjalną grupę dla wodnistych. . .

— Zdrajcy! Buntownicy! — zawył Waleczny Diabeł i dobył całej broni z olbrzymią wściekłością, ale ponownie zdołał jedynie wyrzucić granat dymny.

— Przestań, dobrze?! — zakaszłał Bill pod wpływem dymu. — To niczemu nie służy.

— Uwolnijcie mnie natychmiast! — grzmiał Waleczny Diabeł. — Nie mogę słuchać tych bezceństw. Waleczny Diabeł tu nie pasuje.

— Teraz tak mówisz — stwierdziła stara, zniszczona maszyna siedząca za stołem. — Ale w naszych szeregach jest niejeden Waleczny Diabeł. Mówisz teraz bzdury, opętany swą siłą, mnóstwem fallicznej broni, ale przemówisz drugą stroną głośnika, kiedy zablokują ci lufy i rozładują baterie. Pomyśl! Wszyscy kiedyś byliśmy tacy jak ty, a popatrz na nas teraz. Stojący tu mój przyjaciel, Grumpy, dowodził niegdyś legionem miotaczy ognia. Teraz nie jest w stanie wykrzesać wystarczającej iskry, by zapalić jointa. Albo drogi Sleepy, ten chrapiący przy stole. Jest to chyba stała śpiączka, gdyż nie poruszył się od miesiąca. Kiedyś był niszczycielem czołgów. Teraz zniszczył sam siebie i jego zbiornik jest pusty. Sic transit gloria maszynierii. Dla wielu z nas jest już za późno. Przybyliśmy do PLDP po przejściu do demobilu. Ocalili nas ze złomowiska porywacze ciał i sprowadzili tutaj w sekrecie, zanim poddano nas przeróbce. Ale. . . gadam zbyt wiele. Musicie być głodni po takiej podróży. Wyciągnijcie swe hydrauliczne złącza i zasysajcie do woli. Wasz unieruchomiony na zewnątrz latający towarzysz również otrzyma swą rację.

Mimo poprzedniego zżymania się, Waleczny Diabeł nie wstydził się wtłoczyć swego złącza do puszek z olejem.

— A nie macie przypadkiem czegoś, co można by zjeść albo wypić? — zapytał Bill.

— Na szczęście mamy — stwierdził Szczęśliwiec, wskazując na kurek w ścianie. — Zanim zajęliśmy te pomieszczenia, używano ich jako izb tortur. Ten kurek połączony jest, strach powiedzieć, z rezerwuarem wody. Częstujcie się. Jeśli chodzi o jedzenie, to nasi przeszukiwacze penetrujący pustynię odkryli obcy obiekt oznaczony niemożliwym do odczytania pismem. Być może wam uda się je odcyfrować — zakończył, podając ów obcy obiekt.

Bill odczytał etykietę i zadrżał.

— To raczej Yumee-Gunge. Te, które wyrzuciliśmy. Wielkie dzięki, staruszkule, ale chyba nie skorzystamy. Chętnie natomiast łyknę sobie waszego soczku do tortur.

— A jednak chyba się najemy — powiedział Cy, przeszukując kieszenie. — Myślę, że mam ze sobą kilka ziaren. Pogmerałem w kieszeniach admirała. — Wyjął różową kapsułkę z plastiku.

— Ta ma inny kolor niż pozostałe — zauważyła Meta.

— Więc może i mięso będzie inne. Spróbujmy.

Gospodarze wskazali im tunel prowadzący na nasłoneczniony klif z boku góry. Zebrało się tu nieco naniesionego wiatrem piasku i jakieś samotne metalowe nasionko zapuściło już korzenie na tej niegościnniej ziemi. Nasycili grunt wodą, wepchnęli nasionko i cofnęli się. Wkrótce potem roślina wyrosła i okazałej wielkości melon otworzył się.

— Pachnie jak szynka — oznajmił Bill.

— Bez wątpienia wieprzowina — potwierdziła Meta, odkrawając kawałek. — Gdybyśmy mieli odrobinę musztardy, czułabym się jak w raj.

Niebawem nasycony Bill oparł się o nagrzaną słońcem skałę i beknął.

— Całkiem to niezłe, wiecie. Może powinniśmy przyłączyć się do PLDP i pozostać tutaj.

— Zagłodzilibyśmy się na śmierć, ponieważ tu nie ma jedzenia — powiedziała praktycznie Meta.

— A ty szedłbyś przez życie z wielką, żółtą kurzą nóżką poniżej kostki — zauważył sadysta Cy.

— To mi nie przeszkadza — oznajmił Bill, prostując nogę i poruszając pazurami. — Nie jest wcale takie złe, kiedy się do tego przyzwyczaić.

— I wspaniałe do wyszukiwania w ziemi robaków!

— Zamknij się Cy — nakazała Meta. — To jest poważna rozmowa. Jest kilka spraw, które powinniśmy rozważyć. Jeśli teraz zdezerterujemy, nasza misja nigdy nie dojdzie do skutku i ta tajna baza planetarna Chingerów nigdy nie zostanie odkryta.

— No i co z tego? — zauważył logicznie Bill. — Co to za różnica? Nikt nigdy nie wygra tej wojny. . . ani jej nie przegra. Ona będzie po prostu trwała wiecznie. Nie mam nic przeciwko dezercji i ułożenia sobie życia z tą kurzą nóżką. Ale czy nam się to uda? Na płaskowyżu jest wiele jedzenia. Może damy radę tam dolecieć. Moglibyśmy z nimi handlować. Wysłać im złomowane maszyny, by już więcej nie musieli ich zestrzeliwać.

— O jednej rzeczy zapominasz — wtrąciła się Meta. — Będziemy tutaj uwięzieni na resztę życia. Bez jasnych świateł miast, teatrów a po nich restauracji. . .

— Bez smrodliwego wiatru znad zatok nasyconego zapachami rozkładu i śmieci przemysłowych wiejącego przez odrażające ulice Spunkk! — powiedział z nostalgią Cy. — Bez komunalnych odstrzałów, orgii, czy innych hocków-klocków. . .

— Oboje jesteście szaleni — mruknął Bill. — Kiedy ostatni raz cieszyliście się tymi rozkoszami cywilizacji? Jesteśmy ugotowani w armii do końca życia. Mogliby-

śmy uczynić to miejsce swoim domem, wyjąć się na ten pieprzony świat, wybudować drewniane chaty, wychowywać dzieci. . .

— Przestań z tą męską szowinistyczną paplaniną! Masz zamiar zapędzić mnie do gotowania i sprzątanania, a potem do noszenia fartuszka? Nie ma mowy! Jestem tu jedyną osobą płci żeńskiej, a wy chcecie uczynić ze mnie niewolnicę. . . głosuję przeciw. Seks to radość. . . oto moje motto, a mam wiele do zaoferowania.

Aby to udowodnić, przewróciła Billa na ziemię, ogarnęła go mocnym uściskiem i obdarzyła takim pocałunkiem, że temperatura jego ciała wzrosła o siedem stopni.

— Czy mogę robić notatki? — zapytał Waleczny Diabeł, wychodząc z tunelu. — Umieszczę je wraz z innymi zapiskami na temat tej bandy komunistycznych zdrajców. Dokładnie notowałem wasze rozmowy na temat dezercji i zdam na ten temat raport w waszej Kwaterze Głównej, która natychmiast zarządzi rozstrzelanie albo coś gorszego za samo rozważanie takiej możliwości.

— Doniósłbyś na swoich kumpli? — zapytał Bill.

— Jasne, że tak! Nie bez powodu zwań mnie Walecznym Diabłem, jak wiecie. Bogowie wojny są moimi bogami! Nieustanna wojna oznacza daleką przyszłość, a ja triumfalnie maszeruję właśnie w tym kierunku!

Wystawił jakiś głośnik i zaczął grać okropną marszową melodię. Krążył przy tym dokoła, wydając równocześnie okrzyki wojenne.

— Musimy się pozbyć tego palanta, zanim znów zaczniemy rozmawiać o dezercji — wyszeptał Bill.

— Pasuje — odszepnął mu Cy, a potem skoczył na równe nogi i zakrzyknął: — Masz cholernie dużo racji, o Waleczny Diabło! Twoje niepodważalne, logiczne argumenty przekonały mnie! Do dzieła! Walczmy! Śmierć Chingerom!

— Śmierć Chingerom! — zawtórowali mu Bill i Meta, po czym ruszyli za Walecznym Diabłem dokoła i kontynuowali triumfalny marsz, dopóki nie padli z wyczerpania.

— Słabi wodniści — wrzasnął Waleczny Diabeł. — Ale przynajmniej teraz będziecie walczyć i nadejdzie kres dla wszelkich gadek o dezercji. Razem pomaszerujemy w przyszłość, w promienną jutrzenkę wiecznej wojny. Sieg heil!

Skierował twarz ku słońcu, ramiona i inne wypustki wzniosł w salucie, siegając i heilując jak szalony. Bill zauważył, że jego nogi znajdują się coraz bliżej krawędzi przepaści. Poklepał swych towarzyszy po ramionach, wskazał im o co chodzi, a oni natychmiast skinęli głowami. Skoczyli na równej nodze z rękoma wzniesionymi w zwycięskim salucie i wojskowym krokiem doszli do Walecznego Diabła.

Potem zepchnęli go z krawędzi.

Rozdział siedemnasty

Po chwili zgrzyt rozrywanego i gnieczonego metalu ucichł w dolinie.

— Do diabła z Walecznym Diabłem — zażartował Bill.

— Nikt nie będzie za nim tęsknił — stwierdziła Meta, zaczynając się rozbierać. —

Czas na orgię w pełnym słońcu, chłopcy.

— Z pełnym żołądkiem — jęknął Bill.

— Na twardej skale! Nie ma mowy — dodał Cy.

Westchnęła i zapięła zamek.

— Martwy jest nie tylko ten romans, ale i wasze libido. Muszę sobie znaleźć kogoś żywszego.

— Pić mi się chce — zauważył Bill.

— No to wszystko jasne, palanty — powiedziała zde gustowana. — Wracamy.

Gdy wchodzili do centralnego holu, spotkanie już się kończyło. Rozlegały się skrzekliwe śmiechy i zgrzytliwe saluty. Szczęśliwiec przykuśtykał i powitał ich radośnie.

— Drodzy wodniści, niemetaliczni towarzysze, odbyliśmy głosowanie. Oferujemy wam azyl i natychmiast poczynimy plany otwarcia oddziału wodnistych w PLDP. Na samą tę myśl napełnia nas duma. Nasz prosty ruch rozszerzy się teraz na wszystkie gwiazdy. Zaniesiemy nasze przesłanie na wszystkie planety. Będziemy przemawiać i przekonywać aż przekonamy. Całe armie zdezerterują do nas, wielkie floty okryje mrok i cisza, gdy ich załogi ściągną pod nasze skrzydła. Przed nami jasna przyszłość! Koniec wszelkich wojen. . .

Tę płomienną mowę przerwało rozwarcie się skrzypiących drzwi i wkroczenie przez nie grupy maszyn z czerwonymi, metalowymi krzyżami na piersiach. Uginały się pod ciężarem noszy, na których leżało rozciągnięte ciało Walecznego Diabła. Ale Diabeł

już nie walczył. Wyglądało jakby przeszedł przez masę wojen. Skasowano mu prawą nogę i zastąpiono ją jednym z jego dział. Większość uzbrojenia została usunięta bądź połamana, a na części optyczne nasadzono mu ciemne okulary.

— Kolejna ofiara niekończących się wojen — zauważył Szczęśliwiec. — Jakże to tragiczne. Witamy w PLDP, wycofany z walki Waleczny Diabeł. Skończyła się twoja tułaczka i wreszcie znalazłeś zaciszny port. Czy chciałbyś powiedzieć coś na powitanie?

Okaleczony Waleczny Diabeł wznosił roztrzęsioną rękę i wskazał zakrzywionym, wyłamany palcem na obecnych na miejscu ludzi.

— J'accuse! — krzyknął.

— Wydaje mi się, że to jest do czegoś podobne — zdziwił się Bill, a potem kontynuował błyskotliwie: — Nie zdziwiłbym się, gdyby to był nasz stary przyjaciel Waleczny Diabeł we własnej osobie. Miałeś jakieś kłopoty? Nie, nie mówmy o tym, bo zbyt cię przygnębimy. Pozwól, że będę pierwszy, który powita cię w szeregach PLDP; życzę ci długiej i szczęśliwej emerytury.

— Pozwól mi być drugą osobą, która to zrobi. Witamy — uśmiechnęła się Meta.

— A ja trzeci. Witamy. . .

— To wasza wina! — zawył mechanicznie Waleczny Diabeł, a potem opadł na nosze. — Zabraliście mi młodość. Zepchnięty zostałem w przepaść przez wodnistych. Cóż za niegodny koniec dla Walecznego Diabła w kwiecie wieku. Dokonać swych dni tutaj, pośród tych wraków. Sam jestem wrakiem. . . to zbyt okropne, by się do tego przyznać. Gdyby została mi jakaś sprawna broń, sam bym z sobą skończył. Ale jeszcze nie pora! Najpierw sprawiedliwości musi stać się zadość. To ich wina! Tych wodnistych, którzy stoją przed wami jak niewiniątka. Zepchnęli mnie w przepaść i muszą zapłacić za swe przestępstwo. Zastrzelcie ich! Zabijcie ich przy wtórze mego śmiechu, cha-cha, niech dostaną to, co im się należy. . .

Uronił kilka oleistych łez, a Szczęśliwiec, niezbyt już radosny, zwrócił twarz w kierunku ludzi.

— Czy mózg tej biednej istoty doznał jakichś uszkodzeń przy upadku z wysokości mili, czy też w tym co mówi, jest nieco prawdy?

— Traumatyczne halucynacje — zauważył Cy. — Poślizgnął się i poleciał. Próbowaliśmy go ratować, ale nie byliśmy w stanie. Koniec Walecznego Diabła zawsze jest tragedią. Żywimy szczerzy żal. . .

— Ja mam. . . nagrania ukryte pod pancerzem. Mogę udowodnić to. . . co zrobiliście. Uśmiech Cy zamienił się w grymas, który przeciął jego twarz jak rana od ciosu nożem w trzewia.

— Zamierzacie uwierzyć temu pogruchotanemu skurczybykowi czy nam?

— Jeśli. . . jeśli on ma dowód — zdecydował Szczęśliwiec. — Dawaj ten dowód, albo się zamknij zdemobilizowany Waleczny Diabie.

— A więc, co wy na to? — Z wysiłkiem wyrzuciła z siebie maszyna, równocześnie wysuwając z prawego biodra projektor z porysowanym obiektywem. Obraz rzucony na ścianę był nieostry i podskakiwał. Ale widać na nim było wystarczająco wiele, by uwierzyć, iż to ludzie zepchnęli ofiarę w przepaść. Potem projektor zadrżał boleśnie i upadł na podłogę. Ale zdążył już zrobić swoje. Wszystkie zdolne do działania oczy spoczęły na ludziach.

Bill przystąpił do obrony.

— No to niech on wam teraz powie, dlaczego to zrobiliśmy. Mieliśmy dostateczny powód. . . on zamierzał nas wydać, doprowadzić do procesu i rozstrzelania za dezercję.

Działaliśmy w samoobronie. Był to rodzaj wymuszonego przeciwuderzenia, o którym tyle mówi się w wojsku. Cóż innego mogliśmy zrobić?

— Wiele rzeczy. Ale co się stało, to się nie odstanie — stwierdził Szczęśliwiec. — Jesteście winni zarzucanego wam czynu.

— Rozstrzelać ich! — krzyknął Waleczny Diabeł.

Ludzie cofnęli się pod przytłaczającym wzrokiem mechanicznych hord i obrzucili pomieszczenie przerażonym wzrokiem schwytych w pułapkę zwierząt. (Jeśli można w ten sposób obrażać zwierzęta.) Ale nie mieli żadnej drogi ucieczki. Maszyny podchodziły coraz bliżej z wyciągniętymi rdzawymi szponami. Ludzie zostali przyparci do ściany, a pałające żądzą zemsty dłonie zamknęły się na nich. Jedna rozpięła rozporek Billa. . .

— Dość! — krzyknął Szczęśliwiec, ile miał sił w stalowych płucach. — Cofnijcie się, cofnijcie, powiadam. Kolejny zły uczynek nie zlikwiduje pierwszego. Czyż nie pamiętacie już, jak nazywa się nasza organizacja? PLDP. A co to oznacza?

Maszyny odpowiedziały zgodnym chórem:

— Planetarna Liga Dezerterów i Pacyfistów.

— A jakie jest nasze hasło?

— „Ci co walczyli i spasowali, nigdy nie będą bandą brutalni!”

— Druga zwrotka.

— „My nastawimy drugi policzek, zamiast się bić, choćby olej wyciekł!”

— I tak to już jest — stwierdził chmurnie Szczęśliwiec. — Chociaż chcielibyśmy wam dołożyć, rozebrać na czynniki pierwsze, nie możemy tego zrobić. Nasza filozofia tego zabrania. Zostaniecie wyprowadzeni z tego sanktuarium i oddani do jednostki, w której służyliście, co będzie wystarczającą karą.

— Czy zabierzecie ode mnie niewinne nagranko dla mojego drogiego przywódcy Zotsa? — zapytał nieszczere Waleczny Diabeł.

Wszyscy pokazali mu znaczący gest, doskonale wiedząc, jakie nagranko chce wyśłać.

— Ruszać! — nakazał Szczęśliwiec. — Jesteście wyklęci, odrzuceni i wygnani. Opuśćcie nas i zabierzcie ze sobą swoje złe myśli.

— Czy możemy również zabrać nasze blastery? — zapytał Cy.

W trzewiach Szczęśliwca gniewnie zazgrzytało.

— Nadużywacie mojej cierpliwości. Jeśli nie zobaczę, jak zabieracie stąd swoje manele w ciągu następnych dziesięciu sekund, to jeszcze raz rozważę swą decyzję.

— Mało brakowało... — powiedział Bill, gdy wspinali się tunelem ku wolności.

— Bądź cicho! — ostudził go Cy. — Ani słowa o tym co zaszło ornitopterowi. Powiedz mu, że Waleczny Diabeł zdecydował się tu pozostać, albo wymyśl jakieś inne wielkie kłamstwo. Jeśli się czegoś domyśli będziemy zgubieni.

Ornitopter wypuł masę zardzewiałego metalu, który żuł i zwrócił jedno oko w ich kierunku.

— Właśnie otrzymałem wiadomość radiową od Walecznego Diabła. Mówi, by was wydać po powrocie za to, coście z nim zrobili.

— A więc nie możemy cię okłamać, nawet gdybyśmy chcieli — powiedziała Meta. — Chcesz na nas donieść?

— Jasne, że nie. Wcale nie podoba mi się ta wojna, podobnie jak wam. Zginęła w niej moja siostra i większość krewnych. Będziemy się trzymać naszej wersji. Powiemy o tym, jak wspaniale wszyscy wykonali swoje zadanie, a potem poprosimy o urlop.

— A co z Walecznym Diabłem? — zapytał Bill.

— Ten wierny i lojalny Waleczny Diabeł! — powiedział ornitopter, przewracając oczami. — Chociaż okrutni Barthroomczycy zaatakowali tysiącami, milionami, on nadal walczył. Walczył do ostatniego wolta w bateriach, aż te wyładowały się i uniemożliwiły mu ucieczkę. Oddał własne życie, abyśmy mogli ocaleć.

— Nie latasz zbyt dobrze — stwierdziła Meta z podziwem — ale jesteś wspaniałym autorem fantastycznych historyjek.

— No cóż, dziękuję. Sprzedałem już parę rzeczy, ale tylko do małych magazynów. A latałbym o niebo lepiej, gdybym miał śmigło. Trzepoczące skrzydła pochłaniają zbyt wiele energii. Skoro już o tym mowa, odlećmy stąd, zanim stanie się coś jeszcze. Mam randkę z pewną ornitopterką, z którą pragnąłbym się zagnieździć.

Przecierpieli niewygodny lot w ciszy. Nie, żeby chcieli wracać, ale nie widzieli alternatywy. Wypoczęty i odświeżony ornitopter uporał się z lotem bardzo szybko. Wkrótce na horyzoncie pojawiło się metalowe miasto i opuścili się między jego wieże. Admirał i Wurber wychynęli ze środka w tym momencie, gdy oni gramolili się powoli na platformę.

— Wróciliście w samą porę — powitał ich serdecznie Praktis. — Chcę, abyście złożyli kompletne raporty na moim biurku przed godziną 0700. Potem będzie potrzebny ochotnik — warknął, gdy cofnęli się, opierając się plecami o ścianę. — Tchórze! Nie wiecie jeszcze nawet o co chodzi.

— O nic dobrego, bo czegoż się można po panu spodziewać — stwierdził Cy w imieniu wszystkich.

— Spryciarzu. Potrzebuję ochotnika do spenetrowania twierdzy wroga, a następnie odnalezienia statku kosmicznego Chingerów. Potem należy do niego wejść i użyć komunikatora FTL, by przesłać wiadomość do Marynarki Kosmicznej, a oni podejmą misję ratowniczą.

— Czy to już wszystko? — zapytała Meta sarkastycznie.

— Tak, to wszystko. Lepiej też pomyślcie, jak to zrobić w miarę szybko. Wurber i ja zjedliśmy wczoraj ostatni stek melonowy. Przygotujcie się zatem na głodówkę... albo odlot. Poczyniłem już odpowiednie badania i nie mam powodu tu pozostawać. Prawdę powiedziawszy, nie mogę się doczekać powrotu do luksusu i komfortu wojskowego życia.

— To tylko dla oficerów — warknął Cy.

— Oczywiście! A teraz. . . podyskutujmy.

Cisza, która nastąpiła potem, została przerwana przez głos, którego nie słyszeli od dłuższego czasu:

— Wiem, jak można tego dokonać.

Był to kapitan Bly. Roztrzęsiony, z zaczerwienionymi oczami. . . ale za to zupełnie trzeźwy.

— Od kiedy to oferujesz pomoc? — spytał Praktis z chorobliwą podejrzliwością.

— Od momentu kiedy skończył mi się towar. Potrzebuję nowych dostaw.

— Teraz jestem w stanie uwierzyć. Jaki masz plan?

— Prosty. Wybijemy ich do nogi. Każdego metalicznego zdrajcę, każdego Chingera. Bum, i nie żyją.

— Zgadza się, to proste — mruknął Praktis. — Tak prostego i tak głupiego pomysłu nigdy nie słyszałem.

— Możesz sobie na mnie warczeć, ile zechcesz. Warczano na mnie od wielu lat. Tak, i śmiano się ze mnie. Odsuwano się ode mnie i wylewano na mnie nocniki. Och, gdybym tylko wówczas nie zaciągnął do łóżka również psa. . .

— Kapitanie, pański plan, jaki on jest?

Głos Mety wyrwał go z uzalania się nad sobą, aż zamrugał i spojrzął na nią.

— Plan? Jaki plan? Och, tak. Zabijemy ich wszystkich w górskiej fortecy. Zrzucimy na nich bombę neutronową. Wiadomo o niej, że zabija wszelkie formy życia, ale nie wyrządzą szkody urządzeniom. Potem po prostu wejdziemy do środka i przejmujemy statek.

— Zadziwiająca prostota — orzekł Praktis, wskazując na swe usta. — Mam nadzieję, że widzisz mój niezmienny grymas. Nie mamy bomby neutronowej, ty kiciarzu, no nie?

— Nie, nie mamy. Ale zanim zrobiono ze mnie kapitana śmieciarki byłem fizykiem nuklearnym. Wszystko to oczywiście przed incydem z psem. A we wraku śmieciarki jest jeszcze mnóstwo paliwa neutronowego.

— Wszystko się już wypaliło — powiedział Bill.

— Tylko dlatego, że wyglądasz jak idiota, nie musisz równie głupio reagować. Paliwo neutronowe jest dokładnie zamknięte w pancernej osłonie. Nadal się tam znajduje.

— Myślę, kapitanie, że zmierza pan we właściwym kierunku — przyznał Praktis, a w jego oczach pojawiły się mordercze instynkty. — Udamy się do statku, zabierzemy ładunek, zbudujemy bombę, zrzucimy ją i zdobędziemy statek kosmiczny. Wspaniale!

— Nie idziecie — oświadczył Zots, machając złotym ramieniem. Maszyny wniosły go na lądowisko i delikatnie postawiły jego lektykę. — Ten interes z bombą uważam za odwołany.

— Dlaczego? — zapytał zdziwiony Praktis.

— Dlaczego? Ponieważ to zakończyłoby nieustanną wojnę.

— Ale wy tego chcecie?

— Ja nie chcę. Nie chce tego również mój brat Plotz, dowodzący niezrównoważonymi maszynami. Nawiasem mówiąc, one z kolei uważają, że to nam brakuje piątej klepki.

— Skoro już mówimy o szalonych maszynach. . . — Meta nie dokończyła zdania, lecz wskazała palcem w kierunku Zotsa.

— No popatrzcie tylko. — Zots zmarszczył swe złote oblicze. — To wszystko, jak zapewne wiecie, jest jednym wielkim picem. Plotz i ja jesteśmy spragnieni władzy, a mamy jej mnóstwo od kiedy zaczęliśmy tę wojnę. Utrzymuje ona na wysokich obrotach ekonomię i zapewnia mnóstwo złomu, tak że nigdy nie jesteśmy głodni. Wynika z tego mnóstwo dobrego.

— Mnóstwo destrukcji, bólu i śmierci — zauważył Bill.

— To także. Nic w tym nowego! Wy ludzie bawicie się przecież w tę samą zabawę, prawda, admirale?

— Mniej więcej. Więc bawcie się w tę wojnę, to wasz problem. Naszym problemem jest wydostanie się z tej planety, zanim zagłodzimy się na śmierć. Co ty na to?

— Właśnie sam udzieliłeś odpowiedzi. . . to wasz problem.

— Co się z tobą dzieje? Czy oczekujesz, że pozostaniemy tu i zagłodzimy się na śmierć?

— No właśnie. Zrozumiałeś bez żadnej pomocy.

— Ty mechaniczny zdrajco! — zawył z furią Praktis. Ruszył do ataku i pozostali uczynili to samo. Zatrzymali się jednak natychmiast, gdy z wylotu tunelu wybiegły Waleczne Diabły i uformowały szereg obronny.

— Nie ujdzie ci to na sucho — wycharczał Praktis. — Powiemy każdej maszynie o tym wojennym oszustwie. Słyszeliście Waleczne Diabły? Ta cała wojna jest naciągana. Umieracie bez powodu.

— A ty mówisz bez sensu — ziewnął znudzony Zots. — Wydałem drogą radiową rozkaz wszystkim żołnierzom, by zapomnieli waszego języka. Oni już cię nie rozumieją.

Bill spojrzął na ich ostatnią deskę ratunku, ornitoptera. Gdy przemówił, jedno z oczu maszyny zwróciło się w jego stronę.

— To nieprawda co on powiedział. Ty mnie rozumiesz, no nie?

— Comment?

— Nie mogłeś zapomnieć naszego języka... nie tak szybko!

— Enfm, des tables de monnaies et de mesures reudront de rels services.

— Zapomniałeś tak szybko?

Potem odwrócił się i zobaczył, że Zots oraz Waleczne Diabły zniknęli. Potężne uderzenia skrzydeł oddaliły się i umilkły, gdy odleciał również ornitopter.

Wszyscy gapili się na siebie przerażeni. Byli sami. Usidleni w tym pustynnym świecie. By zagłodzić się na śmierć. Czy taki miał być ich los?

Rozdział osiemnasty

— Nie wierzę, że coś takiego przydarza się właśnie mnie! — jęknął Cy.

— Z pewnością nie przydarza się to jakiemuś facetowi na księżycu! — warknęła Meta. — Później będziemy się nad sobą użalać. Teraz musimy opracować jakiś plan.

— Więc zrobmy to — odezwał się Praktis. — Jestem otwarty na wszelkie sugestie, bez względu na ich szaleństwo.

Jedyną odpowiedzią była cisza. Po dłuższym czasie zakaszłał Bill.

— Jestem spragniony. Napiłbym się wody. Czy mam przynieść jej jeszcze komuś? Jednego jestem pewien. Wody jest mnóstwo, więc nie umrzemy z pragnienia.

Wycofał się żegnany obelgami i zatrzymał się w tunelu, by złapać oddech. Zanim ruszył dalej, usłyszał wołanie Mety:

— Bill, poczekaj. Jest tu jakiś smok, który pragnie z tobą pomówić.

Smok wylądował z gracją i teraz wydmuchiwał okazjonalne kółka dymu.

— Witam cię Billu i was ludziska. Miałem dobry lot. Jak widzicie, przybyłem do was, gdy tylko odrosło mi skrzydło. Nie mogłem wrócić do smoczej twierdzy po okazaniu się zdrajcą. Pomyślałem więc, że znajdziecie dla mnie jakąś robotę.

— Pewnie, że tak! — wykrzyknęli wszyscy. — Wydostaniesz nas stąd?

— Nie ma problemu. Ale najpierw będę musiał napełnić swój zbiornik. Wystarczy jedna lub dwie baryłki oleju.

— To może stanowić pewien problem — powiedział Praktis. — Zaistniała różnica opinii między nami a tubylcami.

— Więc nie rozmawiajmy z nimi — zaproponował kapitan Bly. — Na końcu korytarza jest magazyn. Proponuję, abyś razem z jakimś ochotnikiem wytoczył stamtąd baryłkę.

— Ochotnicy zawsze skazani są na brudną robotę — zamruczał niechętnie Bill.

— Ochotniczki również — dodała Meta. — Więc zamiast użalać się nad sobą, może po prostu zabierzemy się do roboty?

Otwarto drzwi do magazynu, gdzie w środku jakiś mały robot przeprowadzał inwentaryzację. Notował wszystko na tabliczce woskowej metalowym piórkiem. Minęli go i zaczęli wypychać dwie pełne baryłki na zewnątrz. Robocik zablokował wyjście i szaleńczo zamachał czternastoma ramionami.

— XII, II, XIV, XVI! — zawołał.

— Jasne, jasne — zgodził się Bill. — Ale masz tu cały magazyn innych różności. Nie będzie ci brakowało tych dwóch drobiazgów.

— XXIXIIXXX! — krzyknął na nich robot.

Zatrzeszczał, gdy przetoczyli po nim baryłki. Ale musiał przed śmiercią nadać komunikat radiowy, bo zanim dotarli na lądowisko, pojawił się w swej lektyce Zots.

— Czy przed chwilą nie przejechaliście przypadkiem mojego robota inwentaryzacyjnego?

— To był wypadek. On po prostu wpadł nam pod baryłkę.

— I ja mam uwierzyć w tę starą bajkę?

— Ależ to najczystsza prawda — powiedział Bill, kładąc ze świętoszkowatą miną dłoń na sercu.

— Ktoś inny może by wam uwierzył. . . ale ja nie. Poza tym, co robicie z tym olejem?

Billowi zabrakło języka w gębie, lecz Meta mężnie przejęła jego rolę.

— Chcesz, abyśmy poumierali — zaszlochała. — Bez jedzenia zagłodzimy się na śmierć. Pomyśleliśmy więc, że pociągniemy odrobinę oleju i przyzwyczaimy się do niego. W końcu pełno w nim odżywczych węglowodanów, a nasze życie opiera się właśnie na nich. Czy odmówiłbyś umierającym przybyszom ostatniego łyčka oleju?

— Dobrze już, dobrze. Wystarczy tego gadania. Mam ważniejsze rzeczy na głowie niż kłapanie szczękami z wodnistymi. W końcu, jak wiecie, trwa wojna.

Lektyka oddaliła się w głąb korytarza i Bill odetchnął z ulgą.

— Jesteś wspaniała! — powiedział, patrząc na Metę błyszczącymi oczami.

— No pewnie. Mam prawdziwy talent aktorski. Jestem czymś więcej niż tylko kolejną poznaną przez ciebie milutką panienką. Ale czy ty w ogóle znasz jakiegokolwiek panienki? Wydaje mi się, że kiepsko reagujesz na płec przeciwną. Nie interesuje cię to, czy co? A

może ty jesteś zboko, Bill? Powiedz mi, a nie będę traciła na ciebie czasu. Kto jest dla ciebie bardziej atrakcyjny... ja czy Cy?

— Oczywiście, że ty! Za kogo mnie bierzesz?

— Tylko się upewniam. A teraz skosztuj tego miodu!

Chwyliła go namiętnie i pocałowali się. Zachowywała się jak pełen pasji tygrys pragnący go skonsumować...

— Ała! Ugryzłaś mnie!

— Kocham igraszki, misiaczku... a to robi się coraz lepsze...

— Hej, wy dwoje. Dajcie spokój z tą heteroseksualnością na służbie. Pchajcie lepiej baryłki.

Praktis obserwował podejrzliwie, jak go mijają, a potem ruszył za nimi na lądowisko.

— Jakież to smakowite! — zionął z uznaniem smok. — Z piwniczek Penzoil. Wspinała.

Ujął baryłkę mocnym chwytem stalowego pazura i opróżnił ją jednym smoczym łykiem. Potem z uznaniem beknął ogniem i pogrążył wszystko w chmurze dymu.

— Przepraszam za swe maniere przy stole — wymamrotał bulgotliwie, pochłaniając zawartość drugiej baryłki. Powietrze wypełniły głośne trzaski, gdy zjadł również same baryłki.

— Czy teraz możemy porozmawiać? — zapytał Praktis widząc, że ostatni kęs metalu znika z widoku.

— Jasne. Potrzebujecie środka transportu?

— Zgadza się.

— Dokąd?

— Dobre pytanie — przyznał Praktis. — Możesz nas zabrać powtórnie na płaskowyż, na którym wszystkim wam tak się podobało. Powiedziałaś, że tamtejsza żywność jest zjadliwa.

— Ale autochtoni nie są! — poskarżył się Cy, a inni skinęli zgodnie głowami. — To banda wariatów. Nie widzę dla nas przyszłości pomiędzy ścigającymi się i zabijającymi nawzajem szaleńcami.

— Dobrze powiedziane. Gdzie więc możemy się udać? Nie poddamy się przecież Chingerom.

— Dlaczego nie? — Wszyscy zwrócili się w kierunku Billa ze zdziwieniem na twarzach. Cy schylił się i podniósł spory kamień.

— Nie, poczekajcie chwilę! Rozpatrujemy tylko różne możliwości. Jak wiecie, nie mamy zbyt wielkiego wyboru. Chingerzy twierdzą, że są nastawieni pokojowo i wcale nie chcą wojować ani zabijać. Pozwólmy im to udowodnić. Udajmy się tam. Będą musieli nas nakarmić. Jeśli nie będą mieli odpowiedniego pożywienia, wówczas jak najszybciej wyprawią nas z tej planety.

— Ten plan jest tak głupi, że może zadziałać — powiedział chrapliwie kapitan Bly.

— Ja mówię — nie, a to właśnie ja jestem admirałem. Poddanie się nie wchodzi w grę. Z wyjątkiem ostateczności. Czy istnieje jakieś inne miejsce, w jakie moglibyśmy się udać na tej pustynnej planecie?

— No cóż — powiedział smok. Wszystkie oczy skierowały się na niego. Nie przejął się tym. — Pamiętam pewną historię opowiadaną nam przez starego smoka, gdy nocami siadywali przy ognisku, piekąc orzechy. I trzpienie. Rozmawialiśmy o zielonym płaskowyżu, który wspólnie odwiedziliśmy, i o zamieszkujących go odrażających formach życia. Ale rozmawialiśmy również o innym płaskowyżu, również w ohydnych od-

cieniu zieloności, który leży o prawie dzień lotu za tym pierwszym. Stary smok ostrzegł nas, abyśmy się do niego nie zbliżali. Ponieważ czają się tam Wielkie Zagrożenia. A także Zło.

— Tak to powiedział? Wielkie Zagrożenie i Zło?

— Tak. Właśnie tak. A jeśli myślicie, że tak łatwo powiedziec coś przez duże litery, to sami tego kiedyś spróbujcie.

— Dziękuję, ale raczej nie — odparł Praktis. — Chciałbym się tylko upewnić co do jednego szczegółu. Powiedziałaś, że było to zielone.

— Zielone jak rozgrzane oko smoka.

— Interesujące porównanie. Wspaniale. Ruszamy.

— A co z tym Wielkim Zagrożeniem i Złem? — dopytywał się Bill. — To nie brzmi zbyt dobrze.

— A co brzmi dobrze? Słuchaj tylko rozkazów, żołnierzu. Pierwszy rozkaz nakazuje zamknąć gębę. A teraz tak, ruszamy natychmiast. Nie będzie to wygodny lot, więc wszyscy, którzy chcą odejść na stronę, niech lepiej zrobią to teraz. Nie chciałbym robić żadnych przystanków. Hej-ho!

Właśnie w momencie, gdy wspinali się na smoka, znajomy, odrażający głos zawołał:

— Hej, smoku! Chcę z tobą porozmawiać.

Tragarze lektyki wynieśli na zewnątrz swe jarzmo z umieszczonym na nim Zotsem.

— Tak, sir — odpowiedział smok odwracając się, by sprawdzić, czy pasażerowie znaleźli się bezpieczni na jego grzbiecie.

— Natychmiast strząśnij z siebie tych obcych wodnistych... to rozkaz. Nie podoba mi się to.

— Och, sir. A może coś takiego spodoba się panu bardziej?

Mówiąc to smok zionął pierwszym strumieniem ognia, który spalił natychmiast nosicieli i lektykę. Tylko chroniony złotymi płytkami Zots ocalał. Zaskrzeczał i rzucił się do ucieczki.

— W górę, w górę z dala stąd! — zajodłował smok i wystrzelił w powietrze.

— Jesteśmy ogromnie wdzięczni za twą pomoc — podziękowała Meta.

— Nie przejmujcie się tym. Od czasu wyklucia się z jajka byłem uczony nienawiści do Zotsa i jego sfory. To może być nawet równy gość...

— To metaliczny głąb!

— Dobrze. Miło jest usłyszeć, że miało się rację. A zatem życzę przyjemnego lotu. Następnym przystanek to Tajemniczy Płaskowyż.

— I szeroko omiń ten pierwszy — zaproponował Bill. — Pamiętaj, co stało się ostatnim razem.

— Jakże bym mógł zapomnieć. Nowe skrzydło nie jest jeszcze całkiem sprawne.

Zatankowany wysokooktanowym olejem smok leciał przez całą noc. Nikt nie spał, a szczególnie smok, z oczywistych powodów, i cała gromadka powitała przekrwionymi oczyma wschód słońca. Zamrugali olśnieni blaskiem i wówczas dostrzegli płaskowyż wznoszący się w oddali.

— Udało nam się — oznajmił chrapliwie Bill.

— Nie całkiem — odparł smok ziewając małym kółkiem ognia. — Zamierzam wznieść się nieco wyżej na wypadek, gdyby żyli tam w dole radośni strzelecy.

Wzniesli się kołami, korzystając z ciepłych prądów, zanim smok wypłynął nad płaskowyż.

— Dymiące wulkany — zauważył Praktis. — Trzymaj się od nich z dala.

— Przez moment będę tak czynił, skoro nalegasz. Ale Kocham lawę! Liżące płomie-
nie, dymiące kominy. To moje hobby. A to co tam widać, wygląda jak wprost stworzone
dla was. Czy nie trwa tam jakaś wojna?

Praktis skupił swoje soczewki na wskazanym miejscu.

— Bardzo interesujące. Jest to chyba pewnego rodzaju duża struktura, coś w rodzaju
zamku. Mocno bronionego, bo jest silnie atakowany. Z tej wysokości nie rozróżniam
szczegółów, ale wygląda to na oblężenie. Nieś nas niżej, smoku.

— Tylko nie na wojnę — jęknął Bill.

— Nie, głupcze. Nie na wojnę. Jedynie w jej okolicy. Czy widzisz, o mocarny smo-
ku, to pokryte drzewami wzgórze? Wyląduj po drugiej stronie, poza zasięgiem wzroku
atakujących. Potem zobaczymy, co robić dalej.

Z kończynami zdętwiałymi od długiego lotu byli w stanie jedynie ześlizgnąć się na
grunt i wierzgać na nim dziko, jak przewrócone na plecy chrząszcze.

— Mam nadzieję, że podobała wam się podróż — powiedział smok.

— Była wspaniała. Cudowna. Och — wysapali.

— To miło. Zamierzam was tu pozostawić, ponieważ wojujący wodniści to nie moja specjalność. Do zobaczenia wkrótce.

Pomachali mu anemicznie, a potężne skrzydła wzniosły ich byłego rumaka w powietrze. Zaryczał na pożegnanie i skropił ich tłustym deszczykiem.

Bill otrząsnął się pierwszy, wstał z wysiłkiem i jęknął. Znajdowali się na trawiastym stoku, przez który radośnie toczył swe wody jakiś strumyk.

— Zamierzam łyknąć sobie nieco z tego rzeńskiego potoczku — powiedział i oddalił się.

Pozostali dołączyli do niego również, gdy już nieco doszli do siebie i wyciągnęli się na brzegu siorbiąc i chłęcząc jak szaleni. Odświeżeni usiedli i przyjrzeni się swemu nowemu miejscu pobytu. Ptaszki śpiewały, pszczołki bzyczały, kwiatki rozlewały swą słodką woń w lekkim wietrzyku, a admirał warczał swe komendy.

— Starszy sierżancie. Przeprowadźcie zwiad po drugiej stronie pagórka i jak najszybciej zameldujcie mi jego wyniki. Reszta niech przeszuka teren pod kątem jarzyn, jagód czy czegokolwiek, co nadawałoby się do jedzenia. I pamiętajcie, że obżeranie się

samemu jest poważnym wykroczeniem. Wszystko co znajdziecie jadalnego ma być mi dostarczone do podziału.

— Akurat — zamruczała Meta, a cała reszta zgodnie skinęła głowami. Rozeszli się we wszystkie strony, a Bill zaczął wspinać się na pagórek. Wreszcie dotarł do miejsca, skąd mógł dojrzeć, co dzieje się po drugiej stronie. Ukrył się akurat pod krzakiem czarnych jagód, więc nieźle się bawił obserwując i przeżuwając. Najadłszy się do syta, zerwał ostatnią jagodę dla admirała i ruszył z powrotem.

Pozostali wrócili przed nim i admirał już się nad nimi pastwił.

— Każde z was przyniosło po jednym owocu! Czy bierzecie mnie za idiotę? Nie odpowiadajcie na to pytanie. A co z wami, sierżancie, co wy tam macie?

— Jagódkę! — odpowiedział i podał ją Praktisowi, który za złością zmarszczył brwi.

— Jagódkę! A całą twarz macie upaćkaną na niebiesko — kipiał, ale i tak wepchnął do ust otrzymany owoc. — Zdawajcie raport. Co tam się dzieje?

— Wygląda to tak, sir. Zamek, który zobaczyliśmy schodząc do lądowania, jest szczególnie otoczony przez atakujących, z tego co widziałem. Podniesiono nawet most

zwozdzony i raz po raz leje się wrzący olej na atakującą armię. Jest mnóstwo krzyku i rozgardiaszu, ale nie wydają się zbyt spieszyć.

— Jakiego rodzaju dział używają?

— To właśnie jest najśmieszniejsze. Oni wcale nie ma dział. Są tam tylko dwie drewniane maszyny miotające kamienie oraz inne wystrzeliwujące długie włócznie. Oddziały również uzbrojone są we włócznie, a także łuki i strzały, miecze i temu podobne. Początkowo myślałem też, że wszyscy atakujący są kobietami, ponieważ mają na sobie spódniczki. Potem podszedłem bliżej i dojrzałem ich owłosione nogi oraz to, że jednak są mężczyznami. . .

— Oszczędź swych perwersyjnych obserwacji seksualnych dla kumpli z koszar. Czy widziałeś jakieś jedzenie?

— Czy widziałem? — Oczy Billa zapłonęły. — Mieli tam ognisko z cielcem piekącym się na rożnie. Bardzo dobrze czułem zapach przypiekanego mięsa.

Wszyscy przełknęli ślinkę, splunęli i zakaszleli, gdy zrobiło im się mokro w ustach.

— Musimy nawiązać kontakt — oznajmił Praktis. — A do tego potrzebujemy ochotnika.

Rozdział dziewiętnasty

— Admirale Praktis — powiedziała słodko Meta. Myślę, że tym razem musimy sobie coś wyjaśnić.

Zwinęła dłoń w pięść, odchyliła się. . . i walnęła go w oko. Rozciągnął się na zielonej trawce i od razu zaczął mu rosnąć zielony siniak.

— Uderzyłaś mnie!

— Zauważyłeś to?

— Żołnierze! — wrzasnął, pieniać się ze wściekłości. — Zdrada! Natychmiast zabić zdrajcę!

Nikt nie kwapił się do wymierzania sprawiedliwości. Prawdę powiedziawszy, poruszył się jedynie Cy i ziewając kopnął Praktisa w żebra.

— Pojmujesz wreszcie o co chodzi? — spytał groteskowo kapitan Bly. — Nie dostrzegając zrozumienia w twoich mętnych oczach, lepiej zrobię wyrażając to dokładnie. Znajdujemy się o niezliczone lata świetlne od naszej najbliższej bazy, a tamci nawet nie domyślają się, gdzie jesteśmy. Nasze szanse na opuszczenie tej planety są naprawdę bardzo nikłe. Wygląda więc na to, że tak jak tu jesteśmy, wszystkie rangi ulegają zawieszeniu na pewien czas. Będziemy zwracać się do siebie po imieniu. Ja mam na imię Archibald.

— Bardziej podoba mi się kapitan — stwierdziła Meta. — A jak ty masz na imię, Praktis?

— Admirał — odwarknął gorzko.

— W porządku, skoro nalegasz. Ale koniec z rozkazami, wykorzystywaniem stanowisk i całą resztą tego wojskowego kitu, jasne?

— Nigdy nie poddam się dyktaturze proletariatu!

Wszyscy zaczęli kopać go w żebra, aż wreszcie krzyknął:

— Niech żyje Socjalistyczna Republika Ludowa Usa!

— To już brzmi lepiej — zawyrokował Cy. — Cóż więc robimy dalej?

— Układamy plan? — błyskotliwie podjął Bill.

— Zamknij się — przerwał Praktis. — Teraz, skoro jestem zwyczajnym członkiem gangu, mam chyba prawo coś powiedzieć?

— Jeden człowiek, jeden głos. Mów.

— Mamy tu wojnę. I mamy tu armię. Podczas wojny, gdy mamy do czynienia z armią, cierpią jedynie cywile. Czy zgadzacie się ze mną jak dotąd?

— Twój wywód logiczny jest niepodważalny.

— A więc nie działajmy jak cywile. Zróbmy wojskowe posunięcie i przyłączmy się do armii. Zostaniemy nakarmieni. Sugeruję, abyśmy zorganizowali jednostkę militarną i wybrali oficera dowodzącego. A potem zgłosimy się na ochotników.

— Czy są jakieś pomysły na kandydatów do dowodzenia? — zapytał Bill.

— Prawdopodobnie będzie to eks-admirał — stwierdziła. Meta. — Z tym czarnym monoklem, łysiejącą głową i paskudnymi manierami wygląda na dobry materiał na oficera. Ma także doświadczenie w dowodzeniu. Bierzesz tę robotę, Praktis?

— Nie sądziłem, że o to poprosicie — wyznał, po czym zmienił ton i warknął komendę: — Równaj! — dodając słodko: — proszę. Bardzo to miło z waszej strony. Musimy sprawić, aby to wszystko dobrze wyglądało, więc starajcie się nie zmylić kroku. Wyprostować plecy, cofnąć brody, wyprężyć piersi. . . naprzód MAARSZ!

Umieścił mały głościczek na swym ramieniu i zagrał inspirującego marsza „Świst Rakiet, Dudnienie Dział i Krzyki Umierających”, który charakteryzuje się tak mocnym waleniem w bęben, że nawet największe ofiary wiedzą, jak równać krok.

Pomaszerowali przez łąkę wokół wzgórza w kierunku atakującej armii. Gdy pojawili się na widoku, walka osłabła i ustała, a wytrzeszczone oczy i rozdziawione gęby zwróciły się w ich kierunku. Oficer, który zdawał się kierować operacją, ubrany w zbroję z brązu i skóry, również odwrócił się w ich kierunku. Dźwięk śpiewanej przez nich pieśni zagłuszył nawet bulgotanie wrzącego oleju na zamku. W odpowiadające echem niebo wyli następujące strofy:

*Kiedy słyszysz rakiet grzmoty
Oraz wycie ciężkich dział,*

*Postaw rząd talarów złotych,
Że to nas ogarnął szal!*

Było to bardzo wojskowe, pod warunkiem, że ma się małe pojęcie o wojskowości. Przymaszerowali, dudniąc obcasami, w kierunku oficera i Praktis wywrzeszczał ostatnią komendę.

— Kompania, STÓ-ÓJ!

Zatrzymali się tak blisko, że oficer i Praktis o mało co nie wymienili policzków zamiast salutu.

— Wszyscy obecni i zdolni do walki, sir. Admirał Praktis i jego kompania zgłaszają się do pełnienia obowiązków, sir.

Oficer nie mógł się zdecydować, jak zareagować na ich nagłe pojawienie się. Odwrócił głowę i wrzasnął przez ramię jakąś komendę. Starszy mężczyzna w powłóczystej szacie, posiadający równie powłóczystą białą brodę, podszedł ku nim niezdarne.

— Ave atque vale? — wyskrzecztał.

— Ja wysiadam, koleś — odparł Praktis. — Władam jednym czy dwoma dziwnymi językami, ale takiego nigdy nie słyszałem.

Staruszek złożył dłoń w trąbkę przy uchu, słuchał i kiwał głową. Potem zwrócił się do oficera:

— To barbarzyńska mieszanka języków galijskich, centurionie. Troszkę angielskiego, troszkę saksońskiego i odrobinka staronordyckiego. No, może jeszcze śladowe ilości łaciny. W sumie — ani skrawka czystego języka.

— Nie rób mi wykładów, Stercusie. Jesteś tu tylko niewolnikiem. Wracaj do swej roboty przy pieczeniu wołu, a ja zajmę się tą operacją. — Obejrzał Praktisa i jego małą bandę od stóp do głów i odezwał się w te słowa: — No i, na Wielkiego Jowisza, co my tu mamy?

— Ochotników, szlachetny centurionie. Najemnych żołnierzy chcących służyć w twych oddziałach.

— A gdzie jest wasza broń?

— Zaistniała pewna drobna trudność...

— Co mianowicie?

Admirał nie miał pod ręką żadnych kłamstw, ale Meta, która zaczynała nabierać praktyki, wykorzystała tę okazję.

— Jest to kwestia honoru i nasz dobry dowódca wołałby o tym nie mówić. Ale niedawno temu zostaliśmy porwani przez wartki prąd wody podczas przekraczania strumienia. Aby nie utonąć, musieliśmy porzucić broń i walczyć z nurtem o życie. Oczywiście dla żołnierza utrata broni jest wielkim dyshonorem i nasz dowódca próbował rzucić się na miecz, ale, niestety, nie miał już miecza. W końcu doprowadził nas tutaj, abyśmy się zaciągnęli i odzyskali utracony honor w ogniu walki. . .

— W porządku. . . dość tego! — krzyknął centurion zastanawiając się, czy krew nie uderzy mu do głowy. — Krótkie wyjaśnienie wystarczy. I tak nie wierzę ani jednemu słowu. — Zauważył, że Meta ponownie chce przemówić i krzyknął jeszcze głośniejsze: — Dosyć! Wierzę ci! Naprawdę ci wierzę. Akurat przydałoby mi się paru dodatkowych żołnierzy. Żołd wynosi jednego sestersa dziennie. Dostaniecie po jednym mieczu i jednej tarczy, co będzie wam potrącone z pensji. Potrwa to około roku, albo do czasu waszej śmierci, cokolwiek zdarzy się pierwsze. Wasza broń, będąc własnością państwową, zostanie zwrócona państwu, jeśli to drugie nastąpi wcześniej. . .

— Zgadząmy się na warunki zaciągu — krzyknął Praktis. — Będziemy do usług, kiedy tylko się najemy.

— Wó! już gotów! — krzyknął stary niewolnik i nowo przybyli zaczęli wpadać na siebie w pośpiechu. Szybkie działanie łokci i parę ciosów karate załatwiło, że znaleźli się na początku kolejki, gdy zaczęto wydawać jedzenie. Oddalili się z nim szybko w ustronne miejsce i wbili w nie zęby.

— To... — oznajmił Cy — ...było tłuste, surowe, przypalone, łykowate i, ogólnie rzecz biorąc, wstrętne. Ale dobre. — Wszyscy skinęli głowami i otarli tłuszcz z palców o trawę. — A czym spłuczemy posilek?

Bill wskazał palcem.

— Tam jest beczułka i ogonek żołnierzy z kubkami.

Dołączyli do kolejki i pobrali kubki ze serty. Były one zrobione ze skóry i pokryte smołą. Zgodnie z rangą Praktis pierwszy wznosił kubek z płynem i przytknął go do ust. Pociągnął spory łyk i natychmiast wszystko wypłuł.

— Achchch! To wino smakuje jak ocet z wodą.

— Bo to jest ocet z wodą — oznajmił kucharz. — Wino tylko dla oficerów. Następny.

— Ale ja jestem oficerem!

— Załatw te sprawy ze związkim zawodowym. . . to nie mój problem. Następny.

Nie był to boski napój, ale przynajmniej splukał smak paskudnego jedzenia. Opróżnili kubki i rzucili się na trawę na małą drzemkę. Praktis drgnął we śnie, kiedy coś przesłoniło mu słońce i jego twarz znalazła się w cieniu. Otworzył jedno oko, by zobaczyć stojącą nad sobą ciemną postać.

— Do broni! — krzyknął i zaczął szukać wokół swego miecza.

— To tylko ja, niewolnik Stercus — usłyszał. — Czy ty jesteś admirałem odpowiedzialnym za tę jednostkę?

Praktis przysiadł podejrzliwie.

— Taaa. A kto o to pyta?

— Niewolnik Stercus. . .

— Już się sobie przedstawiliśmy. O co chodzi?

— Czy admirał to oficer?

— Najwyższy w marynarce.

— A co to jest marynarka?

— W jakim celu pytasz?

— Już ja wiem.

— W marynarce mówi się tak, tak sir.

— Tak, tak sir.

— Tak już lepiej. O co chodzi?

— To najnudniejsza i najgłupsza rozmowa, jaką słyszałam w całym życiu — powiedziała Meta kładąc się i ściągając kamizelkę przez głowę.

— Wino jest dla oficerów — powiedział Stercus, zdejmując bulgoczącą skórzaną butlę z pleców. — Ponieważ jesteś oficerem, przyniosłem ci trochę.

— Zaczynam lubić tę armię — rozentuzjasmował się Praktis, wznosząc bukłak i przytykając go do ust.

Po około pięciominutowym poklepywaniu po plecach przestał kaszleć. Do tego czasu wszyscy się już obudzili i Bill również spróbował nieco wina, tylko troszkę, i oczy wyszły mu na wierzch.

— Myślę, że pijałem już gorsze rzeczy — wybełkotał.

— To przynajmniej zawiera alkohol — powiedział jeszcze bardziej bełkotliwie Praktis. — Oddaj.

— Czy pokorny niewolnik może zapytać, co sprowadza mężnych wojowników w te strony? — zapytał nieśmiało Stercus widząc, że tamci są na najlepszej drodze, żeby zalać się w pestkę.

— A więc po to tu jesteś — rzekł Cy. — Oficer wysłał cię na przeszeptę. Czy zaprzeczysz?

— Nie mam ku temu powodów — zaskrzeczał staruszek. — To prawda. On chce wiedzieć, skąd pochodzicie i co tu robicie.

Wszyscy spojrzeli na Metę, która zdawała się już zapracować na tytuł Pierwszej Klasy Kłamczyni.

— Przybyliśmy z dalekiego lądu. . .

— Chyba nie aż tak dalekiego, bo płaskowyż nie jest aż taki duży.

Uśmiechnęła się i sięgnęła po inną historyjkę.

— Nie mówiłam, iż pochodzimy z tego płaskowyżu. Jesteśmy z tego drugiego płaskowyżu i przybyliśmy tu przez niezmierzone piaski i nieskończoną pustynię, uciekając przed nie mającą końca wojną.

— Nie jesteście pierwszymi szukającymi ratunku przed Barthroomczykami. Ale skoro nie jesteście ani czerwonymi ani zielonymi Barthroomczykami, to musicie być ohydnyymi wielkimi białymi małpami.

— Czy ta plotka aż tak bardzo się rozeszła? Zapomnij po prostu o tej bzdurze z małpami. Dzieje się tam wiele rzeczy, o których nie macie pojęcia.

— Bo mnie one nie obchodzą. Po prostu chcę was upić i odkryć, gdzie ukryliście swe strzelby radowe.

— Nie wzięliśmy ich ze sobą.

— Jesteście pewni? To ostatnia szansa.

— Jesteśmy pewni. A teraz zajmiemy się winem, bez względu na jego jakość, Stercusie. Więc odwal się. Gdybyśmy mieli jakąś inną broń, czy myślisz, że wstąpilibyśmy do tej śmiesznej armii?

Stary niewolnik potarł brodę i podrapał się w głowę.

— No to, admirale, powiedzmy sobie całą prawdę. A więc nie posiadając innej broni pragniecie walczyć wyposażeni jedynie w miecze, tarcze czy inne prymitywne narzędzia walki.

— Właśnie tak.

— Tego właśnie pragnąłem się dowiedzieć. Delektujcie się winem. — Skłonił głowę z niewolniczą uniżonością, a oni pomachali mu na pożegnanie rękami.

Stercus wzniósł maleńki gwizdek ukryty w dłoni i ostro zagwizdał. Zza drzew wyłonili się żołnierze i w mgnieniu oka skierowali ostre dzidy w stronę przybyszów.

— Dawać ich tutaj — nakazał Stercus. — Mamy sześciu nowych ochotników do cyrku.

— Tańczące niedźwiedzie, klauni i słonie? — zapytał uszczęśliwiony Bill.

— Dzidy, miecze, sieci, trójzęby, lwy, tygrysy... i pewna śmierć — zachichotał stary niewolnik.

Rozdział dwudziesty

Pod ostrzami dzid przeprowadzono dzielną małą grupkę przez obóz, a towarzyszyły jej buńczuczne okrzyki nieokrzesanych żołnierzy.

— Pożałujecie!

— Morituri te salutamus!

— Cudzoziemcy!

— Barbarzyńcy!

— Palanty!

Ignorując obelgi, z których większość była dla nich niezrozumiała, przemaszerowali do namiotu centuriona.

— Hail, centurionie Pediculusie, hail! — zakrzyknął wiekowy niewolnik. — Jeńcy dostarczeni na miejsce.

Pediculus uchylił poły namiotu i wyszedł na zewnątrz. Zdjął zbroję i wciągnął na siebie luźną tunikę, by uwydatnić swe męskie kształty. Miał okazały brzuch, krzywe nogi i zeza.

— Niech przeparadują przede mną — nakazał, patrząc na wszystkich i na nikogo równocześnie.

Miecze i włócznie przekonały jeńców do stanięcia w szeregu do inspekcji.

— Jaki przystojny duży koleś z pazurkami — powiedział Pediculus, patrząc na Billa.

— Och, dziękuję, sir! — speszył się tamten.

— Zacznijmy od niego. Powinien wytrzymać kilka rund zanim go zabiją.

— To ja najpierw ciebie zabiję, grubasku!

Bill zawarczał i rzucił się do przodu, ale tuż przed niedoszłą ofiarą powstrzymały go obnażone miecze. Pediculus zaśmiał się sadystycznie, ukazując sztuczne zęby. Przyjrzał

się admirałowi, Cy, Wuberowi i kapitanowi Bly, mijając ich z pogardą. . . aż doszedł do Mety, i jego oczy spoczęły na pełnych, kobiecych kształtach.

— Zabrać wszystkich na arenę — rozkazał. — Z wyjątkiem tej tutaj! Rozebrać ją i wykapać w balsamicznej kąpieli. Potem ubrać w najlepsze jedwabie, a zostanie moja hurysą.

— Och, dzięki, wielkoduszny przywódco! — wyszeptała Meta chyląc się, by ucałować jego dłoń. — Jesteś nawet miły na swój paleonihilistyczny sposób. Poza tym złożyłeś mi najbardziej romantyczną ofertę od lat. Z chęcią przystałabym na taki układ, gdybyś miał lepiej dopasowaną sztuczną szczękę.

Mówiąc to w niezmiernie wprawny sposób wykręciła mu rękę i odepchnęła go. Pediculus krzyknął przeraźliwie i poleciał na namiot, który złożył się na nim. Natychmiast pospieszili mu z pomocą żołnierze. Ani Meta, ani nikt inny z grupki nie mógł się teraz poruszyć, gdyż w ich gardła znów wymierzano ostre miecze.

— Ślicznie — stwierdził Bill. — Takiej dziewczyny ze świecą szukać!

— Dzięki, kolego, doceniam twoje słowa. Byłam kiedyś mistrzynią judo w CACUŚ.

— Cycuś?

— Nie, kretynie, CACUŚ. To znaczy Centrala Atletów Czynnje Uprawiających Śmieciarstwo.

— Na arenę! — wrzasnął Pediculus wyciągnięty z resztek namiotu. Stracił swe zęby, a peruka opadła mu na oczy. — Śmierć, krew, destrukcja... wprost nie mogę się tego doczekać! A ta muskularna flądra idzie pierwsza.

Popychani dzidami i poganiiani przez gromadkę rozwrzeszczanych żołnierzy, zostali doprowadzeni na arenę. Było to naturalne wzniesienie uformowane w półkole wychodzące na płaski i ogrodzony murem zakrwawiony kawałek gruntu poniżej. Stał tam szereg klatek, ale jeńców wepchnięto do najbliższej z nich. Z następnej klatki rozległo się złowieszcze wycie, więc natychmiast cofnęli się od krat. Wszyscy z wyjątkiem Mety, która wcisnęła rękę między pręty zanim zdolali ją powstrzymać.

— Chodź tu, kociaczkule — powiedziała.

Kocur-zabójca poruszył się uszczęśliwiony, gdy podrapała go w głowę. Był to jednooki i pokryty bliznami zaprawiony w walce ulicznik.

— On ma tylko dwie stopy długości — stwierdził Bill.

— I jest jedynym zwierzęciem w zasięgu wzroku — dodał Cy, wskazując pozostałe klatki. — Wszystkie puste. Co stało się z lwami i tygrysami?

— Jest na nie akurat zły sezon — powiedział zarządca, niewolników, który pojawił się w pobliżu, świszcząc biczem. — Lwy i tygrysy mamy jedynie w miesiącach zawierających X.

— Nie istnieją miesiące, które zawierałyby X — oznajmił Praktis.

— Taa? A co z XII i XI, spryciarzu? W porządku, zaczynamy zabawę. Potrzebuję pierwszego na ochotnika.

Kiedy opadł pył, wszyscy stali przyciśnięci do tyłu klatki. Praktis i kapitan Bly byli ostatni, ponieważ nie mieli wyrobionego u zwykłych żołdaków refleksu na dźwięk słowa „ochotnik”. Rządca niewolników zakaszczał sadystycznie.

— Nie ma ochotników? Więc sam wybiorę. Ty, dryblasie! Centurion pragnie być poszedł na pierwszy ogień. Oszczędza tę waszą panienkę na najlepszy moment.

— Życzymy powodzenia, Billu — zawołali, wypychając go do przodu. — Umrzesz, walcząc w szlachetnym celu.

— Miło było cię poznać, kolego. Szczęśliwej podróży.

— I obyś znalazł się w niebie na godzinę przedtem, zanim diabeł dowie się, że nie żyjesz.

— Oj, dzięki, koledzy. Bardzo mi pomogliście.

Bill był okropnie przygnębiony z powodu tej całej afery. Wojna i jej wszystkie okropności to było jedno. Ale ten kurewski cyrk śmierci na zagubionym płaskowyżu? Nie wierzył, że coś takiego mogło się przydarzyć właśnie jemu.

— Tak, to dotyczy właśnie ciebie — antypatycznie zacharczał rządca. — A teraz weź ten miecz i sieć, i wyleż na zewnątrz, by dać dobry pokaz. Albo. . .

— Albo co? Co może mi się przydarzyć gorszego? — Dobrze zważył miecz w dłoni, chwytając go mocnym uściskiem.

— Co mogłoby być gorsze? Mógłbyś zostać utopiony, poćwiartowany, ugotowany w oleju, odarty ze skóry, albo mieć wyrywane paznokcie.

Wyjąc z gniewu, Bill rzucił się naprzód. Ale natychmiast stanął, ujrawszy łuczników z nałożonymi na naciągnięte cięciwy strzałami wycelowanymi wprost w niego.

— Załapałeś o co chodzi? — zapytał rządca niewolników. — A teraz ruszaj i pamiętaj o rozkazach.

Bill spojrział w górę na rozwrzeszczanych żołnierzy i na łożę królewską zajęta przez Haroldów i brzuchatego sadystę — Pediculusa. Zdawało się, że nie ma wyboru. Odwrócił się i wybiegł na arenę, wymachując mieczem i siecią, a także zastanawiając się, jakim cudem wpadł w takie tarapaty. Początkowo znajdował się na arenie sam... lecz jedna z klatek w odległym krańcu areny została otwarta i wyszedł z niej wysoki mężczyzna o blond włosach, dzierżący trójząb. Jego piękne szaty były podarte, a wspaniałe buty mocno zdezelowane. Wystąpił do przodu jak król, zupełnie ignorując wycie tłumu. Zatrzymał się tuż przed Billem i obejrzał go od stóp do głowy.

— Cóż, człeku — przemówił. — Jacyście wysocy?

— Mam około sześciu stóp i dwóch cali.

— Mniemam, żeście mnie nie pojęli. Jak was zowią i tytułują?

— Bill, żołnierz, mianowany ostatnio starszym sierżantem.

— Jam jest Artur, król Avalonu... choć ci ludzie o tym nie wiedzą. Możesz mówić mi Art, by utrzymać sekret.

— Okay, Art. Przyjaciele mówią do mnie Bill.

Konwersacja, która w ten sposób nastąpiła w miejsce walki, rozwścieczyła tłum, który zaczął obrzucać przeciwników epitetami i pustymi butelkami.

— Musimy walczyć, Bill, przyjacielu... albo przynajmniej udawać, że walczymy. Broń się!

Trójzab poleciał do przodu, tłum zawył sadystycznie, a Bill odparł cios i cofnął się. Art odskoczył na bok, by uniknąć rzuconej sieci.

— To jest mniej więcej to. Musimy poprowadzić tę maskowaną walkę przez arenę w kierunku łoża królewskiej. A masz!

Miecz ciał Billa w bok i rozerwał zimną stalą jego kamizelkę. Tłumowi bez wątplenia się to spodobało.

— Spokojnie! Chcesz mi zrobić krzywdę?

— Raczej nie. Ale mówiąc krótko, musimy sprawić, żeby to dobrze wyglądało. Atakuj! Atakuj!

Stal zadzwoniła o stal, a tłum oszalał z podniecenia. Zawył szczęśliwy, gdy noga króla uwięzła w sieci. Zawył nieszczęśliwy, gdy ją z niej uwolnił. Zgrzytanie stali trwało, póki nie znaleźli się pod królewską łożą.

— To jest. . . to! — wyszeptał Art. — Tuż pod lożą znajduje się wyjście awaryjne z areny. Stoi przy nim straż. Uciekniemy tamtędy. . . gdy mnie zabijesz.

Szczęk stali, wycie tłumu i skonfundowany szept:

— Ale jak uciekniemy, skoro cię zabiję?

— Udaj, że mnie zabijesz, tępaku! Złap mnie w sieć, a potem dźgnij między rękę a pierś. Jak w tych wszystkich złych sztukach.

— Pojmuję. No to już.

Z szybkością kobry zarzucił sieć na swego oponenta. Bill nie był jednak w tym rzemiośle zbyt dobry i Art musiał rzucić się do przodu, by sieć opadła na niego. Potem jeszcze wlaź pod nią dokładnie.

— Kończ z tym, kolego! — krzyknął na Billa, który stał jak oniemiały.

— Padnij na mnie i czekaj na werdykt publiczności.

Taki mały spektakl mógł co nieco pomóc, ale przy lepszej widowni. Bill skoczył na zaplątanego w sieci Arta, który tymczasem zdążył w niej zaplątać nawet swój trójzab. Rozłożył pokonanego na łopatki, przyklękając mu na piersiach. Czując się nieco śmiesznie, wniósł gotów do ciosu miecz i zwrócił się w kierunku tłumu.

Oni naprawdę kupili tę głupawą zagrywkę. Wstali na równe nogi i żądali śmierci, kierując kciuki w stronę ziemi. Bill dostrzegł, że ludzie ze wszystkich stron robili to samo. Potem zerknął na Pediculusa, który opuścił swój paluch z wyjątkowym okrucieństwem.

— Kończ z nim — krzyknął. — Mamy jeszcze mnóstwo innych w kolejce.

Bill zgodnie z instrukcją opuścił miecz. Ciało Arta wygięło się w śmiertelnych konwulsjach i zmarło. Tłum oszalał. Bill wyciągnął miecz i stanął przed lożą królewską. Wszystkie oczy spoglądały na niego. Nie było to nawet takie złe, bo w tym czasie król miał niemałe trudności z wyplątaniem się z sieci. Bill dostrzegł to kątem oka i rzucił się naprzód z okrzykiem błogosławiącym zwycięstwo. Nieco zamieszania było tu bardzo na miejscu.

— Hail, centurionie Pediculusie, hail wszyscy! Hail!

— Hail, hail, no pewnie — wymruczał Pediculus, patrząc w program, a potem znów na Billa. — Powiedz. . . jak to się stało, że nie masz krwi na mieczu?

— Ponieważ wytarłem ją w ubranie tego trupa.

— Nie widziałem, abyś to robił. — Centurion wychylił się, świdrując oczkami. —
Prawdę mówiąc. . . nie widzę nawet ciała!

— Tędy! — krzyknął Art, odpychając ogłuszonego strażnika i kopniakiem otwierając drzwi z napisem WYJŚCIE.

Billa nie trzeba było prosić dwa razy. Art zanurkował do przodu, a Bill zaraz za nim. Pobiegli długim, krętym tunelem słabo rozświetlonym promieniami słońca, przelewającymi się przez szpary w suficie. Poruszanie się utrudniały dodatkowo skorupy po orzechach i pestki oliwek. Wkrótce rozległ się tupot i okrzyki zawodu oraz gniewu. Usłyszeli zgrzyt wyważanych drzwi, przez które włali się do tunelu żołnierze.

— Biegnij, człeku. . . biegnij! Tak jakby. . . wściekłe psy następowały ci na odciski!

— Dobrze powiedziane! — wystękał Bill, słysząc dzikie wycie za plecami.

Ujrzeni przed sobą błysk światła w odległym końcu tunelu. Rozwarły się tam drewniane drzwi i drogę odciął im uzbrojony mężczyzna.

— Jesteśmy zgubieni! — wrzasnął Bill.

— Jesteśmy ocaleni! Ten wojownik pochodzi z moich oddziałów!

— Hail, Arturze — krzyknął wojownik, wznosząc połyskujący miecz.

— Hi, Mordredzie. Czy przywiodłeś konie?

— Ma się rozumieć.

— Oto wierny rycerz. Avaunt. . . we jaunt!

Oddział zbrojnych żołnierzy czekał na nich przy drzewach. Artur wskoczył na swego konia, a Billa posadził na swego Mordred, sadowiąc się za nim. Oddalili się pełnym galopem przez zielone łąki, zanim pierwszy ze ścigających wychynął za wrota.

Lecz ich ucieczka nie pozostała nie zauważona. Postawiono na nogi całą armię, która krzyczała i klęła. Wystrzeliwano za nimi strzały, miotano oszczepy. Lecz dwóch rycerzy w ciężkich zbrojach zasłaniało ich od tyłu przed gradem pocisków, przejmując je na swe stalowe pancerze. Wszystko zaplanowano w najdrobniejszym szczególe.

Galopowali drogą w kierunku zamku, z którego opuszczano już zwodzony most! Opał on na ziemię w tym samym momencie, gdy pierwszy koń wbiegał na podjazd. Z hukiem grzmotu przegalopowali przez most, a ten uniósł się natychmiast ponownie do góry. Atakujący byli bezradni, a obrońcy pokładali się ze śmiechu.

Jeźdźcy wjechali na podwórzec z dzwonieniem podków i na spienionych rumakach. Bill ześlizgnął się na ziemię, a Art, znany bardziej jako król Artur, podszedł ku niemu i uścisnął mu dłoń w geście przyjaźni.

— Witamy w Avalonie, obcy przybyszu.

— Wszystko to bardzo piękne — powiedział Bill. — Doceniam tę łaskę. Ale co z moimi przyjaciółmi. . . nie możemy tak po prostu zostawić ich tam na śmierć — i nagle zrobiło mu się słabo. — A może oni już nie żyją?

Rozdział dwudziesty pierwszy

— Zduś w sobie lęki, Bill nowy towarzyszu. Nasza ucieczka i pogoń za nami stworzyły zupełnie nową sytuację. Odciągnęły wielu żołnierzy. A zatem moi najtężsi wojownicy wydostali się przez sekretny tunel nie znany wrogowi. Z ukrycia obserwowali wszystkie wydarzenia. . . by w odpowiednim momencie rzucić się na osłabionego przeciwnika i uwolnić twych przyjaciół. Ruszajmy! Pójdźmy na wieżę zobaczyć, co z tego wynikło.

Będący w doskonałej formie Artur stąpał wielkimi krokami, a Bill podążał tuż za nim. Wspięli się na szczyt i znaleźli tam oczekującego staruszka w szpiczastej czapce.

— Hail, królu Arturze, hail, hail! — zakrzyknął.

— I tobie hail, mój dobry Merlinie. Co masz nam do powiedzenia?

— Oświadczam, że spozierałem w magiczne lustro i obserwowałem postęp akcji tam na dole.

Bill rzucił okiem na magiczne lustro i z uznaniem pokiwał głową.

— Nawet niezły teleskopik. Sam go zrobiłeś?

Merlin wzniosł krzaczaste białe brwi i przecesał palcami powłóczytą brodę, po czym przemówił:

— Mój panie, a kimże jest ten mądrała?

— Nazywa się Bill i jest więźniem, którego ocalałem z areny. A co stało się z pozostałymi więźniami?

— Obserwowałem wszystkie wydarzenia z pomocą. . . — spojrzął na Billa — mego magicznego lusterka. Twoi wspaniali rycerze rzucili się do ataku z włóczniami na paskudnego wroga, który uciekł w panice, a potem uwolnili więźniów.

— Świetnie! Chodźcie więc drodzy przyjaciele, zakosztujmy słodczy i dobrych win, aby uświetnić ten dzień.

Dobre wino wydawało się Billowi doskonałym pomysłem i podążył ku niemu, trzymając się szaty Merlina. Dotarłszy do holu, ujrzeni w nim wszystkich rycerzy w metalowych zbrojach, które niemiłosiernie skrzypiały wraz z każdym krokiem ich zasapanych właścicieli.

— Widziałeś jak moja lanca trzasnęła w jego pancerz?

— Nadziałem trzech za jednym zamachem!

— Nie chciałbym licytować się wynikami, ale. . .

— Bill! — zawołał znajomy, przyjazny głos i między rycerzami pojawiła się Meta. Rozległy się też głośne okrzyki protestu, gdy nastąpiła komuś na ostrogę i odepchnęła na bok jakiegoś grubego rycerza w kolczudze. Ciepłe, muskularne ramiona objęły Billa, rozpalone, czułe wargi przyłgnęły do jego ust, a ciśnienie krwi podskoczyło mu równie wysoko jak temperatura ciała.

— Jako zwie się ta piękna dziewczyna? — zapytał z pokaznej odległości Artur i Bill opamiętał się, by dokonać prezentacji.

— Meta, Artur. Artur, Meta. Artur jest tutaj królem.

— Sztama, Art. Podoba mi się u ciebie. Dzięki za wysłanie oddziału na ratunek. Jeśli mogę w zamian coś dla ciebie zrobić... nie krępuj się.

Oczy króla zrobiły się czerwone z pożądania, gdy uścisnął jej dłoń, odpychając na bok Billa.

— Jest coś takiego — powiedział chrapliwie.

— Arturze, musisz przedstawić mnie tym przemiłym ludziom. — Słowa te były pozornie zwykłe, a jednak pełne nagany. Król wypuścił dłoń Mety, jakby to był rozgrzany pogrzebacz, odwrócił się i skłonił nisko.

— Gueneviro, moja królowo, co robisz tutaj, tak daleko od swych prywatnych komnat?

— Mam cię na oku. — Miała na oku także Billa, taksując go wzrokiem z uśmiechem od stóp do głów.

— Ja jestem Bill, a to jest Meta — powiedział Bill, czerwieniąc się jak burak.

— Cała przyjemność po mojej stronie, królowo — powiedziała nieszczerze Meta. — Gdy się lepiej poznamy, musisz mi wyjawić, kto suszy ci włosy...

— Słuchajcie mnie wszyscy — zawołał Artur, zanim sprawy zupełnie wymknęły mu się spod kontroli. — Niech wszyscy zebrani pokłonią się naszym gościom ocalonym niedawno z pogańskich rąk. Pozwólcie, że przedstawię wam Sir Lancelota, Sir Gawaina, Sir Mordreda. . . — i tak dalej.

Żeby nie pozostać w tyle, Bill przedstawił się z rangi, numeru służbowego i tak dalej. Potem nastąpiło grupowe ściskanie rąk i Bill był bardzo zadowolony, gdy wreszcie udało mu się chwycić kielich wina od przechodzącego kelnera. Wzniesiono serię toastów, i by wino dobrze rozłożyło się w żołądkach, podano słodyczne. Były to powlekane cukrem wróble, co jeszcze nie byłoby najgorsze, gdyby obrano je wcześniej z piórek. Potem rycerze wyszli zmienić zbroje, a panie upudrować swe noski, Oswobodzeni więźniowie rzucili się na krzesła wokół wielkiego, okrągłego stołu, który podczas powitania stał zepchnięty pod ścianę. Artur zastukał w stół ręką swego sztyletu.

— A teraz podyskutujemy. Spotkaliśmy się tu dzisiaj nie przez przypadek, moi nowo poznani sojusznicy. Merlin rzeknie wam parę słów o tym co było, jest i będzie. Merlinie.

Oklaski umilkły, gdy tylko Merlin wstał na równe nogi.

— No to słuchajcie — rozpoczął pompatycznie. — Dobry król Artur ma już potąd, albo i jeszcze wyżej, tych paskudnych rzymskich legionistów. Królestwu temu wiedzie się dobrze, podatki lecą, a także niektóre głowy, jeśli podatki się spóźniają. . . ale czy nie o to właśnie chodzi w feudalizmie? Odbiegłem jednak od tematu. Gdyby nie interwencja z zewnątrz, moglibyśmy uprawiać kukurydzę, rozwalać sobie czaszki w turniejach, chłopstwo oszukiwałoby na daninach i wszystko byłoby w porządku. Ale nie jest. Za każdym razem, gdy wszystko wydaje się już w porządku. . . znów pojawiają się legiony. Oblegają zamek, strzelają z balist i katapult, i w ogóle głupio się bawią, aż do znudzenia i powrotu do domu. Widocznie im to odpowiada. Myślę, że to nakręca im koniunkturę w ekonomii. . . chleb i igrzyska, te sprawy. Ale co z nami? Podatki rosną w miarę, jak musimy kupować coraz więcej oleju do gotowania. Praca nad budową mostów i klasztorów ustaje, gdy musimy zatrudniać wszystkich budowniczych przy naprawie murów. A wiecie od jak dawna to już trwa? Od zarania historii, oto jak długo.

— Ale wkrótce się skończy, przysięgam na to.

— Racja, Arturze, i jasne, na czym to ja skończyłem? — Poczyniona uwaga wybiła Merlina z pantałyku. Odchrząknął, zanucił parę linijek jakiejś piosenki, by oczyścić gardło i zdołał odzyskać utracony rezon. Jego struny głosowe zagrały z pełną siłą.

— Ale nigdy więcej! Artur, król, jak przed chwilą słyszeliście, ma już dość tej sytuacji. Wysłano szpiegów. Ci, którzy nie zostali złapani i ukrzyżowani, powrócili. Oto, co odkryli.

Zapanowała jeszcze większa cisza, wszystkie oczy skierowały się na mówcę. Nawet oczy Artura, który już wcześniej słyszał tę historię. Meta wślizgnęła się do sali z dobrze przypudrowanym nosem i dołączyła do pozostałych. Po chwili Merlin ciągnął dalej:

— To wszystko paganie, ale zawsze byliśmy świadomi tego faktu. Wróżą przyszłość z wnętrzości zwierząt, palą kadzidła Merkuremu i Saturnowi, szukają poparcia, składając ofiary Minerwie, płacą daninę Jowiszowi i wszystkim pozostałym członkom tego nadętego panteonu. Widzę jedynie zmieszanie na waszych twarzach, co wskazywałoby na słabą pamięć lub braki w edukacji. A zatem przypomnę wam. Brakuje Marsa!

Na te słowa wszyscy, na szczęście, zaklaskali nie wiedząc jednak, do czego zmierza Merlin. Potem szybko łyknęli trochę wina, zanim zaczął mówić dalej.

— Mars, bóg wojny. Z pewnością ma on wielkie znaczenie dla tego wojowniczego plemienia. Moi szpiedzy byli zbyt tchórzliwi, by spenetrować głębiej ich państwo, podążać za centurionami przedzierającymi się sekretnie przez góry. Ale ja wyruszyłem za nimi osobiście, bo nie ma takich sekretów, które można by ukryć przed Merlinem. Przebrany za staruszkę o siwej brodzie podreptałem za nimi, aż odkryłem coś za ostatnim wzgórzem, na krawędzi urwiska, gdzie kończy się płaskowyż... tam to odkryłem!

— Nie powiedział jeszcze najważniejszego — wyszeptał król Artur z płonącymi oczyma i palcami mocno zaciśniętymi na rękojeści miecza.

— Czy wiecie co to było? Powiem wam. Była to Świątynia Marsa! Wyciosana w litej skale, z marmurowymi kolumnami, płaskorzeźbami i ołtarzem, na którym składane są ofiary. Ofiary przynoszone przez samych oficerów, nie przez zwykłych żołnierzy, co może dać wam pojęcie, jak wielkim owiano to sekretem. Po złożeniu ofiar oficerowie cofnęli się, nieomalże ze strachem i powiadam wam, że nie uczynili tego bez powodu! Zapadła noc, choć nadal był jasny dzień. Przetoczył się grzmot i błysnęła błyskawica. Potem w powietrzu rozjarzyła się tajemnicza poświata i ofiary zniknęły. Następnie, co czyniło wielkie wrażenie, przemówił sam Mars. A głos jego jeżył włosy na głowie i

opróżniał pęcherz, zapewniam was. Mars nie był zadowolony ani z ofiar ani z prognozy pogody. Przewielebny gnojek nakazał im znów rozpocząć wojnę! On jest źródłem wszelkich problemów. Ci leniwi legioniści i spasieni centurioni są o wiele bardziej kontenci, mogąc siedzieć na zadkach, rzucając niewolników na pożarcie lwom, czy też zaprawiając się tanimi używkami. Ale nie, Marsowi to nie wystarcza. Ruszajcie na wojnę, nakazuje, budujcie balisty, podpalajcie, najeżdżajcie. . .

Merlina tak poniosło, że zaczął pnieć się i drzeć. Meta skoczyła mu na pomoc i razem z Billem osadziła go na krześle, wlewając ożywczy płyn do rozpalonych ust. Artur skinał głową ze zrozumieniem.

— W tym właśnie tkwi sedno sprawy. Musimy walczyć z pogańskimi bogami jeśli chcemy uchronić się przed nieskończoną wojną.

— Niezły pomysł. — Skinał głową Praktis. — I masz do tego najodpowiedniejsze środki. Uzbrojona kawaleria, niespodziewany atak, okrążenie. Bam. . . i po robocie.

— Gdyby tylko tak było, drogi admirale. Ale w rzeczywistości nie jest. Moi silni i nieustraszeni rycerze boją się bogów i włożą przed nimi w mysie dziury.

Merlin doszedł już do siebie i z furią zaczął krzyczeć:

— Przesądne gnojki, oto kim są. Gadają same banały: „Oddałbym niewątpliwie swe życie za mego władcę! Oddałbym swe obwisłe gardło!” Jeden grom ze świątyni, a zwiewają w podskokach. Nie ma na to rady. Trzęsą portkami nawet mimo tego, że obiecałem swe całkowite religijne wsparcie!

Merlin wyciągnął skórzaną torbę i wysypał jej zawartość na okrągły stół.

— Spójrzcie na to! Prawie tona czosnku. Więcej krzyży niż znajdziecie w tuzinie klasztorów. Krucyfiksy napełnione święconą wodą. Cała puszka relikwii, torebka z kośćmi świętych, kawałek prawdziwego Krzyża, pompa paliwowa z Arki, innymi słowy wszystko. A co oni mówią, gdy im to pokazuję? Wykręcają się. Żaden nie chce iść... nawet sam król.

— Prawdę powiedziawszy, chętnie ruszyłbym na tę ważną wyprawę, gdyby nie inne pilne obowiązki zmuszające mnie do pozostania tutaj. Głowa aż mi ciąży od noszenia korony.

— No pewnie — zamruczał Merlin bez przekonania, nie chcąc jednak narazić się majestatowi. — Na czym więc stanęliśmy? Mamy zidentyfikowane i zlokalizowane ognisko tej zarazy. Gotowi jesteśmy do uderzenia. Ale nie mogę zrobić tego sam. Jestem

tylko starym człowiekiem. Oczywiście, że posiadam moc, ale potrzebuję też wsparcia oręża.

— I widzisz nas w tej roli — stwierdził Bill odgadując, że odbicie ich z rąk wroga nie było podyktowane wyłącznie altruizmem.

— Z ust mi to wyjąłeś. Widziałem wasze lądowanie przez teleskop. . . to znaczy przez magiczne zwierciadło. Przyniósł was latający smok, a będąc Walijczykiem, jestem w stanie to docenić. Powiedziałem wówczas królowi: „Oto nieustraszeni bohaterowie, jakich nam trzeba: obcy, nie obawiający się bogów.” — Przystał mówić i prześwidrował ich wzrokiem. — Nie jesteście chyba przesądni, co?

— Jestem Fundamentalistycznym Zoroastrianinem — powiedział dumnie Bill.

— Daj z tym spokój — warknął Praktis. — Najpierw wysłuchajmy propozycji, a potem się do niej ustosunkujemy.

— Nie mam już nic więcej do dodania. Dobry król Artur ocalił was przed legionistami. Będziecie uzbrojeni i udacie się ze mną do Świątyni Marsa, gdzie przekupimy Marsa ofiarą lub dwiema.

— Plan wydaje się prosty — syknął Cy. — A co się stanie, jeśli nie pójdziemy?

— To także jest proste. Wróćcie wówczas znów do cyrku. A my ofiarujemy im kilka zgłodniałych lwów na tę ceremonię.

— Ale bądźcie dobrej myśli — poradził król Artur. — Jeśli się zgodzicie, zostaniecie odpowiednio uhonorowani. Z pewnością dostaniecie po zamku lub po dwa i tytuły szlacheckie.

Nie byli zbyt oszołomieni hojnością oferty.

— Wolelibyśmy to omówić między sobą — stwierdziła Meta.

— Oczywiście. Nie spieszcie się. Macie całą godzinę. — Merlin położył na stole klepsydrę i odwrócił ją. — Wybór należy do was. Wyprawa do świątyni albo powrót na arenę.

Rozdział dwudziesty drugi

— Zawsze zdarzy się jakiś okropny tydzień — westchnął patetycznie Bill.

— Wszystko przez tego psa. . . gdybym tylko nie zagwizdał na psa — zachnął się kapitan Bly.

— Przydałoby się trochę marihuany — zamarzył Cy.

— Na farmie są teraz żniwa — szepnął Wurber.

Meta zde gustowana wykrzywiła wargi, a Praktis pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Gdybym nadal dowodził, bardzo szybko wybiłbym wam z głowy depresję. Ale teraz, będąc jednym z was, mogę jedynie zasugerować, abyście przestali płakać w rękaw i znaleźli jakieś wyjście.

Wyrzał przez okno, szukając sposobu ucieczki, ale znalazł tam tylko pionową ścianę opadającą na sterczące skały. Meta spróbowała z drzwiami, lecz Artur zamknął je za sobą wychodząc.

— Dlaczego po prostu nie zrobimy tego o co proszą? — zauważył błyskotliwie Bill, a potem skulił się pod nienawistnymi spojrzeniami. — Słuchajcie... dajcie mi dokończyć, zanim zabijecie mnie wzrokiem. Zamierzałem powiedzieć, że z tego zamku nie ma łatwej drogi ucieczki. A nawet gdyby była, to na zewnątrz czekają jeszcze legiony. Zrealizujemy więc ten szaleńczy plan. Bierzymy broń i tym podobne rzeczy, a potem wynosimy się stąd... razem z tym zgrzybiałym Walijczykiem.

— Zrozumiałem cię idealnie — ożywił się Praktis. — Od tej chwili będziesz znany jako major Bill. Wydostajemy się z tego zamku i pierścienia legionów, walimy starego w łeb... i znajdujemy się uzbrojeni i niezależni na wolności!

Usłyszeli głośny huk ostatniego ziarnka piasku przesypującego się w klepsydrze i w tym samym momencie drzwi rozwarły się na oścież. Do środka wszedł król Artur.

— Co tam gadacie?

— Mówimy, że się zgadzamy.

— Jeśli umrzecie, to za wielką sprawę. Ruszajcie do zbrojowni!

Wyposażono ich w zbroje, kolczugi, hełmy, halabardy, sztylety, łuki, miecze, tarcze i kaczory.

— Nie mogę się ruszać — wybąkał Bill zza przyłbicy.

— Dopóki masz nieskrępowane ramię z mieczem, nie ma to większego znaczenia — powiedział zbrojmistrz, przybijając obluzowaną przyłbicę do hełmu Praktisa.

— Zupełnie ogłuchłem. . . przestań! — zawył admirał, próbując zrobić krok, i padając z chrzęstem na podłogę. — Nie mogę się podnieść.

— Skoro nie jesteście przyzwyczajeni do zbroi, to może nieco wam ujmiemy. — Zbrojmistrz dał sygnał asystantom. — Rozdziejcie ich trochę, żeby mogli się ruszać.

Po ujęciu około tony żelastwa mogli poruszać się z łatwością, choć nadal skrzypieli. Ale wystarczyło na to użyć nieco starego oleju. Właśnie popijali wino przed drogą, gdy zjawił się na ośle podobnie zapuszkowany Merlin.

— Czy my też jedziemy? — zapytał Bill.

— Waszym mięśniom przyda się nieco ruchu. Wydostaniemy się przez sekretny tunel wychodzący ze wzgórza poza okrężeniem.

— To brzmi nieźle — przyznał Praktis, i wszyscy mrugnęli do siebie znacząco i zachichotali, gdy Merlin się odwrócił. Podano im zapalone pochodnie, rozwarło wrota i ruszyli za Merlinem w głąb zatęchłego, mokrego tunelu. A był to długi tunel. Wydawał się ciągnąć w nieskończoność, a powietrze było w nim coraz gorsze. Pochodnie gasły jedna za drugą. Kiedy ostatnia już ledwo się paliła, Praktis zawołał do Merlina:

— Wiem, że to głupie pytanie... ale kiedy i ta pochodnia zgaśnie, jak odzyskamy drogę?

— Nie obawiaj się... Merlin jest czarodziejem. Pochodnia gaśnie. Ale ja mam magiczną, kryształową kulę, która rozjaśnia ciemności. Abra kadabra!

Wyjął z zawieszanej na brzuchu torby okazałą kulę i wznosił ją wysoko. Świeciła słabym światłem, lecz rozbłysła, gdy nią potrząsnął. Bill przyjrzał się bliżej, a potem szepnął do Mety:

— Też mi czary. To zwykły słoik na rybki pełen robaczków świętojańskich.

— Słyszałem, co powiedziałaś! — krzyknął Merlin. — Ale to więcej niż wy jesteście w stanie zaoferować i pozwoli nam wydostać się na zewnątrz.

Wreszcie pojawił się koniec tunelu i wyszli na ocienioną przestrzeń. Pełno tu było rycerzy króla Artura.

— To gwardia honorowa — oznajmił Merlin. — Ma za zadanie dopilnować, byście zachowali się z honorem i nie próbowali dać nogi przed przybyciem do Świątyni Marsa.

Ich jedyną odpowiedzią były cisza i mroczne spojrzenia. Merlin zachichotał i ruszył naprzód. Niechętni ochotnicy podążyli za nim, a żołnierze na końcu. Maszerowali przez cały dzień przez las, zadrzewione kaniony, wyschnięte koryta rzek, wzdłuż gulgoczących strumieni i u podnóży gór. Był to długi, gorący marsz i po jego zakończeniu opadli z ulgą na miękką trawę jakiejś łąki równocześnie z zachodem słońca.

— Pić mi się chce — stwierdził Cy.

— Woda jest w strumieniu. — Wskazał mu drogę Merlin. — Pójdzie z tobą pięciu strażników.

— Kiedy coś zjemy? — zapytał Bill.

— Teraz. Sierżancie, rozdajcie żelazne racje.

Każda porcja miała na sobie pieczętkę SPA, co oznaczało Spółdzielnię Piekarską Avalonu. Pieczętki musiały zostać wybite zanim upieczono te chleby. Ewentualnie wykute albo wypalone. Nie znalazł się bowiem żaden ząb, który potrafiłby skruszyć to awalońskie świństwo. Należało je raczej skruszyć między dwiema skałami, i to mocnymi, ponieważ słabe skały nie wytrzymałyby zetknięcia z nim. Dopiero odłupane kawałki sucharów stawały się jadalne po długim moczeniu w wodzie. Mamrocząc i zgrzytając zębami, patrzyli na Merlina, który zajadał na zimno pieczonego łabędzia i popijał go winkiem.

Jeszcze przez dwa dni maszerowali w podobnych warunkach, dopóki nie dotarli do mrocznej, złowrogiej doliny. Skały tutaj były obrobione jakby gigantyczną siekierą. Dolina ociekała wodą kapiącą z ukrytych źródeł, a kamienne ściany pokrywały liszaje.

— Stąd już niedaleko — radośnie oświadczył Merlin. — Ta dolina znana jest pod lokalną nazwą Descensus Avernus. Można to z grubsza przetłumaczyć jako Miejsce Gdzie Się Wchodzi, Ale Skąd Się Nie Wychodzi.

— Kompania — stój! — nakazał dowódca ich straży. — Dokąd prowadzi ta dolina, wielbny czarodzieju?

— Prowadzi ona do Świątyni Marsa.

— Zaprawdę? A zatem powinniśmy zatrzymać się tutaj i osłaniać wasze tyły. Ruszajcie z naszym błogosławieństwem!

— Dziękuję. I tak jestem zaskoczony, że tak daleko z nami zaszliście. A zatem czekajcie tu na nasz powrót. Dodam jeszcze, że jeśli nie wróciłbym z tą gromadką, a zjawiliby się tu jedynie oni sami, możecie użyć ich jako tarcz strzelniczych.

— Stanie się, jak sobie życzysz!

Merlin spojrzał na niebo.

— Zostało nam jeszcze kilka godzin do zmroku. No to bierzmy się do roboty. Macie. Podał im ciężką torbę, którą miał przerzuconą za siodłem.

— Co to? — spytała Meta, uginając się pod ładunkiem.

— Relikwie, które wam pokazywałem.

— Zostaw je tym tchórzliwym żołdakom — oznajmił Praktis z bezgraniczną pewnością siebie. — Może to podniesie ich morale.

— Jeśli tak mówisz. Ale najpierw... — Merlin pogmerał w torbie i wyciągnął z niej krzyż, sześcioramienną gwiazdkę, krucyfiks i kawałek czosnku. — Sam nie jestem przesądny, ale nie zaszkodzi się zabezpieczyć. Ruszajmy.

Szli za nim w złowieszczej ciszy i już wkrótce zniknęli z oczu pozostawionym u wejścia do doliny rycerzom.

— Zatrzymajmy się tutaj — powiedział Praktis i pochód stanął.

— Nie nakazywałem postoju — zdziwił się Merlin.

— Ale ja tak. Jeśli mamy iść dalej za tobą... a patrząc na otaczające nas stromizny powiedziałbym, że nie mamy większego wyboru... to powiedz nam, jaki masz plan działania.

— Udać się do świątyni.

— A potem?

— Wezwiemy Marsa, by się pojawił i przyjął nasze ofiary.

— Jakie ofiary?

— Wszystkie suchary, jakie niesiemy. Do niczego innego się nie przydadzą. Kiedy już przyjmie prezenty, przeciągniemy go na swoją stronę. Potem może przestanie wydawać rozkazy do wojny. To proste.

— Prostackie — uzupełnił Bill. — Dlaczego Mars miałby to zrobić?

— A dlaczego nie? Bogowie zawsze wtrącali się w sprawy ludzkie. Wszystko zależy od tego, kto ich pierwszy przekupi.

— Nie intryguje mnie ten wykład teologii porównawczej — oznajmiła Meta. — Do mojej zbroi wdziera się wilgoć i jeśli nie będziemy się ruszać, zardzewieje. Takie gadanie do niczego nie prowadzi. Odnajdźmy lepiej tę świątynię i rozegrajmy to po swojemu. Ruszajmy.

Ruszyli. A gdy to uczynili, usłyszeli przed sobą odległe dudnienie bębnow.

— Słuchajcie! — powiedział Bill. — Co to jest?

— Świątynia Marsa! — wykrzyknął Merlin. — Przygotujcie się na spotkanie z przeznaczeniem!

Szli dalej, coraz wolniej, z rękoma na rękojeściach mieczy i palcami nerwowo stukającymi o sztylety. Ale na cóż mogła się zdać ta przyziemna broń wobec potęgi bogów?

Pogrzebowa muzyka stawała się coraz głośniejsza i oto znaleźli się na miejscu. Za ostatnim zakrętem doliny oczekiwała ich świątynia z białego marmuru. Ołtarz ofiarny znajdował się z przodu, a za nim wysokie schody wiodły do mrocznego otworu sanctum sanctorum. Poruszali się w ciszy, na paluszkach, jakby bali się przeszkodzić drzemiącemu w świątyni bogowi. Powoli podeszli do marmurowego ołtarza. Nie było na nim nic oprócz ptasiego guana i starego ogryzka.

— Ofiary — wyszeptał Merlin, zsiadając z wierchowca. — Na ołtarz.

Gdy suchary rozsypały się po poplamionym marmurze, muzyka natychmiast ucichła. Przybysze również zamarli na widok płynnej ciemności u wejścia do świątyni, która zawirowała i zmieniła się w wielką czarną chmurę. Rozległ się stukot kopyt i osioł odgalopował w dal. A potem rozległ się głos! Nie mówił, lecz grzmiał jak grom z jasnego nieba toczący się po świątyni.

— Kto tu przybywa? Jacyż śmiertelnicy ośmielili się stanąć twarzą w twarz z potężnym Marsem?

— Merlin, światowej sławy czarodziej z Avalonu.

— Znam cię, Merlinie. Igrasz ze sztukami tajemnymi i zdaje ci się, że kontrolujesz siły ciemności.

— To moje hobby, o wielki Marsie. Chodzę również do kościoła w każdą niedzielę. Teraz, wraz ze swymi towarzyszami, przybyłem złożyć ci hołd i hojne dary, aby uzyskać twą boską pomoc dla swych poczynań. . .

— Hojne dary? — zawył potężny głos. — Odważacie się składać przed Marsem te niejadalne wafle?

W świątyni zerwał się potężny wiatr, wywiał z niej suchary i rzucił przybyszów na ziemię.

I nie było to jeszcze wszystko! Chmury i ciemność kłębiły się i grzmiały, czerwieniejąc piekielnym ogniem, a pośród nich zjawiała się twarz. Obrzydliwa i przerażająca, ze szpiczastym hełmem w wianuszku z czaszek. Gdy Mars rozwarł swe usta, by na nich huknąć, dojrzeli, iż wszystkie jego zęby były rozmiaru i kształtu kamieni nagrobnych.

— Odmawiam przyjęcia waszych niegodnych i niejadalnych darów. Ryzykujecie śmiercią za swą bezczelność. . .

— A co powiesz na to?

Merlin wyciągnął z portfela złotą sztabę, która zabłysła w blasku błyskawic.

— To już bardziej mi odpowiada — zagrzmiał Mars. — Na ołtarz z tym. A może znajdzie się tego więcej?

— Z pewnością. Oto srebrna spinka z perłą w sam raz dla dżentelmena, diamentowy drobiazg dla kobiety, która ma wszystko i elegancka szpilka do krawata z rubinami i kamieniami księżycowymi.

— Kamienie księżycowe, to dobrze. Diana je weźmie.

— Jestem rad, że potężny Mars jest zadowolony. A zatem pragnę złożyć swą prośbę.

— Mów. Jakie masz życzenie?

— To proste, zupełna drobnostka. Zaprzestań wojny. Nakaż legionom powrócić do swych baraków.

— Co to ma znaczyć, śmiertelniku? Prosisz Marsa, boga wojny, o wstrzymanie jej? Nigdy!

Z ust Marsa wystrzeliła błyskawica, trzasnęła w grunt u ich stóp i wypaliła w nim dymiącą dziurę. Odskoczyli na boki, gdy Mars wzniecał swój gniew.

— Was także zniszczę swymi niebiańskimi piorunami. Wojna będzie trwać. Uchodźcie stąd, albo zginiecie. W zamian za wasze ofiary ofiaruję wam życie. Nic więcej. Wyoście się!

Gdy błysnął kolejny piorun, Bill zanurkował do cienia i przylgnął do ściany świątyni. Znajdował się blisko wejścia, w miejscu, gdzie mgła nie była tak gęsta. Podczołgał się do przodu i wystawił głowę za marmurową kolumnę. Rozejrzał się wokół. Potem rozejrzał się jeszcze raz. Dopiero, gdy się dobrze napatrzył, przyczołgał się z powrotem do towarzyszy.

— Wielebny Marsie — błagał Merlin. — Jeśli nie koniec wojny, to może chociaż zawieszenie broni na kilka miesięcy w czasie żniw?

— Nigdy! — Kolejna błyskawica zajaśniała i eksplodowała. — Wyoście się natychmiast, albo zginiecie! Zaczynam odliczać. Dziewięć... osiem, siedem...

— Słyszemy cię Marsie, nie ma problemu! — krzyknął Bill. — Wracamy teraz do doliny. Miło było cię poznać. Pa — pa.

Merlin zawahał się, ale reszta odchodziła z ulgą. W pewnym momencie Bill przywołał ich ruchem dłoni i położył palec na ustach, by milczeli i poczołgali się za nim pod ścianami.

— On chyba zwariował — stwierdził Praktis.

— Zamknij się i patrz! — Meta podkreśliła te słowa mocnym ciosem w jego żebra. Bill znajdował się już u wejścia do świątyni i przekraczał je! Pomachał na nich dłonią. Poszli w jego ślady. A Mars grzmiał i ciskał gromy.

— Cztery... trzy... I już was nie ma! I nie wracaj już tu, pożałowania godny Merlinie, ani wy prostaczkowie. Tutaj czeka was jedynie śmierć w potężnych dłoniach Marsa!

Bill wszedł do świątyni, a pozostali pospieszyli za nim.

— Popatrzcie — powiedział. — No, tylko na to popatrzcie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Wnętrze świątyni było topornie wyciosane w skale, z widocznymi śladami wiertel i młotów. W kątach wisiały pajęczyny, a podłogę zaścielały opadłe liście. Nie było to eleganckie. Tuż przy wejściu wytwornica pompowała dym. Ten wznosił się gęstą chmurą. Obraz twarzy Marsa wyświetlany był na chmurze przez umieszczony z tyłu projektor. Jego głos odbijał się echem i grzmiał z połączonych kolumn głośnikowych Wharfdalea.

— Ho — ho — ho! — zagrzmiały głośniki.

— Co za kit próbują nam tu wciskać? — zapytał Praktis, gapiąc się ze zdumieniem na zastany obraz.

— Odchodzi tu jakieś niezłe oszustwo — stwierdził Cy. — Ten wielki bóg Mars to tylko kupa elektronicznego szmelcu. Ale kto naciska na guziki?

Bill wskazał na znajdującą się za zasłoną alkowę w tyle świątyni i wszyscy uśmiechnęli się dziko, dobyli mieczy i podeszli do niej na paluszkach.

— Gotowi? — wyszeptał Bill i reszta skinęła głowami. — No to ruszamy!

Ciemna kurtyna przesuwiała się na rołkach jak zasłona przy prysznicu. W rzeczywistości zresztą okazała się taką zasłoną, o czym Bill przekonał się, odsunąwszy ją na bok. Wytężyli wzrok i... powoli opuścili miecze.

Za zasłoną znajdowała się konsola z guzikami, ekranem telewizyjnym i dźwigniami sterującymi. „Ho — ho — ho!” krzyczał przed nimi do mikrofonu mały łysy człowieczek, a z tyłu buchał z głośników wzmocniony głos Marsa „Ho — ho — ho!”

— My też mamy dla ciebie nasze małe „ho — ho — ho!” — powiedział Bill.

— Momencik — zamruczał człowieczek gorączkowo przebijając dźwigniami. — Przeklęta wytwornica dymu nie chce się wyłączyć... Achchch!

Tragiczne „Achchch” wykonał dopiero w momencie, gdy zdał sobie sprawę, iż nie jest sam. Odwrócił się, przywarł plecami do konsoli, wybałuszył oczy, stracił oddech i chwycił się za serce.

— Kim. . . — zagulgotał — jesteście?

— To zabawne, dziadziu — powiedział Praktis. — Właśnie mieliśmy zadać ci podobne pytanie.

— Wy brutale — zgromiła ich Meta, przepychając się bokiem, by podtrzymać starszka pod ramię. — Czy nie widzicie, jak on okropnie wygląda? Czy chcecie przypawić go o atak serca? No już spokojnie, spokojnie. — Przyciągnęła bliżej drewniane krzesło stojące przy konsoli i usadowiła go na nim. — Siadaj. Nikt nie robi ci krzywdy.

— Polemizowałbym — stwierdził Merlin, wysuwając się do przodu z wzniesionym mieczem. — Jeśli to on jest głosem Marsa, to jest tym gnojkiem, który sprowadził wszystkie nieszczęścia na Avalon!

Bill wychylił się i walnął Merlina w rzepkę. Tamten zakwiczał głośno i miecz wypadł mu z dłoni.

— Najpierw uzyskamy odpowiedź na pewne pytania, a potem będziemy wywijać mieczami — stwierdził Bill, zwracając się do starszka na krześle. — Wyjaśnij. Kim jesteś i co tu robisz?

— Byłem pewien, że któregoś dnia to nastąpi — wymamrotał mężczyzna. — W pewien sposób nawet się z tego cieszę. Wspinanie się po tych stopniach mnie zabijało. — Wzniósł wilgotne oczy na Metę. — Na szczycie konsoli, jeśli nie masz nic przeciwko temu, kochanie. Brandy. Tylko odrobina w szklaneczce.

W miarę jak popijał, na twarz wracały mu kolory. Potem miał moment przerwy, zanim znów mógł spojrzeć w oczy swym zwycięzcom, ponieważ ci przechwycili butelkę i spijali ją do dna. Gdy dotarła do Merlina, został w niej już tylko jeden łyk. Wypił go jednym haustem i odrzucił szkło na bok.

— A teraz wyjaśnienia, oszuście!

— Nie jestem oszustem. Jestem czarodziejem z Zog.

— No dobrze, a ja jestem czarodziejem z Avalonu. Gadaj.

— To bardzo długa historia.

— A my mamy bardzo dużo czasu. Mów!

Przedstawił im

OPOWIEŚĆ CZARODZIEJA Z ZOG

Wszystko to zaczęło się dawno, dawno temu. Co najmniej parę wieków. Znalazłem księgę pokładową, ale wszystkie wpisy były bardzo stare. Przy braku kalendarza, niezauważalnych zmianach pór roku, trudno jest utrzymać tu poczucie czasu. Zdołałem jednak jakoś odtworzyć historię z tego, co opowiedział mi mój ojciec i co przeczytałem w księdze pokładowej statku. Wydaje mi się, że był to statek imigracyjny o nazwie SS Zog, wiozący osadników w odległe światy. Na pokładzie zaistniały jakieś kłopoty, szczegóły nie są zbyt jasne, jakaś tragedia. Może doszło do użycia przemocy, albo skończyło się piwo, albo eksplodowały toalety, a może wszystko to na raz. W każdym razie Zog został zawrócony i wylądował na tej planecie. Jego przeznaczeniem było nigdy jej nie opuścić. No i, jak widzicie, osadnicy pozostają tu do dziś.

Kłopoty zaczęły się od samego początku. Kapitan statku nazywał się Gibbons i ja jestem jego potomkiem, ponieważ również nazywam się Gibbons. Kapitan chciał zorganizować osadników na swój własny sposób, ale pierwszy mat, przesiąknięty złem ga-

gatek nazwiskiem Mallory, nie myślał się temu podporządkowywać. Miał swoje własne idee na temat sposobu, w jaki należy organizować nowoczesne społeczeństwa. Zabrał swych zwolenników i oddalił się w odległy kraniec płaskowyżu, gdzie założył Avalon.

Mój dziadek ucieszył się, widząc, jak odchodzą i tak zapisano to w księdze pokładowej. Nazwał ich kulturę średniowiecznym prymitywizmem, znacznie upośledzonym względem osiągnięć Rzymu. Jego naśladowcy osiedlili się na tym krańcu płaskowyżu i rozkoszowali się wspaniałym klimatem. W księdze znajduje się również wzmianka, bardzo lakoniczna, o trzeciej grupie, która udała się gdzie indziej. Nie chcieli mieć nic wspólnego z żadną z pozostałych grup i odmaszerowali w kierunku płaskowyżu barthroomskiego. Od tego czasu słuch po nich zaginął.

Taka sytuacja trwała od wieków. Kapitan Gibbons wiedział, że zasadzki nauki i technologii nie są potrzebne prostemu agrarnemu społeczeństwu, więc wycofał się w te rejony, by z góry doglądać swych podopiecznych. Zbudował Świątynię Marsa, sekretnie zainstalował cały sprzęt i tak ciągnęło się przez wieki. Rzymskie legiony robiły swoje, Artur i jego Avalończycy swoje, zaś Mars obserwował wszystko i utrzymywał porządek.

* * *

Gdy Zog Gibbons przestał mówić, zapadła cisza. Trawili jego słowa... i brandy. Pierwszy przemówił Merlin:

— Doceniam tę lekcję historii. Ale wcale nie podoba mi się to, że wciąż rozkręcasz wojnę. Dlaczego?

— Dlaczego? Czy musicie pytać dlaczego?

— Tak — odparli chórem.

Zog zaczął się unosić z krzesła, ale przyparto go do niego. Nie miał ucieczki. Głęboko westchnął i przemówił:

— W celu przetrwania, jak sądzę, i wiedzenia łatwego życia. To niezła rzecz rzucać gromy i rozkazywać wszystkim wokół. O wiele lepsza niż praca w pocie czoła. Wśród ofiar znajduje się najlepsze wino, są pieczone jagnięta, myszy w miodzie, wszystko. A ja to lubię. Lubię także podtrzymywać wojnę. Jeślibym tego nie robił, ktoś inny w końcu by się połapał, co tu się dzieje. Nastąpiłyby pokój i ogólny dobrobyt. Oraz postęp. Och, jakże ja nienawidzę tego świata! Postęp jest właśnie tą rzeczą, która spowodowała

wszystkie problemy ludzkości. Mój przodek, kapitan Gibbons, był o tym głęboko przekonany. Przeczytałem jego pisma i zgadzam się z każdym słowem. Z postępem zjawiają się politycy, podatki od dochodów, agencje reklamowe, ruch wyzwolenia kobiet, zatrucie środowiska, wszystkie te rzeczy, które czynią nowoczesne życie takim okropnym. Lepszy już Złoty Wiek Rzymu. Tu nie ma wzlotów ani upadków!

— Zaczynam myśleć, że ten facet ma świra — stwierdził Praktis.

— Bez przesady — odparł Cy, a potem wskazał na gruby kabel biegnący pod ścianą. — Czy to twój główny przewód zasilający?

Zog skinął głową.

— Główny i bardzo cenny, chociaż powoli spada w nim przez cały czas napięcie. Naładowanie baterii po wystrzeleniu tych paru błyskawic zajmuje mi miesiąc. To wszystko wina tego, że wtrącacie się do spraw innych ludzi.

— Zanim się zagalopujesz — warknął Merlin — przypomnij sobie, kto tu jest teraz górą.

— Mnie natomiast bardziej interesuje — rzekł Bill — cała ta elektryka. Skąd ona pochodzi... i gdzie prowadzi ten główny kabel?

— Wyjąłeś mi te słowa z ust — dodał Cy.

Zog wstał na równe nogi.

— Chodźcie za mną — powiedział — a wszystko zostanie wam ujawnione.

Wyszedł ze świątyni, a tuż za nim Praktis trzymający go za kołnierz dla pewności, by nie oddalił się zbyt daleko. Kabel biegł po ścianie ku grubym izolatorom umieszczonym w kamieniu. Potem wychodził ze świątyni w dolinę. Poszli jego tropem, aż dolina skończyła się nagle przy zboczu. Kabel przechodził nad jego krawędzią i znikał z zasięgu wzroku. Wszyscy podeszli ostrożnie bliżej i wyjrzeni przez krawędź. Znajdowali się na krawędzi płaskowyżu. Kamienne ściany opadały w dół ku pustyni, bezdrożnemu bezmiarowi piasku. Ale nie, gdzieś tam wiodły pewne drogi. Dojrzeni schody wykute w kamieniu prowadzące w dół na pustynię. Od podnóża schodów wychodziła droga. Wiodła ona wprost do otwartego wjazdu statku kosmicznego.

— SS Zog... nadal tu jest! — krzyknął Bill.

— Oczywiście, że tak — warknął Praktis. — A czego innego oczekiwałeś...

— Jeśli ktoś się poruszy dostanie prosto w potylicę — nakazał głos z tyłu. — Rzućcie miecze i powoli się obróćcie.

Rozdział dwudziesty czwarty

Odłożyli miecze i obrócili się powoli. Ujrzeni młodego mężczyznę stojącego na skałach nad nimi. Miał grymas wściekłości na twarzy i karabin w dłoniach.

— To jest pistolet jonowy — powiedział — strzela śmiertelnymi ładunkami jonów. A dopóki nie było się zjonizowanym, nie wie się, czym jest prawdziwy ból. Krzyczy się i szaleje, życząc sobie samemu śmierci. — Skrzywił się sadystycznie i oblizał wargi.

— Kimże, u diabła, jesteś? — zapytał Praktis.

— Jestem facetem z pistoletem jonowym! — zaśmiał się okropnie.

— To jest mój syn, młody Zog — powiedział Stary Zog. — Spadkobierca świątyni, przyszedł Mars — dodał niezbyt entuzjastycznie.

— Pocałuj mnie w dupę! — krzyknął Młody Zog. — Umrę z oczekiwania, zanim ty przejdziesz na emeryturę. A poza tym, tatuśku, zauważ, że pistolet wycelowany jest również w ciebie. Daleś się złapać... nie zasługujesz już na rolę Marsa! Stary Mars nie żyje... niech żyje nowy Mars!

Stary Zog z politowaniem pokiwał głową.

— Nie nadajesz się jeszcze do tej roboty, mój chłopcze. Teraz to widzę. Dlatego tak długo zwlekałem z przejściem na emeryturę. Jesteś zbyt twarogłowy, porywczy...

— No jasne! — krzyknął Młody Zog i nacisnął na cyngiel, jonizując kawałek skały przy brzegu urwiska. — I tak to wygląda, kolesie! Ci z was, którzy są wierzący, mogą zmówić krótką modlitwę do dowolnego boga lub bogów. Zaczynamy jonizowanie!

— Och, czuję, że zemdleję z przerażenia! — powiedziała Meta, zamykając oczy i mdlejąc ze strachu, po czym twardo opadła na ziemię.

— Mój chłopcze, nie mów takich rzeczy! Nie zabijesz tych niewinnych ludzi.

— A właśnie, że tak, tatuśku. I ciebie też. Powiedz więc do widzenia i przygotuj się na spotkanie z przodkami!

Wystąpił do przodu, wzniósł i wycelował pistolet. Ale zanim zdołał nacisnąć spust, Meta, będąca mistrzynią judo, wykorzystała swe umiejętności, atakując jego kostkę. Krzyknął i stracił oparcie w nogach. Pod wpływem uderzenia w rękę wypuścił pistolet, a od ciosu w szczękę padł.

— Dzięki, Meta — wyznał szczerze Bill.

— Ktoś musiał coś zrobić, a wy tylko staliście i patrzyliście, jak ten maniak bierze się za jonizowanie.

— On jest biednym, niezrównoważonym chłopcem — powiedział Zog, przyklękając przy synu.

— Ten dzieciak to szajbus — oznajmił Praktis. — Zwiążcie go zanim dojdzie do siebie i znów spróbuje coś zrobić. Ja zajmę się tym. — Podniósł pistolet jonowy. — Czy tu w pobliżu są jeszcze jakieś czubki, Zog? Mów prawdę.

— Mój jedyny syn, jedyne dziecko, żrenica mego oka — szlochał Zog, składając swą pelerynę i umieszczając ją w roli poduszki pod głową Młodego Zoga. — To moja

wina, ja go zepsułem. Uderzyło mu do głowy, cała ta potęga, która miała przejść na niego. To się nie zdarzy, nie zdarzy...

— A właśnie, że zdarzy — powiedział jakiś głos. — Hej, wy wszyscy, odstepcie od niego. Cofnijcie się pod skalną ścianę.

Szarowłosa kobieta wspięła się na kamienne schodki za nimi, gdy nie patrzyli i teraz celowała w nich z paskudnie wyglądającej strzelby.

— Czy to strzelba jonowa, mamuniu? — spytał grzecznie Bill.

— Możesz sprawdzić, słoneczko. Jedno dotknięcie spustu i potężny strumień jonów wyleci w przestrzeń, by niszczyć wszystko na swej drodze.

— To miłe — stwierdził Bill, zamykając osłonę twarzy na swym hełmie i występując do przodu. — Czy byłaby pani łaskawa mi to podać, zanim komuś stanie się krzywda?

— Tym kimś będziesz ty, dziecinko, jeśli zrobisz jeszcze choć jeden krok!

Bill zrobił kolejny krok i jony posypały się naprzód. Meta krzyknęła, widząc jak jego ciało otacza ogień.

Bill zrobił jednak następny krok, chwycił strzelbę jonową, wyrwał ją z uścisku kobiety i wyrzucił za krawędź płaskowyżu.

— Ty żyjesz! — krzyknęła Meta.

— I nic w tym dziwnego — oznajmił Cy — ponieważ on zna fizykę nieco lepiej niż ty. Jony są elektrycznie naładowanymi cząsteczkami. Uderzyły o jego metalową zbroję i zostały uziemione. To proste.

— Tak proste, że nie widziałam, abyś to ty wystąpił.

— Więc jestem tchórzem. — Wzruszył ramionami.

— To moja żona, Elektra — powiedział Zog.

— Więcej ich nie masz? — zapytał Praktis z pistoletem gotowym do strzału.

— Niestety — zaszlochał Zog. — Liczyliśmy na większą rodzinę, tupanie malutkich stoppek wokół statku kosmicznego. Ale widocznie nie miało tak być. Gdyby rodzina była większa, nigdy do czegoś takiego by nie doszło. Żrenica jej oka, jedyne dziecko. Teraz to widzę, matka go tak rozpuściła. . .

— Nie zrzucaj winy na mnie, ty stary impotencie! — wrzasnęła Elektra. — Och jakże żałuję dnia, gdy zostałam poświęcona Marsowi. Gdybym spróbowała z westal-

kami, może by mi się udało. Ale moja matka powiedziała „nie”. Stwierdziła, że jako szlachetnie urodzoną, czeka mnie lepsza przyszłość. . .

— Daj z tym spokój — przerwał Praktis. — Możesz się użalać nad rodziną, kiedy mnie nie ma w pobliżu. Ruszajmy teraz w dół ku statkowi, ponieważ jestem głodny, spragniony i znudzony całym tym nonsensem. To był strasznie długi dzień.

— Te zbroje tak nam dokuczyły — powiedziała Meta, zdejmując swoje brzemię i zrzucając je w przepaść.

Wszyscy zgodzili się z tym i rozległy się kolejne trzaski i zgrzyty. Potem pod przewodem Zoga, zostawiając Młodego Zoga pod opieką matki, zeszli na pustynię.

— Z żalem muszę przyznać, iż jedyną rzeczą do picia, jaką obecnie dysponuję — przeprosił Zog — jest mrożone wino ofiarne. Mam tego mnóstwo.

— Uczynię zatem ofiarę — powiedział Bill i cmoknął łakomie ustami.

Wnętrze statku kosmicznego było schludne, przystrojone firankami, fotelami na biegunach, świeżymi metalowymi kwiatkami i mnóstwem szkła. Cy opróżnił swój kielich trzy razy i beknął szczęśliwy, wskazując gruby kabel zmierzający od skał po piachu do włazu, a potem znikający gdzieś we wnętrzu statku.

— Gdzie on prowadzi? — spytał.

— Do nieznanym rejonów statku — odparł Zog. — Nie wiem ani gdzie, ani jak, ani nawet dlaczego to funkcjonuje. Cały sprzęt został zainstalowany przez moich przodków. Ja tylko go obsługuję. W dolinie zainstalowane są alarmy dające mi znać, gdy ktoś nadchodzi. Wspinam się na schody, przestawiam dźwignie i guziki, wreszcie zbieram ofiary. A skoro już o tym mówimy, może ktoś chce jeszcze wina?

Wszyscy byli chętni i pozwolili nalać kolejną rundkę. Z wyjątkiem Cy, którego bardzo ciekawił kabel. Podczas gdy inni się wstawiali, on prześledził bieg kabla przez pomieszczenie do korytarza na tyłach. Zniknął na jakiś czas, lecz nie zwrócono na to uwagi. Wróciwszy, burknął na swych wstawionych kompanów.

— Naprawdę wspaniale. Przy pierwszej okazji upijacie się do nieprzytomności.

— No i co z tego — powiedział ktoś. — Dlaczego nie? Przeżyliśmy okropne przygody na tej planecie i odrobina relaksu nie zaszkodzi.

— No to powiedzcie mi o tym! Albo nie! — krzyknął, gdy wszyscy zaczęli gadać równocześnie. — To była metafora, by podkreślić mą zgodę. Czy wy mnie w ogóle słyszycie? I czy rozumiecie to, co mówię? Pokiwajcie głowami. Dobrze, dobrze. Chcia-

łem wam powiedzieć, że poszedłem za kablem do stosu atomowego statku. Maszyna nadal funkcjonuje po tylu wiekach. Ale chodzi, jak sędzę, na jednej czwartej obrotów. To prawdziwy antyk. Ręcznie obsługiwane pręty z paliwem, opuszcza się je i wciąga przy pomocy kołowrotu. Elektrody węglowe również ustawia się ręcznie. Odrobinę tym pokręciłem i sprawiłem, że prąd popłynął jak ta la la.

— Jesteś technicznym geniuszem — powiedział z trudem Praktis, a pozostali topornie skinęli głowami. Z wyjątkiem Zoga, który ze względu na swój wiek i zgryzoty spił się do nieprzytomności, i teraz leżał na podłodze.

— No tak, dziękuję. Wiedziałem, że to pochwalicie. A teraz słuchajcie, jest coś jeszcze, znalazłem pokój kontrolny tego antyku. Tam jest nawet kierownica i lampy olejowe. Podłączyłem prąd. Zapaliły się żaróweczki i wszystko wyglądało bardzo ładnie. Pokój radiowy miał zaspawane drzwi, ale je wywaliłem. W środku jest nadajnik FTL w doskonałej kondycji.

Począł cierpliwie, aż fale dźwiękowe jego głosu dotarły do ich ogłupionych bębenków usznych, które z kolei poruszyły kostki młoteczka i pobudziły ucho wewnętrzne

do życia, a sygnał powędrował po zapakowanych alkoholem synapsach i w końcu dotarł do odrobiny inteligencji, nadal tkwiącej w ich mózgach. . .

— Że co? — krzyknęli jednocześnie, wstając na równe nogi i rozbijając szklanki. Wyrzeźwieli w mikrosekundzie.

— O kurcze, gdybym mógł to zabutelkować, miałbym doskonały środek trzeźwiący. Tak, dobrze mnie usłyszeliście. Jest tu nadajnik FTL i do tego działa.

— To ma sens — stwierdził Praktis, opadając na fotel w drgawkach i z czerwonymi oczami. — Ten zwariowany kapitan, który zapoczątkował całą hecę z Rzymianami, musiał zaspawać nadajnik, by żadna z jego ofiar nie mogła się zwrócić przez radio o pomoc. Ale nie rozwalił go na wypadek, gdyby sam znalazł się w tarapatkach. I tak już zostało.

— A może zadzwonimy? — zaproponował Bill i wszyscy potaknęli głowami, następnie zaś jak głupcy wyskoczyli z pokoju za Cy.

Do środka weszła Elektra Zog, trzymając swego nieudanego syna za ucho i głośno pociągnęła nosem.

— Dokładnie tego się spodziewałam. Wystarczy na chwilę odwrócić uwagę, a ten już spije się ofiarnym winem. I popatrz na ten bałagan.

Rozdział dwudziesty piąty

Po wysłaniu wiadomości przez FTL, pospieszyli z powrotem uczcić to ofiarnym winem. Lecz gdy wznosili pierwsze kieliszki do toastu, usłyszeli charakterystyczny dźwięk.

— Jakiś statek! — wykrztusił Wurber.

— Są tutaj!

Kieliszki rozbiły się o pokład, gdy wypadli z kabiny. Rozległ się grzmot potężnego statku kosmicznego przelatującego nad ich głowami; wszyscy wypadli razem na pusty piasek. Statek zniżył się nad nimi, a Meta krzyknęła:

— Statek Chingerów! Oni nas zbombardują!

Wszyscy próbowali dostać się na powrót do statku, gdy w pojeździe nad nimi rozwarł się luk bombowy i coś z niego wypadło.

— Za późno — westchnęła zrezygnowana Meta. — Nie ma ucieczki przed bombą atomową. Miło było cię poznać Billu, choć o twych przyjaciółach nie mogę powiedzieć tego samego.

— Ja myślę tak samo, Meto, ale chyba jeszcze nie po wszystkim. Jeśli się nie mylę, to nie bomba lecz tuba z wiadomością wisząca pod małym spadochronem.

Pobiegł i złapał spadochron, gdy ten tylko dotknął gruntu. Wieczko odskoczyło i do dłoni wpadła mu karteczka.

— To list — powiedział. — Od mego starego przyjaciela Eagera Beagera, który okazał się chingerskim szpiegiem nazwiskiem Bgr.

— Znam tę sprawę — przerwała Meta. — Cóż takiego ma nam do przekazania ów szpieg?

— To bardzo interesujące. Posłuchajcie. „Drogi Billu i wy, jego towarzysze. Opuszczamy tę planetę, pozostawiając ją wam w całości. Przechwyciliśmy waszą transmisję

FTL wzywającą pomocy i podającą koordynaty planety. A że, co było a nie jest, itd. Nasi zwiadowcy donoszą, że wyruszyła już pokaźna flota, więc wkrótce zostaniecie ocaleni. Podpisano: Szczerze Oddany Bgr.” Jest jeszcze PS. Brzmi tak: „Billu, pragnę abyś ani ty, ani twoi przyjaciele nie zapomnieli, co mówiłem o pokoju. Jesteśmy za wiecznym pokojem i wy powinniście być za nim również. Skończcie tę nieustanną wojnę, myślcie o pokoju i dobrobycie. Możecie tego dokonać! Pomóżcie nam, błagamy. Pokój, dobrobyt i wolność dla wszystkich!”

— Pacyfistyczny bełkot — powiedział Praktis, wrywając Billowi list i drąc go na drobniutkie strzępy. — Więc planowałeś spisek z wrogiem, czyż nie tak?

— Zostaliśmy przez nich złapani! Nie było drogi ucieczki. Zanim uciekliśmy, musieliśmy go wysłuchać.

— O nie, nie musieliście! Mogliście zakryć uszy dłońmi. Historia wojskowości zna wiele awansów na polu bitwy, majorze. Niech więc ucieszy was fakt, że jesteście pierwszym zdegradowanym na polu walki, szeregowcu. Znow między szeregowych. Koniec z dobrą wyżerką, klubami oficerskimi i zniżkowymi sklepami!

— I tak nie miałem okazji nacieszyć się czymś takim!

— No to niczego wam nie ubędzie — złośliwie zaskrzeczał Praktis. — Wojna to piekło, nie zapominajcie o tym.

— Dla poborowych niewątpliwie tak — powiedziała Meta i wróciła do SS Zog, gdzie wzięła z lodówki kolejną butelkę wina ofiarnego. — Muszę obmyślić jakiś sposób na otrzymanie awansu.

Cy i Praktis, a za nimi chwiejący się Wurber dołączyli do niej i każdemu naląa po kieliszku. Kapitan Bly nie musiał się dołączać, ponieważ wcale nie wychodził ze statku. Gdy tylko wysłano wiadomość FTL, zanurkował w butelce i już z niej nie wyszedł. Złożyli nogi na jego rozciągniętym ciele i wsłuchiwali się w dźwięki domowej kłótni dudniącej echem w trzewiach statku.

— Za pokój — powiedziała Meta, wznosząc kieliszek.

— O nie! — zaprzeczył Praktis. — Za wojnę, nieskończoną wojnę.

— Mówisz zupełnie jak ten lipny Mars, bóg wojny.

— Nie oszukujmy się. On mówił z sensem. Naprawdę chciałbym go jeszcze do tego rozpalić. Zrobiłbym to, gdyby Merlin nie wyslizgnał się, gdy byliśmy pijani. On już

wszystko rozpowie i przypuszczam, że pokój ogarnie tę szczęśliwą krainę. — Zmarszczył brwi i skrzywił twarz, jakby przeżył coś gorzkiego.

— Ale zapanuje tylko na płaskowyżu — przypomniała im Meta. — Niedaleko stąd Barthroomczycy trwają w wiecznej wojnie. Zupełnie jak my.

— Masz rację! Zapomniałem. Miło, że mi o tym przypomniałaś. Widzicie więc, że i dobre rzeczy mają tu miejsce.

Opróżniła swój kieliszek i nie kwapiła się z odpowiedzią.

Na zewnątrz, wpatrzony w bezbrzeżne piaski, drapiąc niespokojnie pazurami, Bill witał swą przyszłość w szeregach zwykłych żołdaków. Łatwo przyszło, łatwo poszło. To było zbyt dobre, by mogło trwać. Tak naprawdę zawsze będzie poborowym. Głęboko w sercu pragnął nawet być cywilem, ale nie chciał przesadzać. Wszystkie te myśli były bardzo ciężkie, jeśli nie depresyjne. Powinien był postąpić zgodnie z prastarym żołnierskim zwyczajem i wróciwszy do statku, schlać się w trupa z pozostałymi. Schlać się w trupa, śpiewać sprośne piosenki, paść pod stół, porzygać się. To mogła być niezła zabawa! Chciał już iść, gdy usłyszał odległy dźwięk statku kosmicznego. Czyżby już nadchodziła pomoc? Lepiej upić się zawczasu, zanim przemocą przywróci go do trzeź-

wego wojskowego życia. Lecz statek zbliżył się z prędkością ponaddźwiękową i grzmot boomu przetoczył się tuż nad jego głową, zanim pojazd zniknął. Spojrzał w górę, mrużąc oczami i po raz wtóry dostrzegł znikający statek Chingerów. Tym razem zamiast spadochronu z luku bombowego wyrzucono mały pojazd. Zatoczył on niewielkie koło i wylądował niemal u stóp Billa. Otworzył się właz i wyjrzała z niego głowa Chingera.

— Cześć Billu. Widziałem, że jesteś sam i pomyślałem, że wpadnę jeszcze na słówko. Poza tym mam dla ciebie prezencik. Przechwyciliśmy jeden z waszych transporterów dostawczych, który wypełniony był zapasowymi częściami medycznymi. Było tam trochę ślicznych zapasowych stoppek, z których wybrałem dla ciebie najlepszą. Jest tutaj, wewnątrz zautomatyzowanego miniaturowego szpitala polowego.

— Dla mnie, Beager! Jakże to miło z twojej strony! — wymamrotał Bill, ruszając z otwartymi ramionami i łzą wdzięczności w oku. Wszystko to zmieniło się w okrzyk bólu, gdy Beager podskoczył i powalił go na piasek.

— Nie tak szybko, żołnierzu. Jeśli chcesz tę stopkę, musisz na nią zapracować. Dni, kiedy rozdawano coś za darmo, dawno minęły. Cholera, w końcu nauczyliśmy się czegoś od was ludzi.

— Pracować? Co mam zrobić?

— Siąc niezadowolenie, pacyfistyczną propagandę, szpiegować dla nas. Pracować ciężko, aż do końca wojny.

— Nie mógłbym tego zrobić, to niemoralne. . .

Beager wydał głośny dźwięk niezadowolenia. Bill grzecznie się zaczerwienił.

— . . . ale nie tak niemoralne jak sama wojna. Jednakże, naprawdę nie mógłbym być zdrajcą. Ile płacicie za tę robotę?

— Nową nogą.

— To dobre na początek. Pytałem, co później?

— Jak na lojalnego żołnierza nieźle się targujesz. Potem znajdziesz się na liście płac. Tysiąc dutków miesięcznie i skrzyneczka alkoholu. Umowa stoi?

— To jest. . .

Jego słowa zostały zagłuszone przez świst jonizatora. Jony uderzyły w miejsce na piasku, gdzie stał Beager. Ale w świecie 10G trzeba umieć się szybko poruszać. Wskoczył do statku i zamknął właz, zanim nastąpił drugi strzał. Otoczył on stateczek języka-

mi ognia, lecz pojazd musiał być chroniony jakimś specjalnym środkiem, gdyż nic mu się nie stało. Zagrzały rakiety i stateczek wystrzelił w niebo, znikając z oczu.

— Co mówiłeś, Bill? — zapytała Meta przez zęby. Pistolet jonowy skierowany był obecnie na niego. — Nie dosłyszałam twego ostatniego zdania.

— To jest obraza! To właśnie powiedziałem. Obrazą jest twierdzenie, że lojalny żołnierz może zdradzić swych sadystycznych przełożonych.

— I tego właśnie się po tobie spodziewałam. — Uśmiechnęła się ciepło i schowała broń do kabury. — Więc teraz, podczas gdy inni się upijają i zanim przybędzie nasza flota, mamy doskonałą szansę, by się rozebrać i zrobić to na gorącym piasku.

— To coś dla mnie! — krzyknął z wielkim entuzjazmem, a potem pogrzebał w piasku swą kurzą stopką. Spojrzał na nią i zmarszczył brwi. — Czy nie obrazisz się, jeśli najpierw ją zmienię? Nie chciałbym cię podrapać, albo coś w tym rodzaju.

— No cóż, czekałam tak długo — westchnęła. — Odrobina zwłoki nie zrobi mi różnicy. Ale pośpiesz się, dobrze!

— No pewnie! — Odwrócił pudełko i przeczytał instrukcje na odwrocie.

„Drogi Billu. Naciśnij czerwony guzik, by urządzenie zaczęło się rozgrzewać. Kiedy pojawi się zielone światełko włóż swoją nietypową stopkę do otworu na górze. Najlepsze życzenia, twój chingerski przyjaciel”.

— To naprawdę miłe z jego strony — powiedział Bill, naciskając guzik. — Jak na wroga to nie jest zły chłopak. O wiele lepszy od niektórych znanych mi oficerów. Właściwie to od wszystkich znanych mi oficerów.

Pojawiło się światełko i włożył do środka stopę.

Potem godnie pochował żółtą stopkę na pustyni i podziwiał swe nowe różowe paluszki. Wszystkie siedem, ale nie zadawał żadnych pytań. Darowanej stopie nie zagłęda się w paznokcie. Spojrzał w niebo, gdzie zniknął chingerski statek.

— Naprawdę chciałbym ci pomóc z tym pokojem, mały zielony nieboraku. Ale to nie takie łatwe. W każdym razie teraz muszę szukać buta. O pokoju pomyślę kiedy indziej.

— Czy myślisz o pokoju na świecie, czy o jakimś pomieszczeniu dla nas? I przestań martwić się teraz butem. Chodź tu — wymruczała Meta, biorąc go w ramiona i całując tak zapamiętale, że poziom spermy w organizmie podskoczył mu o sto procent.

W imię przyzwoitości i pragnienia uczynienia tej książki poczytną dla wszystkich, musimy niechętnie opuścić kurtynę na tę delikatną scenę heteroseksualnej intymności. Po prostu poobserwujmy słońce, które — jak to zwykle bywa w takich razach — utonęło powoli na wschodzie i ciemności ogarnęły nieskończone połacie piasku bezbrzeżnej pustyni, a cały ten świat, choć przez jeden ostatni moment i tylko w tym jednym miejscu pogrążył się w pokoju.